



ORZEŁ BIAŁY

Polska walcząca o wolność

MIESIĘCZNIK POŚWIĘCONY ZAGADNIENIOM WSPÓŁCZESNYM

SYRENA

NR 1/1148

SIERPIEŃ 1964

Cena 2.50 F, 3/6, \$0.50

6 SIERPNIA

1914

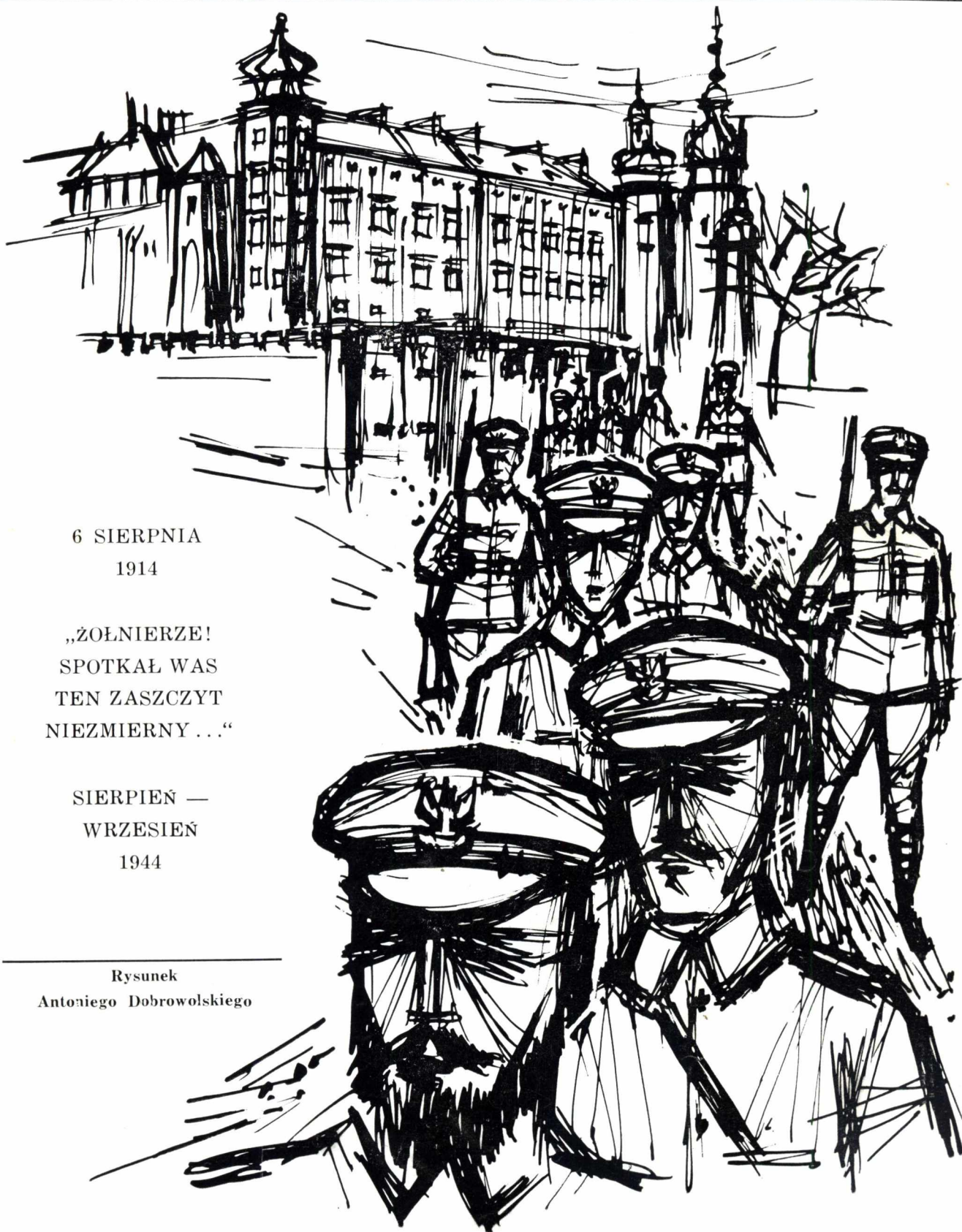
„ŻOŁNIERZE!
SPOTKAŁ WAS
TEN ZASZCZYT
NIEZMIERNY...”

SIERPIEŃ —

WRZESIEŃ

1944

Rysunek
Antoniego Dobrowolskiego



WIELU

SIĘ OGŁASZA

KAŻDY CIĘ ZAPRASZA

ALE PRAWDA WCIĄŻ

JEST NASZA

JEŚLI LEKI

TO Z APTEKI

GRABOWSKIEGO

WYSYŁAMY TAKŻE:

**PIENIĄDZE
ŻYWNOŚĆ**

ŚWIEŻE

OWOCE

WOLNE OD CŁA

M. B. Grabowski

175 DRAYCOTT AVENUE

London, SW3. Tel.: KEN 0750

fraszki

EKWILIBRYSTA, CZYLI NAGROBEK THOREZOWI

*Chociaż linia partyjna szła pod różnym kątem,
On potrafił bez przerwy do Moskwy stać frontem.*

NATURA LUDZKA

*Z tym się człowiek więcej liczy,
Kto na niego więcej krzyczy.*

ODSTAWKA

*Po tylu latach służby z nie małym talentem,
Mikołaj jest w niełasce: został prezydentem.*

SPRAWIEDLIWOŚCI STAJE SIĘ ZADOŚĆ

*Sam sobie winien,
Kto robi to, co powinien.*

Rawicz



PROTEST I KONTRPROTEST...

Papieru w Polsce nie brak, chyba...



ORZEŁ BIAŁY

Polska walcząca o wolność
MIESIĘCZNIK POŚWIĘCONY ZAGADNIENIOM
WSPÓŁCZESNYM

Nr 1/1148

SIERPIEŃ 1964

Rok XXIV

WŁADYSŁAW ANDERS

DOROBEK I OBOWIĄZKI „ORŁA BIAŁEGO“

Nie samą tradycją żyjemy, lecz kto się tradycji wypiera lub o niej nie pamięta staje się słabszy duchem i uboższy.

Jako naród nie wypieramy się tradycji, gdyż w niej to właśnie mieści się najpiękniejsze z tego na co przez wieki i od wieków potrafiliśmy się zdobyć. Bo naszą tradycją jest walka o wolność i o sprawiedliwość dla naszej Ojczyzny: walka o swobodny rozwój kultury polskiej, walka o poszanowanie godności człowieka.

Piszę dziś o tradycji dlatego, że myślę o „Orle Białym“. Stworzyliśmy to pismo w Buzułuku, w przedsiönku piekła sowieckiego, w chwilach które nie miały sobie równych w historii pod względem grozy jaka zalegała nasze dusze i okrywała duszącym całunem naszą ziemię. Stworzyliśmy je jako pismo, które miało towarzyszyć żołnierzowi ocalałemu z katorgi w jego drodze do Polski z bronią w ręku. „Orzeł Biały“ miał być jedną z naszych broni. Miał nam służyć podobnie jak służyć miały moździerze i karabiny maszynowe; jak miały służyć czołgi i sprzęt łączności. Oparliśmy się o tradycję w najlepszym jej znaczeniu. W jedynym jej znaczeniu. Swym wysiłkiem żołnierskim wzbogaciliśmy ją w niejednym. „Orzeł Biały“ ma w tym zasługi.

Sam mu nadałem tę nazwę. Nie kierowały mną względy dziennikarskie. Kierowało mną przeświadczenie, że najwłaściwszy to tytuł dla pisma, które w każdej okoliczności i w każdej postaci ma służyć wielu, różnym i zmieniającym się potrzebom, lecz tylko jednej idei: idei walki o Polskę. Mamy Orła Białego w herbie naro-

dowym. Uważałem, że te dumne słowa w nagłówku gazety żołnierskiej nałożą na jej współpracowników ogromny obowiązek i ogromną odpowiedzialność. Nie zawiodłem się. Nikt się nie zawiódł. „Orzeł Biały“ nie sprzeniewierzył się swym obowiązkom. Zasłużył sobie na prawo używania w swojej nazwie polskiego godła narodowego.

Ukazywał się w warunkach niezwyczajnych i w warunkach ciężkich. Dwadzieściancztery lata to długi okres w pracy dziennikarskiej nawet we własnym kraju. W wędrówce żołnierskiej okres ten wydaje się jeszcze dłuższy. Irak, Palestyna, Egipt — potem krok w krok za walczącym 2-gim Korpusem w kampanii włoskiej. Wreszcie, koniec działań wojennych lecz nie koniec walki dla Polaków. Zaczęliśmy służbę najcięższą, służbę bez oglądania się na nagrody czy nawet na szybkie wyniki pracy. Okres służby bez munduru. Trwa on do dzisiaj i będzie trwał dopóty dopóki Polska nie będzie wolna a na świecie nie panuje sprawiedliwość.

„Orzeł Biały“, gdy jego redakcja zdjęła mundury, znalazł się naprzód w Brukseli a od roku 1949 w Londynie. Rozszerzał zakres swych zainteresowań, zmieniał kształt i wygląd. Zmieniali się redaktorzy. Przybywało mu współpracowników i ubywali inni, dobiegając przy pracy kresu swej ziemskiej wędrówki. Zbyt dużo ich było by ich tu wymieniać wszystkich, choć pamięć o każdym z nich noszę wdzięcznie w sercu. Więc wspomnę tylko ś.p. Ryszarda Piestrzyńskiego, który najdłużej „Orla“

(Dokończenie na str. 2)

OD WYDAWNICTWA

Nie podjęliśmy lekkomyślnie decyzji. Poprzedziły ją półroczne rozmowy i narady. W ich wyniku ukazuje się pierwszy numer „Orla Białego“ w jego nowej postaci.

Otrzymuje podtytuł: „Miesięcznik poświęcony zagadnieniom współczesnym“. Jest to tytuł ambitny i nakłada duże obowiązki zarówno na nas jako na wydawców jak i na redakcję.

„Współczesność“ nie oznacza sensacyjności. Oznacza rozpatrywanie każdego zagadnienia, które mogło by interesować czytelnika pod kątem rzetelnej, aktualnej informacji i bezamiętnego komentarza. Miesięcznik nie może dostarczać wiadomości. To rola dzienników lub radia czy telewizji. Lecz powinien porządkować wiadomości i fakty i dawać materiał do myślenia. Nie znaczy to by jego zadaniem było kierować myśleniem. Przeciwnie: wnioski należą do czytelników, są ich dobrym prawem i przywilejem, są ich własnością. Nie muszą się też bynajmniej pokrywać z wnioskami i poglądami redakcji, autorów piszących w miesięczniku, ani też z poglądami wydawców. Dlatego też „Orzeł Biały“ nie będzie niczym „organem“, na pewno nie będzie biuletynem Federacji Światowej Stowarzyszenia Polskich Kombatantów, gdyż i takie obawy do nas dotarły. W swym wachlarzu zainteresowań będzie poświęcał sporo miejsca zagadnieniom społecznym polskiej emigracji, a więc także SPK. Lecz nie będzie bezkrytycznie „głosił jego chwały“. Przeciwnie powita chętnie każdą rzeczową krytykę i polemikę.

Mamy, jak powiedzieliśmy, ambitne zamierzenia. Pismo ma kontynuować tradycje wiążące je z żołnierzami Polskich Sił Zbrojnych i służyć jednej tylko idei, którą nazywamy wspólną wszystkim Polakom. To idea walki o wolność i sprawiedliwość dla Polski. Ma dopomóc Polakom w Kraju zrozumieć co się dzieje w świecie wolnym a Polakom rozsianym w dwudziestokilku krajach osiedlenia co się dzieje w Kraju. Na tym nie wyczerpuje się lista zadań, lecz jest to ze wszystkich zadanie najważniejsze. Jak pisał Redaktor w ostatnim tygodniowym wydaniu „Orla“ niech treść kilku numerów „sama się obroni“. Powinna pozwolić czytelnikom zapoznać się z

redagował i którego pożegnaliśmy na zawsze przed niespełna czterema laty.

Zmieniało się wiele, lecz nie zmieniła się nigdy idea przewodnia „Orla Białego”. Ku radości przyjaciół i wszystkich prawych Polaków, ku gniewowi wrogów wolności Polski.

Tak jest i dzisiaj, gdy „Orzeł Biały” przybiera nową formę wydawniczą. O potrzebach tej zmiany pisała redakcja w dwóch ostatnich numerach swych wydań tygodniowych. Więc nie będę ich powtarzał. Przedstawione mi argumenty uznałem za słuszne i wyraziłem na nie zgodę. Federacja Światowa Stowarzyszenia Polskich Kombatantów to nie tylko najsilniejsza z organizacji polskich w wolnym świecie, ale także dziedzic tradycji żołnierskiej polskiej, dziedzic obowiązków i piastun idei żołnierskiej. Słuszną jest rzeczą by z nią związał się bliżej wyraziciel tej idei jakim jest „Orzeł Biały”. Wiem, że z

obowiązków swych wywiąże się dobrze. Będzie pismem niezależnym zgodnie z obyczajami wolnej prasy. Nie będzie związany z żadnym ugrupowaniem, ani żadną partią. Nie będzie niczym „organem”. Będzie służył tylko interesom Polski a pod uwagę będzie brał tylko potrzeby czytelników. Za moją wiedzą i zgodą redagować je będzie ten sam co dotychczas Redaktor Naczelny.

Redakcję czeka nowy typ pracy dziennikarskiej, być może trudniejszej. Wiem, że liczy na życzliwą pomoc dotychczasowych i nowych czytelników. Mam przekonanie, że nie spotka jej zawód.

Wiążano zawsze, i słusznie, „Orla Białego” z moim nazwiskiem. Nie miałem nigdy powodu by się go zapierać. Stosunek mój nie ulega zmianie. Wiąże nas dalej tradycja walki o tę samą ideę.

Władysław Anders

27 lipca, 1964.

OD WYDAWNICTWA — (Dok. ze str. 1)
charakterem pisma. Mamy nadzieję, że spotka się ona z ich aprobatą.

Do kół i ogniw SPK w całym świecie zwróciliśmy się z apelem o pomoc organizacyjną i jak najszerze rozprawienie pisma. Ponawiamy dziś ten apel.

Uzależniliśmy swą decyzję od zgody generała Andersa, który pismo założył i jest jego duchowym opiekunem. Zgodę tę uzyskaliśmy ustalając jednocześnie zasady dalszej współpracy. Naszą wspólną decyzją i dezyderatem było by Redakcję pisma prowadził Paweł Zaremba.

Sierpniowy numer miesięcznika ukazuje się w rozmiarach większych niż zapowiadaliśmy. Następne numery ukazywać się będą w pierwszej dekadzie każdego miesiąca.

Zarząd Główny

Federacji Światowej

Stowarzyszenia Polskich Kombatantów

ROK WIELKICH ROCZNIC

Zbiega się ich tyle. 50 lat od wybuchu pierwszej wojny światowej i 25 od wybuchu drugiej. Dwudziestolecie Monte Cassino, Falaise, Arnheim i Ankony. I łuną uczuć okolona rocznica Powstania Warszawskiego. A obok niej celebrowana z hałasem w kraju rocznica Manifestu Lubelskiego.

Do żadnej z nich nie możemy jeszcze podchodzić w sposób całkowicie beznamietny. Żadna nie jest wspomnieniem czegoś tak odległego w czasie by zadawała się wyłącznie etykieta „rocznica historyczna”. Żyją uczestnicy wydarzeń; ich świadkowie bierni i czynni. Nie przebrzmiały echa tych sporów, które towarzyszyły decyzjom prowadzącym do wydarzenia. Rocznicę ściśle wojskowe są pod tym względem najszcześniejsze. Gdy się o nich myśli słowa „trzeba było” lub „nie trzeba” nie mają wiele sensu i rzadko się je wypowiada. Inaczej z rocznicami, które obok treści wojennej mają także treść polityczną. Dokoła nich namietności jeszcze się nie wypaliły. Co ważniejsze: trwają skutki tych wydarzeń i nadal aktualnymi są cele, które wydarzeniom dały początek. Bo każde z tych wydarzeń, prowadzić miało do uzyskania wolności dla narodu i niepodległości dla państwa.

Dzisiejsza rzeczywistość polska, choć różnie ją się ocenia wśród obcych i wśród swoich, nie jest spełnieniem pragnień narodowych, nie jest ukoronowaniem czynów, na które się porywali aktorzy na scenie naszej najnowszej historii.

Stąd trudność ogromna dla historyków i trudność zdobycia się na myślenie historyczne w społeczeństwie. W perspektywie historii powszechnej rocznica 50 lecia wybuchu wojny w roku 1914 to okazja do rozważań kulturalnych i społecznych. Zgodzono się już od dawna, że rok 1914 przyniósł koniec tego co się nazywa „wiekiem dziewiętnastym”. Od tej daty zaczął się świat współczesny, dla jednych lepszy, dla innych gorszy, w niejednym szczęśliwszy lecz na wielu polach cofający ludzkość wstecz i niosący sponiewieranie zasad moralności i sprawiedliwości. Można rozmaicie wypadki komentować i na różnoraki sposób snuć domniemanie w jakim kierunku pójdzie dalszy rozwój ludzkości.

Lecz dla Polaków rok 1914 ześrodkowuje się w symbolice dnia 6 sierpnia. To rocznica decyzji czynu zbrojnego, podjęta, jak się wówczas zdawało nie tylko obcom lecz i ogromnej

większości swoich, jako akt szaleńcy, oderwany od konkretnych przesłanek politycznych. Stało się inaczej niż myśłano. Kompania Kadrowa stała się początkiem wojska polskiego, któremu przypadło w udziale wywalczenie niepodległości własnymi siłami i obronienie jej w roku 1920.

Oczywiście wywalczenie niepodległości nie było wyłączną zasługą tej ideologii, której twórcą był Józef Piłsudski. Odgłosy sporów o „orientację” odzywają się do dzisiaj. A także spory o zasługi. Są to dziś spory bez praktycznego znaczenia. Wiemy, że ani Piłsudski nie „orientował się na mocarstwa centralne” ani Dmowski „na Rosję”. Magdeburg, przejście Żelaznej Brygady Hallera na Ukrainę, wyjazd Dmowskiego z Petersburga na zachód — to dostateczne, choć bynajmniej nie wszystkie, dowody, że każda „orientacja” była orientacją na Polskę. Różnymi były tylko metody działania. Różnymi też poglądy na to jaką Polska ma być. Ale to jest i było dobrym prawem każdego kierunku myślenia politycznego w narodzie, który wolność pojmował zawsze w sposób dosłowny a nie teoretyczny. Może nie czas jeszcze na całkowitą w tych sprawach bezstronność. Czas taki na-

dejdzie. Tymczasem im więcej ogłasza się wspomnień i przyczynków — „Kadrowej” poświęcamy wiele miejsca w tym numerze — tym bliżsi jesteśmy prawdy. Bo uczucia i myśli ludzi w chwili gdy się coś działo są także częścią prawdy historycznej.

Rzecz dziwna, że większa dziś panuje zgodność poglądów na sprawę Powstania Warszawskiego. „Trzeba” czy „nie trzeba było” przycichło już znacznie i tylko zapaleni amatorzy wgłębiają się w dociekania nad wyborem terminu, nad tym lub nad innym szczegółem pracy sztabowej. Lecz gdy już przebolano osobiste i narodowe straty materialne i kulturalne niewiele znajdzie się Polaków, którzy by żalowali, że Powstanie się odbyło. Oczywiście gdy chcą i mogą mówić szczerze to co myślą a nie służą czyjejś propagandzie. Powstanie było logiczną konsekwencją 1 września 1939. Psychicznie, było krokiem uzasadnionym. Nie mogło nie być powstania. I bez względu na to co przyszłość Polsce niesie, Powstanie to coś więcej niż tragiczna pamiątka. Bo jako naród oddaliśmy mu część duszy.

WARSZAWA W SIERPNIU 1944



Grupa powstańców — zdjęcie ze zbiorów Studium Polski Podziemnej

JÓZEF GARLIŃSKI

NAJWIĘKSZY POLITYCZNY BŁĄD STALINA

Gdy w roku 1939 Hitler zaatakował Polskę, Niemcy nie kryli się ze swymi planami w stosunku do naszego narodu. Polacy mieli być wytepieni tak samo jak Żydzi, tylko w następnej kolejności i z pewnymi odchyleniami od żelaznej zasady totalnego wyniszczenia. Każdy człowiek, mający świadomość przynależności narodowej, skazany był na zagładę, bądź natychmiast, bądź w którymś z niezliczonych obozów koncentracyjnych, gdzie przed śmiercią wydobyto by zeń wszystkie możliwe siły. Prawo do życia zyskać mieli tylko ci, których niski poziom umysłowy gwarantował posłuch i szybkie wynarodowienie. Oczywiście przy takim systemie naród polski w krótkim czasie miałby przestać istnieć.

W świetle późniejszych wydarzeń brutalność planów niemieckich, a zaczęli je realizować już w czasie wojny, okazała się wielkim błędem, za który Rzesza niemiecka zapłaciła klęską. Gdyby Hitler nie był szaleńcem, pobierającym najpoważniejsze decyzje polityczne w furii, gdyby potrafił spokojnie myśleć, gdyby nie kierował się nienawiścią, być może losy wojny potoczyłyby się inaczej. Przecież z niemieckiego punktu widzenia byłoby znacznie rozsądniej, po wygraniu kampanii wrześniowej, nie rozpętywać w Polsce terroru, nie obrażać naszej dumy narodowej. Miał zne-

cać się moralnie i fizycznie nad powalonym narodem, Niemcy mogliby zastosować chwyt propagandowy polegający na twierdzeniu, że wszystkiemu winien był nasz rząd i wadliwy ustrój polityczny, że do narodu nie żywią pretensji i chcą sobie z nim ułożyć współżycie. W pierwszej fazie wojny Polacy nie daliby zapewne posłuchu tej propagandzie, ale po upadku Francji, z którą wiązano największe nadzieje, mogłoby być inaczej. Dodatkowym, ale bardzo ważkim argumentem byłoby zwrócenie uwagi na zagrożenie ze wschodu. Podobny chwyt, zastosowany także w stosunku do innych narodów, zamieszkałych w tej części Europy, co tylko częściowo zostało zrobione, mogłoby wpłynąć i na końcowy wynik wojny. Oczywiście, jakby się Niemcy zachowali po jej wygraniu, to inna sprawa.

W pierwszej fazie wojennych zmagania a także w okresie przygotowań Hitler znalazł wiernego sojusznika w Stalinie. Rosyjskiemu dyktatorowi dogadzał patologiczny nacjonalizm niemiecki. W planach komunizmu leżała światowa rewolucja a trudno było przypuszczać, by do niej doszło bez wielkiego wstrząsu, który by zniszczył fundamenty istniejącego porządku międzynarodowego, pograżył w nędzę i chaosie całe kontynenty i otworzył drogę do ekspansji bolszewizmu.



„GRYF“

POLECA WYBÓR KSIĄŻEK o tematyce PIERWSZEJ WOJNY ŚWIATOWEJ

Michał Sokolnicki: „ROK CZTERNASTY”
cena 35/-

Aleksandra Piłsudska: „WSPOMNIENIA”
cena 35/-

JÓZEF PIŁSUDSKI O POWSTANIU 1863
cena 35/-

Jadwiga Otwinowska: ICH MŁODE LATA
cena 9/-

„NIEPODLEGŁOŚĆ” ZESZYT VII
cena 25/-

„PIĘKNE WCZORAJ” — antologia
legionowa w oprac. Konrada Libickiego
cena 21/-

Władysław Pobóg-Malinowski:
NAJNOWSZA HISTORIA POLSKI,
tom, I. (1864—1914)
cena 84/-

„GRYF” — 171 Battersea Church Road,
London, S. W. 11.

Także plany Hitlera w stosunku do Polski podobały się bardzo Kremlowi. Drażniące wspomnienie przegranej kampanii dwudziestego roku i wzrastająca coraz bardziej siła odrodzonego państwa polskiego, dokuczały władcom Rosji a przede wszystkim samemu Stalinowi. Nic dziwnego, że spodobała mu się oferta Hitlera, w której proponował czwarty rozbiór Polski.

Kierując się tymi motywami Stalin, podobnie jak Hitler dokonał wolty politycznej, która była niespodzianką dla reszty świata. Podpisał z Niemcami pakt w nocy z 23 na 24 sierpnia 1939 roku. Był to ostatni akt w łańcuchu przygotowań tajnych, trwających szereg miesięcy. Zawarcie tego paktu było ostatnim pociągnięciem które było potrzebne Hitlerowi, by rozpocząć wojnę.

W wyniku tej umowy a raczej zmo- wy niemiecko-sowieckiej armia czerwona wkroczyła na terytorium Polski dnia 17 września 1939 roku. Stalin wkraczał, by zagarnąć przyznaną sobie część łupu, Hitler zachęcał go do tego, bo nie chciał działać samotnie i pragnął, by jego nowy sojusznik zaangażował się czynnie w kreśleniu mapy Europy.

W tej pierwszej fazie obydwa grabieżcy nie różnili się wiele, jeżeli chodzi o stosunek do Polski z tym, że Stalin szedł może nawet dalej. Niemcy chcieli Polaków wyniszczyć, ale wahali się jeszcze czy by nie stworzyć jakiegoś kadłubowego, szcztąkowego państwa polskiego na okres przejściowy, bolszewicy odrzucali nawet taką możliwość. Dał temu wyraz Stalin, gdy dnia 25 września oświadczył niemieckiemu ambasadorowi Schulenburgowi: „Trzeba uniknąć wszystkiego, co by w przyszłości mogło stworzyć tarcia pomiędzy Niemcami a Związkiem Sowieckim. Z tego punktu widzenia pozostawienie niepodległego, kadłubowego państwa polskiego byłoby błędem“.

W konsekwencji takiego stanowiska zagrabione ziemie przyłączono bądź do sowieckiej republiki ukraińskiej, bądź do białoruskiej, a politykę wyniszczenia rozpoczęto od wywiezienia prawie dwóch milionów obywateli polskich w głąb ZSRR.

Żłodzijskie porozumienie nie trwało jednak długo. Wprawdzie Stalin robił co tylko mógł, by utrzymać przy sobie niemieckiego sojusznika i wspomagał jego potencjał wojenny olbrzymimi dostawami, ale Hitler, który nigdy Rosji nie ufał, doszedł do przekonania, że będzie lepiej, gdy zapanuje nad olbrzymim krajem i sam zajmie się jego eksploatacją. Pokonanie Anglii było nadal jego głównym celem, ale, podobnie jak Napoleon, zdecydował, że najpierw musi rozprawić się z Rosją, która była

jego ostatnim potencjalnym przeciwnikiem na kontynencie. Dnia 22 czerwca 1941 roku Niemcy rozpoczęły wojnę, atakując bolszewików na bardzo szerokim froncie.

W ciągu kilku godzin zmieniło się położenie polityczne nie tylko w Europie, ale na całym świecie.

W Anglii nie było w tym czasie wielu ludzi, którzy by mieli złudzenia odnośnie Sowietów, ale fakt, że zostały one zaatakowane przez Niemców, automatycznie przesunął je do obozu państw zachodnich. Zagrożenie wysp brytyjskich przestało być na razie aktualne. Należało zrobić wszystko, by Hitler jak najprędzej wykrwawił się w Rosji i by Rosja broniła się jak najskuteczniej. Rozbudowany już poważnie przemysł wojenny Wielkiej Brytanii mógł pośpieszyć Rosji z pomocą. W niedługim czasie do pomocy tej dołączył się olbrzymi potencjał gospodarczy Stanów Zjednoczonych.

Atak Hitlera na Rosję otworzył także nowy rozdział w historii naszego narodu. Każde porozumienie rosyjsko-niemieckie odbywało się zawsze kosztem Polski, jak o tym świadczą trzy rozbiory i rok 1939; każda wojna dawała nam wielką szansę. Pierwszą z tych szans wykorzystaliśmy w roku 1918, teraz wyłoniła się następna.

Stalin nie zmienił swego stosunku do naszego narodu. Ale był w wielkich kłopotach. Był przyciśnięty do muru. Zgodził się więc na pakt Sikorski-Majski, zawarty dosyć pośpiesznie pod naciskiem Brytyjczyków. Pakt ten posiadał wielkie luki, nie załatwiał problemu naszych granic wschodnich, Polakom w Rosji obiecywał „amnestię“, był w wielu punktach niekorzystny, ale przekreślał dotychczasowe stanowisko Sowietów, które wyrażało się w całkowitym ignorowaniu naszych praw do niepodległego bytu. Wprawdzie natychmiast po przeminięciu śmiertelnego zagrożenia stosunek Stalina do Polski ponownie zmienił się na gorszy, ale już nie powrócił do form z roku 1939. Bądź co bądź Rosja znalazła się w jednym obozie z wielkimi demokracjami Zachodu, co zmuszało przynajmniej do zachowywania pozorów. Nie jest także wykluczone, że Stalin, któremu nie można odmówić zdolności, nauczył się czegoś od Anglii i Ameryki, zrozumiał, że nie tylko przemoc lecz i umiejętność współpracy daje siłę.

Na Kremlu zapadła decyzja, że po wojnie zostanie odbudowana fasada polskiego państwa, które będzie satelitą Rosji, ale zachowa pozory niezależności. Powrócono do koncepcji, która narodziła się już w roku 1919, ale wówczas została przekreślona zwycięstwem polskiego oręza.

Zgodnie z tym postanowieniem rozpoczęto w Rosji polityczne i wojskowe prace, które miały być pomocne przy realizacji „polskich“ planów. Powstał Komitet Patriotów z Wandą Wasilewską na czele, poczęto tworzyć armię pod dowództwem Berlinga. Jednocześnie w Polsce pojawiły się pierwsze nieśmiałe próby budowy komunistycznego podziemia. Chodziło o to, by stworzyć przeciwwagę rządowi polskiemu w Londynie, naszej armii na zachodzie i Armii Krajowej w Polsce. Wszystkimi tym poczynaniami towarzyszyła hałaśliwa propaganda sowiecka, głosząca, że rząd polski nie jest demokratyczny, bo nie ma w nim komunistów, że siły zbrojne na zachodzie biją się dla interesów Wielkiej Brytanii a Armia Krajowa unika walki z Niemcami, bo sprzyja im po kryjomu i czeka na rozprawę z Armią Czerwoną. Gdy wyłoniła się sprawa katyńska, Rosja potraktowała ją jako pretekst do zerwania stosunków dyplomatycznych z naszym rządem. Później przyszła konferencja w Teheranie, wygrana przez Stalina, w czasie której zatwierdzono zabór naszych ziem wschodnich i zapewniono, że nowe państwo polskie będzie mieć rząd przychylny Sowietom.

Do tej chwili polityka Stalina w stosunku do naszego narodu, choć brutalna i zaborcza, była jednak, z punktu widzenia rosyjskiego, zrozumiała. Tak samo należało oceniać poczynania sowieckich partyzantów na naszych kresach wschodnich. Nie walczyli z Niemcami, bo mieli przed sobą zadania polityczne. Ich celem było niszczenie polskości, tępienie oddziałów Armii Krajowej, mordowanie przedstawicieli polskich władz podziemnych. Tamte ziemie, zgodnie z planami Stalina i obietnicami Zachodu, nigdy już nie miały powrócić do Polski, nawet komunistycznej, należało je więc tak przeorac, by nic już nie przypominało, że należały kiedyś do Rzeczypospolitej.

Wojna osiągnęła już swój punkt szczytowy i nadszedł rok 1944. Regularne wojska rosyjskie znalazły się na ziemiach polskich i szybko posuwały się na zachód. Zbliżały się miesiące, które miały rozstrzygnąć o losie naszego narodu.

Nie można już było mieć złudzeń jak los czeka nasze ziemie wschodnie, niemniej nadal kontynuowano tam próby taktycznej współpracy z Armią Czerwoną i oddziały Armii Krajowej wykonywały plan „Burza“, by wykazać wolę walki z Niemcami i podkreślić nasze suwerenne prawa do tamtych terytoriów. Płaciły za to rozbrajaniem i deportacją.

Tak działa się na wschodzie, ale front przesunął się coraz bardziej na zachód, znalazł się na terenie Polski centralnej

i wreszcie oparł się o Wisłę i stanął pod Warszawą.

W stolicy miesiły się polityczne władze Polski Podziemnej z Delegatem Rządu i Radą Jedności Narodowej na czele, w stolicy mieściła się Komenda Główna Armii Krajowej. Było oczywiste, że pięcioletnie przygotowania nie mogą pójść na marne, że Warszawa musi być uwolniona polskimi rękami. Można i trzeba było zastanawiać się nad terminem, w którym miało się zacząć powstanie, nie można było mieć wahań co do samej zasady podjęcia walki, bo zasada ta została zdecydowana już dawno. Cała postawa naszego narodu od pierwszej chwili ataku Hitlera w roku 1939 była postawą czynną. Jakże teraz, u progu wolności, można było tę postawę zmienić?

Prześlanek logiczne i psychologiczne wskazywały na to, że gdy wybuchnie powstanie, Armia Czerwona pośpieszy mu z pomocą. Oczywiście, Stalin wolałby, by powstanie nie wybuchło, bo takie rozwiązanie podparłoby znakomicie jego tezę, że polskie podziemie jest bluffem i że jedyną realną siłą na terenie Polski są jego partyzanci i komuniści. Gdyby taka była decyzja polskich czynników kierowniczych, bolszewicy niezawodnie wkroczyliby do Warszawy możliwie szybko, nakazując komunistom rozpoczęcie pozorów walki. Do której przyłączyłaby się, nienawidząca Niemców, ludność. Wynik tej walki Stalin zapisałby całkowicie na swoje konto. Nie należy opacznie pojmować sowieckich radiowych nawoływań do uderzenia na Niemców. Były one kierowane do ludności a nie do Delegatury Rządu i Komendy Głównej A.K.

Powstanie jednak wybuchło i Stalin, chcąc nie chcąc musiał się z tym faktem pogodzić. Początkowo próbował powstanie ignorować (rozmowy z Mikołajczykiem), później bagatelizować aż wreszcie, gdy rozpałiło się wielkim płomieniem, widocznym ze wszystkich kontynentów, powołał swą historyczną i jakże ważną w skutkach decyzję.

Powstrzymał ofensywę swych armii, zabronił udzielenia pomocy Warszawie, zamknął lotniska dla samolotów alianckich i postanowił czekać bezczynnie aż Niemcy wymordują powstańców i zniszczą milionowe miasto.

Mogło by się wydawać, że znowu, z punktu widzenia rosyjskiej zaborczości, postąpił słusznie. Wielu jest zwolenników tej tezy. Przecież w Warszawie wyginęła najpiękniejsza, najbardziej patriotyczna młodzież, przecież legło w gruzach miasto, spłonęła stolica Polski a wraz z nią biblioteki, galerie obrazów, muzea, nieprzebrane dzieła kultury i sztuki. Przecież została rozbita centrala państwa podziemnego, której już w tej samej formie

nie dało się odbudować — a wszystko to zostało dokonane cudzymi rękami. Czyż można się było spodziewać lepszego, bardziej pełnego rezultatu?

A jednak jestem zdania, że właśnie ta decyzja Stalina była jego największym błędem w czasie ubiegłej wojny.

Gdyby Rosja Sowiecka rozumowała nadal kategoriami z roku 1939, gdy była partnerem Hitlera, gdyby plany w stosunku do Polski przewidywały nadal kompletną likwidację politycznej odrębności i eksterminację naszego narodu, wówczas, zgodnie z tą imperialistyczną dialektyką, postępowanie Stalina w odniesieniu do Powstania Warszawskiego byłoby uzasadnione. Jak najwięcej zniszczeń, jak najwięcej mordów, likwidacja polskiej inteligencji i warstwy przywódczej, zrównanie stolicy z ziemią.

Ale w sierpniu 1944 roku plany Stalina były już inne. Rosja, przez wypadki wojenne, została włączona do obozu państw zachodnich, wykorzystana z ich pomocy, chcąc nie chcąc, musiała się do nich przybliżyć. Pierścień, który dotychczas izolował Rosję od reszty świata, rozpętał się pod uderzeniami ostatnich lat. Styl życia i rządów nie uległ w Rosji zmianie, ale liczni jej mieszkańcy, nawet ci, którzy trafili tylko do Niemiec, przekonali się, że gdzie indziej żyje się inaczej. Poza tym odpadł niemiecki partner złodziejskiej spółki z roku 1939. Ówczesny sposób myślenia, bardzo zbliżony u Hitlera i Stalina, nie był już obecnie możliwy. Stalin wiedział o tym i dlatego już w roku 1941 zmienił swe plany i powrócił do starej koncepcji Trockiego, która przewidywała stworzenie satelickiego państwa polskiego u boku Rosji i danie Polakom prawa do skromnej egzystencji na okrojonym terytorium. Niestety, Wielka Brytania i Stany Zjednoczone ten punkt widzenia zaakceptowały.

Było więc jasne, że skoro nie można Polaków po prostu wymordować, trzeba się będzie z nimi liczyć. Na przestrzeni wieków wykazali oni tyle preżności, taką pogardę śmierci w walce o wolność, taką niezależność myśli, że nawet potężna Rosja nie mogła tego lekceważyć. Stalin wiedział doskonale, że jest przez Polaków znienawidzony, że pogardzają wszystkim co moskiewskie, a zwłaszcza rosyjskim wydaniem komunizmu. Nie mógł też mieć złudzeń odnośnie opinii jakiej zażywała hołubiona przez niego grupka polskich komunistów i agentów, której kazal wystąpić w roli polskiego kierownictwa politycznego. Należało coś zrobić, należało za wszelką cenę zdobyć się na czyn, który by tę wrogość polską osłabił, który by polskie nastawienie zmienił.

I oto wybucha w Warszawie powstanie.

Początkowo wydawało się, że okupanci zostaną wyparci, że Armia Krajowa osiągnie powodzenie, ale już po kilku dniach, gdy front wschodni zamarł a Niemcy ściągnęły posiłki, stało się jasne, że słabo uzbrojeni powstańcy nie sprostają bezwzględnej przewadze nieprzyjaciela.

Może w innych okolicznościach powstanie wygasłoby znacznie wcześniej, ale nie było o tym mowa w Warszawie po pięcioletniej, barbarzyńskiej okupacji. Ładunek nienawiści, nagromadzony w ciągu tych lat, był tak wielki, pęd do wolności tak nieposkromiony, konieczność walki do ostatniego pocisku tak oczywista, że bój o stolicę, a wraz z nią o prawo do życia, począł się przeciągać ponad logiczną możliwość i ponad normalną ludzką wytrzymałość.

Warszawa ginęła i spalała się w ogniu własnego poświęcenia młodych serc, które nie chciały się poddać. Warszawa ginęła a na drugim brzegu Wisły stały milczące dywizje Stalina i przyglądały się bezczynnie płonącemu miastu. A przecież właśnie wtedy należało pójść naprzód, właśnie wtedy należało uderzyć na Niemców i dać pomoc powstańcom. Obrońcy byli już zdziśiatkowani i skrwawieni, ludność cywilna doprowadzona do ostatecznego wyczerpania, więc wkraczająca do stolicy i niosąca jej pomoc Armia Czerwona byłaby witana jak wybawca. W jakże wielkim stopniu taki akt dobrej woli podważyłby stare urazy, przesłonił ponurą przeszłość, stworzył pomost do przyszłego porozumienia i współżycia.

Ale Stalin milczał.

Jego patologiczna nienawiść do wszystkiego co polskie, jego zwyrodniała ochota do posługiwania się morderstwem i wyniszczeniem, jego cynizm w odniesieniu do ludzkiej krzywdy kazały mu zapomnieć o politycznych następstwach takiego postępowania, odebrały mu możliwość chłodnego rozumowania, które w przeszłości przyniosło mu tyle sukcesów.

Warszawa spłonęła i nie doczekała się pomocy a wraz z nią spłonęły także szanse na zmniejszenie przepaści dzielącej obydwa narody.

Czy należy tego żałować?

Nie, bo pomoc rosyjska, dana Warszawie, byłaby tylko grą polityczną a nie ludzkim odruchem narodu, który przychodzi napadniętemu z pomocą.

Gdyby wojska sowieckie udzieliły wówczas Warszawie pomocy, byłoby to rozumne pociągnięcie Stalina, patrzącego w przyszłość i działającego rozsądnie, ale nie zmieniającego swego stosunku do Polaków. Taka pomoc i taka wspólna walka osłabiłyby czujność naszego narodu i pozwoliłyby bolsze-

wikom na osiągnięcie wielu celów, do których daremnie dążyli w późniejszych latach. Sowietyzacja naszego kraju byłaby znacznie łatwiejsza, jego odporność w walce z komunizmem znacznie mniejsza.

Powstanie Warszawskie przeszło do historii nie tylko jako najbardziej heroiczny zryw wolnościowy ubiegłej wojny, ale także jako najbardziej wymowny przykład cynicznego stosunku Kremla do naszej wolności, do naszych praw i do naszej krwi.

I nie tylko do naszej. Stosunek Rosjan do powstania otworzył oczy Zachodowi, wykazał mu dobitnie, z kim ma do czynienia, odsłonił zaborcze sowieckie plany, które dotychczas były zręcznie kamuflowane frazesami o samostanowieniu i demokracji.

Właśnie od chwili Powstania Warszawskiego rozpoczął się zwrot w opinii społeczeństw zachodnich w stosunku do Rosji i jej zamiarów. Wprawdzie

zwrot ten nie pobudził do działania i Stalin mógł bez przeszkód rozprawić się z Polską i pochłoniąć całą środkową Europę, ale sam fakt, że świat dojrzał wreszcie niebezpieczeństwo i że zaczął się z nim liczyć stanowił wielki krok naprzód.

Gdy z tego punktu widzenia spojrzymy na powstanie, nabierze ono w naszych oczach zupełnie innych wymiarów. Wprawdzie walka rozegrała się tylko w ramach jednego miasta, ale jej znaczenie wykroczyło daleko poza Warszawę i poza granice naszego kraju.

Walczyliśmy przede wszystkim o naszą wolność, ale także i o cudzą. Walczyliśmy o prawo do życia dla wszystkich, którym przemożna siła prawa tego odmawiała i odmawia.

Musimy o tym pamiętać, gdy po raz dwudziesty pochyli się nad Warszawą i nad grobami młodych jej obrońców — noc sierpniowa.

Józef Garliński

SIERPIEŃ 1914

Ogłaszamy dziś wspomnienia i refleksje kilku bliskich towarzyszy broni Józefa Piłsudskiego z czasów, gdy swe romantyczne marzenia wyzwolenia Polski z bronią w ręku postanowił wprowadzić w czyn. Jest wśród nich żołnierz 1. Kompanii Kadrowej, generał Tadeusz Kasprzycki, jest piewca epopei legionowej Juliusz Kaden-Bandrowski. Pułkownikowi Wacławowi Chocianowiczowi składamy tą drogą serdeczne podziękowanie za trud skompletowania ogłaszanych materiałów.

TADEUSZ KASPRZYCKI

ROK PIERWSZY WOJNY

(Według książki: „Kartki z dziennika oficera I Brygady”).

I

Po latach — parę zeszytów dziennika, zapisanych ręką kapitana „Zbigniewa“, oficera sztabu Komendanta Józefa Piłsudskiego.

Przerzucam kartkę za kartką ze wzruszeniem i uśmiechem. Pierwsze kroki żołnierza, chwile porywu, chwile uniesień, godziny troski i zwątpień. Płynie obraz za obrazem we mgle wspomnień. Długi korowód postaci, kolegów i długi szereg cieni tych, co odeszli.

Jak wielu zabrał los spośród dzielniejszych, jakże brak teraz tych ludzi woli i charakteru.

Wydaje się, że przeżyliśmy to wczoraj... gdy na rozkaz Komendanta Głównego stanęły tysiące młodzieży aby z bronią w ręku złożyć dowód niespożytości polskiego ducha. Stanęli w szeregu z wesołą ochotą i głęboką wiarą w sprawę chłopcy ze wsi i miasta, z fabryk i uczelni. Zaprawiał ich od lat Komendant do tej chwili.

Tak dalekie już, a jednak tak bliskie jest to wczoraj.

Potężny szmat drogi odbyliśmy, idąc ku Polsce.

Jak dwa graniczne kamienie w wyobraźni stają dwie defilady które się przed oczyma mymi przesunęły.

Niegdyś, rok 1913, Szwajcaria St. Gallen — „garstka szaleńców“, pluton, strzelecki pod obywatelom Sępem-Skotnickim na obcej kamienistej drodze łopotem stóp wybija takt niedoścignionym, zda się marzeniom o Polsce. I w 1932 r., ćwiczenia pod Murem Nowogródzkim, u wschodnich rubieży Rzeczypospolitej, impetyczny galop defilujący pod generałem Skotnickim brygady...

„...kartki z dziennika“ — w znacznej mierze dokument chwili, stanowią one przyczynek, który rzuca tu i ówdzie smugę światła na okres ważny w dziejach naszej wojskowości odrodzo-

nej: pierwszy rok wojny, który był szkołą polskiego żołnierza i dowódcy.

Stanowi rok ten dla nas, żołnierzy Polski, którzy przechodzimy, i dla tych, którzy nadejdą — wartość cenną; zatracić ją byłoby szkodą dla sprawy.

Ten okres pierwszej pracy wojennej był jakby ostatnim, wyższym rokiem szkoły strzeleckiej.

Wykształcił on ostateczny typ żołnierza legionowego, żołnierza ideowca, który wyrasta na specjalnym podłożu moralnym, zasadniczo różnym od zwykłego podłoża kariery zawodowej. Spędzony w atmosferze braterskiego współżycia romantyzmu pierwszych uniesień bojowych stanowi dla każdego z nas złotą kartę życia, na które chwile ówczesne wywarły decydujący wpływ, dając mu wyraźnie zarysowany kierunek duchowy, hartując i krzepiąc charaktery.

Urok tych przeżyć zawdzięczamy przede wszystkim roli Komendanta Głównego. Od początku wystąpienia w pole wziął na siebie cały ciężar położenia, otoczył żołnierza troskliwą opieką i prowadził bezpośrednim swym wpływem dalszą pracę wychowawczą.

Otoczony złośliwą nieufnością zawodowców, młody o przeczulonej ambicji i wrażliwości żołnierz legionowy, bez ojczyzny prawie, narażony na to, by stać się przedmiotem podstępnych poczynąń zaborców lub osobistych korzyści obcych i rodzimych karierowiczów — mógł się załamać duchowo i stracić wartość ideową, którą w przyszłości miał dać odrodzonej armii polskiej.

Potrafił Komendant Główny ochronić nas nie tylko od wpływu rozkładu, jaki niosło położenie polityczne, ale również od załamania ciosów wojny, wprowadzając z całą ostrożnością i najwyższą troską w sferę ciężkich przeżyć bojowych. Mielśmy w ten sposób zapewnione najlepsze warunki, w których kształtować się mogą wartości psychiczne i morale żołnierza.

Po roku byliśmy gotowi na przyjęcie na siebie jakichkolwiek uderzeń losu. Spojeni w zwarty blok, silny poczuciem swej wartości i zadań, stanowiliśmy zespół, na który „nie ma śmierci“.

Był to dla każdego z nas, żołnierzy I Brygady, rok najlepszy — szkoła wojny, szkoła życia. Był to posiew, który w nielicznych chyba wypadkach dał się zagłuszyć chwastom zwątpienia i egoizmu.

W tej atmosferze przebiega praca bojowa oddziałów I Brygady

Kampanie 1914 i 1915 roku cechuje barwność i różnorodność działań wojennych. Wyczerpują one jakby cykl taktyczny, dający całkowity obraz zjawisk boju i służby w polu. Od samodzielnych działań najdrobniejszych oddziałów do bitew, rozegranych przez wielkie masy wojsk, opartych o potężną artylerię; od

ruchomych, ryzykownych, romantycznych manewrów do twardej walki o każdą piędź ziemi — przewija się przed nami wartki potok zdarzeń pierwszego roku wojny.

Stworzyć to musiało pierwszorzędnymi warunkami zaprawy dla dowódcy i żołnierza. Wydobyć na światło wojennych przeżyć, doświadczeń, opracowanie nauki, z nich płynącej, stanowi najlepszy środek wychowania nowych pokoleń żołnierskich. Ciężka, wieloletnia, obfitująca w piękne momenty ofiarności, brawury i zręczności taktycznej, praca oddziałów legionowych stanowi pod tym względem kapitalne źródło.

Obok wielu pięknych obyczajów taktycznych znajdujemy w życiu wojennym Legionów, a I Brygady w szczególności, niejedną cenną wartość psychiczną czy moralną, na którą jako na przykład zapatrzyć by się warto.

Głęboko zaszczerpane poczucie honoru żołnierskiego, który oparty o wiarę w Sprawę i Wodza, nie cofa się nigdy przed ostatnią ofiarą, a coś dopiero przed podporządkowaniem siebie w tło-

ku codziennych przykrości czy ukłuć losu.

Albo to wybujałe uczucie solidarności, które jasną smugą oświeśla wewnętrzne życie brygady i ujawni się wszędzie — od najmniejszej komórki, „sitwy“, dwóch związanych ze sobą aż poza życie szarych piechurów, do pulsującego unisono gorącą krwią związku całości.

Już pierwszy ten rok dał nam wreszcie tę zdobycz i przewagę moralną, która, potężniejąc z roku na rok w zdrowych częściach wojska, wyrasta do zjawiska, jakiego nie ma żadna armia czasu wielkiej wojny czy pokoju, co po niej nastąpił — żołnierskie przywiązanie do Wodza. Zcementowało ono ówczesne zanarchizowane zwątpiałe młode pokolenie, w falangę twardych pracowników w nieustępliwej służbie dla Polski.

Z czystych źródeł bierze początek szeroki i rozległy nurt naszej pracy. Zachować kierunek wtedy wytknięty, to utrwalić mocną podstawę zdrowego ducha żołnierza Polski.

Tadeusz Kasprzycki

S. SKWARCZYŃSKI — Londyn

REALIZATOR ROMANTYCZNEJ WIZJI

W latach poprzedzających wybuch pierwszej wojny światowej w 1914 roku panował w Polsce wszechwładnie „Pozytywizm“. Klęska Powstania 1863 roku wywołała sceptycyzm w stosunku do idei powstańczej, spotęgowany jeszcze załamaniem się ruchu rewolucyjno-niepodległościowego, prowadzonego na terenie zaboru rosyjskiego przez Polską Partię Socjalistyczną w latach 1904-8. Wytyczną pracy społecznej i publicystyki było hasło „pracy organicznej“. W tych warunkach wszelka myśl o walce zbrojnej o niepodległość traktowana była, albo pobłażliwie jako romantyczne marzenia młodzieży, które wyszumiały z głów gdy młodzież dojrzeje, bądź też z surowym zgorszeniem jako szkodliwy romantyzm.

Ta romantyczna nomenklatura przylgnęła nieodłącznie do wszystkich pionierów walki zbrojnej o wolność z Józefem Piłsudskim na czele i towarzyszyła szeregom jej zwolenników przez cały czas przygotowań do walki przed sierpniem 1914 roku, w czasie walk legionowych, w czasie pracy i walk Polskiej Organizacji Wojskowej. Marszałek Józef Piłsudski w swoim przemówieniu na Zjeździe Legionistów w Lublinie, rozprawił się z tą romantyczną etykietką, w sposób dość sarkastyczny.

A jednak, gdy dziś z perspektywy lat patrzymy na życie Józefa Piłsudskiego i nasze, pod jego komendą pro-

wadzone prace i przebyte walki, widzimy dużo elementów mających wyraźnie romantyczne zabarwienie.

W okresie panującego w Polsce „Pozytywizmu“ wśród młodzieży studiującej twórczość polskich romantyków zaistniała potencjonalnie idea niepodległościowa, właśnie z dzieł tych romantyków wyczytana, która później na skutek działalności Józefa Piłsudskiego, przerodziła się w żywą kinetyczną siłę. Wiele wypowiedzi i działań samego Józefa Piłsudskiego nosi wyraźne piętno romantyzmu.

Jego dzieciinne i młodzieńcze marzenia o walkach powstańczych, że na czele oddziałów powstańczych wejdzie do Wilna, wielokrotnie przez niego wspominane, między innymi w liście do gen. S. Szeptyckiego z dnia 7.IV.1919 r., gdzie obok innych powodów postanowienia osobistego dowodzenia operacją na Wilno pisze: „Operacja ta jest ziszczeniem moich personalnych czysto marzeń i zadowoleniem może największym ze wszystkich zadowoleń, jakie spotkały mnie w dotychczasowej karierze“.

Jego wypowiedź, że nie chciał dopuścić by, gdy na ziemiach polskich zmagać się będą obce potęgi, zabrakło tam polskiej szabli.

Przejsie z Krzywopłot przez Ulinę do Krakowa pomiędzy przednimi strażami, a główną siłą armii rosyjskiej, dokonane po to tylko by żołnierz polski

walczył o ziemię polską a nie o granicę niemieckie.

Jego częste pojawianie się w pierwszej linii bojowej na najbardziej zagrożonych odcinkach, bez realnej konieczności pracy dowódczej.

Wszystkie te wypowiedzi i działania, których możnaby więcej przytoczyć mają bezsprzecznie romantyczne zabarwienie.

Ale Piłsudski był realistą w pełnym tego słowa znaczeniu. Płk Henryk Piątkowski w swoim „Krytycznym Rozbiorze Bitwy Warszawskiej“ stwierdza z dużą dozą słuszności, że podstawą metody dowodzenia Marszałka Piłsudskiego było oparcie jej na konkretnej sytuacji a nie na hipotezach o możliwości działań nieprzyjaciela. Sam Piłsudski mówiąc na Zjeździe Legionistów w Krakowie w 1922 r. o pracy wodza stwierdza, że obowiązkiem jego jest robienie ścisłego rachunku, gdzie nie wolno brać pod uwagę sentymentów ani mierzyć fantazją, lecz trzeba rachować chłodno.

Jakże więc można pogodzić romantyzm Józefa Piłsudskiego z jego metodą pracy opartą na konkretnej sytuacji i zimnym, bez sentymentu i fantazji robionym rachunku?

Rozpatrzmy tę sprawę na przykładzie historycznej decyzji wymarszu do walki dnia 6-go sierpnia 1914 r., którego 50-tą rocznicę obchodzimy w tym miesiącu.

W dniach sierpniowych 1914 r. wymaszerowała z Krakowa ku granicom ówczesnego „Królestwa Polskiego“ mała garstka „strzelców“ do walki o wolność Polski. Na ziemiach polskich stanęły przeciw sobie do walki milionowe armie zaborców Polski, którzy niewątpliwie nie mieli na uwadze interesów polskich lecz byli do Polski i jej spraw nastawieni wrogo.

Zryw powstańczy „Strzelców“ Piłsudskiego nie miał moralnego oparcia w nastrojach społeczeństwa polskiego w Królestwie, które w przemożnej większości było mu przeciwne. Czyn tej garstki żołnierzy, nie mający pozornie żadnych szans powodzenia, mógł być poczytany za romantyzm graniczący z szaleństwem.

Jak mógł wyglądać rachunek Wodza tej garstki, Józefa Piłsudskiego, który później w roku 1922 na Zjeździe Legionistów w Krakowie powiedział: „Ja nie byłem ślepy — a do tego rachunku, który mi wypadło robić przed 6-tym sierpniem, długo się przygotowywałem“.

Zdecydowany, od lat pierwszej młodości, dążący do walki zbrojnej o niepodległość, Piłsudski widział, że nikt Polsce nie da niepodległości, lecz Polacy muszą ją sobie sami wywalczyć. Uznał, że jeżeli w momencie, gdy zaborcy stanęli do walki, Polacy nie chwycą za broń, by walczyć o wolność

— jeśli zabraknie tej symbolicznej polskiej szabli, to sprawa niepodległości Polski zostanie na zawsze pogrzebana. Przemyślał już dawno przed sierpniem 1914 roku prawdę, że powstanie może mieć tylko wówczas widoki powodzenia, gdy nastaną okoliczności osłabiające siłę zaborców w tym stopniu, że narastające siły rewolucyjne będą ją mogły zrównoważyć. Pisał już o tym w memoriale złożonym rządowi japońskiemu w 1904 r. mówiąc, że Polska Partia Socjalistyczna nie wszczyniała dotychczas akcji rewolucyjnej, gdyż okoliczności temu nie sprzyjały „jako takie były uznane: 1) zawiłkiania wewnętrzne Rosji, osłabiające jej potęgę i powagę, 2) zawiłkiania wewnętrzne, które przy tak zaborczej polityce Rosji musiały nastąpić”. Za nieodzowny warunek możliwości skutecznej walki powstańców z armią zaborców uważał Piłsudski uprzednie przygotowanie kadry dowódczej powstania. Taką kadrę szkolono w Związku Walki Czynnej, Strzelcu i innych organizacjach wojskowych od 1908 roku.

Prawdopodobieństwo wojny pomiędzy zaborcami Piłsudski uważał za konkretne już na kilka lat przed 1914 rokiem. Przewidywał, wbrew powszechnie panującym wówczas opiniom wśród polityków i strategów europejskich, że zmagania się tak potężnych obustronnie przeciwników, musi potrwać długo, co doprowadzi do dużego wyczerpania sił i że w wyniku tego zarówno zwyciężony jak i zwycięzca będą w dostatecznym stopniu osłabieni, by nawet słabe siły, które Polacy zdążą w czasie trwania wojny zorganizować, będą w stanie zaważyć na szali. Te przewidywania Piłsudski sformułował w początku 1913 roku w wywiadzie danym red. Hiasce.

Nad przełamaniem przeciwnych ruchowi powstańczemu nastrojów społeczeństwa, Piłsudski pracował usilnie. W zaborze rosyjskim, a więc na terenie przyszłej walki praca ta nie dawała pożądanых rezultatów. W chwili wybuchu wojny w 1914 roku z wejściem „Strzelców” na teren Królestwa Polskiego, Piłsudski liczył, że w przełamaniu tych nastrojów pomoże mu właśnie polski romantyzm. Liczył, że widok mundurów polskich i rozgłos piosenki żołnierskiej rozbudzi naród z uśpienia i przełamię nastroj na korzyść walki powstańczej.

Do powyżej przytoczonej charakterystyki działalności i pracy myślowej, stanowiącej podstawowe elementy rachunku Piłsudskiego, dodać należy element nie mniej ważny, a może najważniejszy: położenie silnego nacisku na wartości moralne człowieka, nad których wyrobieniem u swoich podkomendnych usilnie pracował. W odczycie pt.

„Mobilizacja Powstania“, wygłoszonym we Lwowie w 1912 roku z okazji rocznicy powstania listopadowego, nazwał te wartości: „ulepszeniem duszy ludzkiej“, którego należy wymagać od siebie i od innych „tak, ażeby była zdana jako materiał do zwycięstwa rewolucji“.

Tak w moim rozumieniu, opartym na znajomości „Pism, Mów i Rozkazów“ Józefa Piłsudskiego oraz na niejednokrotnie bliskich z nim osobistych kontaktach, przedstawiają się podstawy rachunku robionego przez Piłsudskiego przed decyzją wymarszu w dniu 6-tym sierpnia 1914 roku.

Józef Piłsudski, wielki realista, obdarzony zdolnością dalekowzrocznego przewidywania rozwoju wypadków politycznych i siłą charakteru, stanowiącą podstawę konsekwentnej pracy realizatora, osiągnął urzeczywistnienie celu, zrodzonego przez romantyczną wizję swojej młodości.

Stanisław Skwarczyński

HENRYK KONAS

Żołnierz I Brygady

NA DZIEŃ 6-go SIERPNIA

Kraków, jako „Wolne, Królewskie Miasto“, korzystające ze szczytkowych przywilejów pozostałych z nadanego mu na Kongresie Wiedeńskim statutu — stawał się w dobie popowstaniowej coraz to wyraźniej centralnym ośrodkiem umysłowego i kulturalnego życia całej Polski.

Zbyt silne były jeszcze wspomnienia doby Kościuszkowskiej, czasów napoleońskich, 1831 i 1863 roku oraz „Wiosny Ludów“, by można było wypłenić z umysłów i serc tęsknotę do utraconej wolności.

Posiane raz ziarno przez wieszczów i duchowych przewodników Narodu zaczęło wydawać plon. Ożyła myśl politycznego rozważania, u której podstawy rysowała się dążność do zmiany istniejącego po ostatnim powstaniu stanu, nie tylko na wcielonym do monarchii habsburskiej obszarze, ale we wszystkich zaborach.

W niektórych, śmielszych bardziej radykalnych kołach rozważano sprawę odzyskania niezawisłości politycznej nawet całej Polski, co w opinii większości społeczeństwa uważane było za nieosiągnięte i nierealne marzenia, a w pewnych kołach nawet za zgubne mrzonki.

Wizjonerstwo „Czynu“ tak silnie akcentowane w twórczości Wyspiańskiego, najwyraźniej podkreślał i głosił Piłsudski, uznający odzyskanie niepodległości jako cel, a „Czyn Zbrojny“ jako podstawę i warunek wszelkiego w tym

kierunku wysiłku i działania. W konsekwencji tego wprowadzał do organizacji pozostających pod jego kierownictwem pierwiastek walki, jako element zasadniczy i najważniejszy.

Zewnętrznym i fizycznym wyrazem wspomnianych prądów stawały się różne związki i organizacje o różnych kierunkach i celach, w większości młodzieżowe, obejmujące w zasadzie wszystkie jej warstwy tak miejskie jak i wiejskie.

Wszystkie te organizacje prowadziły w pierwszym okresie swego istnienia żywot raczej konspiracyjny, który w wyniku konstelacji ogólnopolitycznej stawał się bardziej jawnym i otwartym. W miarę wzrastania napięcia politycznego ruch ten początkowo jedynie tolerowany przez władze austriackie był z czasem przez nie dodatnio oceniany, a nawet w pewnej mierze popierany z uwagi na upatrywanie w nim pewnych korzyści dla monarchii w wypadku powikłań międzynarodowych, a przede wszystkim w wypadku wojny z Rosją.

Przeobrażenia pośród społeczeństwa polskiego, które ogarniały coraz to szersze warstwy oraz tolerancja władz austriackich — wytwarzały specyficzną atmosferę, jaka panowała w Krakowie przed wybuchem pierwszej wojny światowej. Kraków przedstawiał w tym czasie szczególnie frapujący obraz tak w wewnętrznym życiu miejscowego społeczeństwa, jak również w zewnętrznych jego przejawach. Początkowa sensacja jaką było ukazanie się na ulicach miasta zwartego oddziału polskiego — stała się z czasem zjawiskiem normalnym i nikogo zbyt nie dziwił obraz maszerujących, szczególnie niedzielnymi rankami, różnych formacji z emblematami polskimi, niektóre w czapkach maciejówkach z orzełkiem, przy dźwiękach trąbki lub śpiewie, a czasem nawet i z bronią.

Pamiętam była w roku 1913 stułetnia rocznica śmierci ks. Józefa Poniatowskiego w bitwie pod Lipskiem, którą ośrodki polityczno-wojskowe wykorzystywały dla wielkiej manifestacji nie tylko patriotycznej, ale do pewnego rodzaju przeglądu faktycznych, fizycznych możliwości i sprawności wojskowej. Obok — na wielką skalę zorganizowanej uroczystości — odbyły się ćwiczenia wojskowe, wspólne dla wszystkich organizacji włącznie do harcerstwa jako służby pomocniczej. Kraków odświętnie odziany i przybrany manifestował bodajże po raz pierwszy po tragicznym 1863 roku, poza uroczystością grunwaldzką, na tak wielką i wszechstronną skalę, uczucia, myśli, pragnienia i prądy wszystkich Polaków ze wszystkich zaborów.

Ta wspaniała manifestacja wszystkich warstw społeczeństwa polskiego

— napawała wszystkich otuchą niezależnie od kierunków myśli i celi, że są chwile, w których potrafimy się zdobyć na wspólny wysiłek, jeżeli chodzi o sprawę całego Narodu. Niezbyt długo trzeba było czekać na próbę ogniową tego entuzjazmu, woli i gotowości do największej i najświętszej ofiary na ołtarzu miłości Ojczyzny.

I dzień taki nadszedł — dzień wojny. Z mgieł porannych, rozpraszanych przez wschodzące słońce rodzi się dzień SZOSTEGO SIERPNI 1914 ROKU.

Wyłaniające się kontury Zamku Wawelskiego i Kopca Kościuszki zdawały się zdumiewać tym co się działo w rejonie placu wystawowego, zwanego „Oleandrami“, graniczącymi z jednej strony z Błonią, z drugiej zaś z parkiem Jordana. Strażnice te, chroniące najświętsze pamiątki i relikwie polskiej Dumy i Wolności — zastygłe w bezruchu po ostatnim powstaniu drgnęły z zadziwienia, widząc jak obrazy Grotgera i wizje Wyspiańskiego nabierają kolorów życia, jak nowa rzeczywistość polska rodzi się z bujnej przeszłości. Nie skarleli, nie umarli — wstają, żyją, chwytają za broń — szeptały duchy wawelskie, śniące z przeszłości sen nowej przyszłości.

A w „Oleandrach“ działo się coś nadzwyczajnego, coś, co odwracało nową kartę w historii walk o Niepodległość Polski.

I na to święto wojny szykowało się gromada młodzieży, robotników, inteligentów, uczniów, chłopów, studentów i harcerzy pod wodzą naczelną Józefa Piłsudskiego, ta garstka, która usłyszała „...tętent od Krakowskiego Gosińca...“ i wyteńczyła słuch, by echo Niepodległości nie przeszło mimo, by tchnęło ją „Królem Duchem“ i prowadziło jak jej Ojców na bój o Naszą i Waszą Wolność.

A gdy poranne mgły i promienie słońca zalały Błonia Krakowskie — wysunęła się w ciszy z „Oleandrów“ kolumna rycerzy polskich, nie w pancerzach i konno, ale w powstańczym odzieniu i takimże uzbrojeniu, jak kto mógł, z zawiniątkiem, plecakiem lub tornistrem, wszyscy z orzełkami na okryciu głowy, o jednym celu, jednej tęsknocie i wołali walki o POLSKĘ.

A rozradowane strażnice polskiej przeszłości błogosławiły, powierzając im dumę, ból, chwałę, tęsknoty i nadzieje zwycięstwa całego Narodu Polskiego.

Henryk Konas

JULIUSZ KADEN-BANDROWSKI

NA MARGINESIE LITERATURY LEGIONOWEJ

Z teki pośmiertnej wspomnień i dokumentów śp. dra Józefa A. Teslara

DZIAŁ LITERACKI

„GAZETY POLSKIEJ“

Z DNIA 20 SIERPNI 1939

Z literaturą legionową tyle będą mieli na pewno kłopotu uczeni krytycy, ile z Legionami fachowcy-historycy działań regularnej armii. Podobnie bowiem jak legionowe wojsko regularną armią nie było, tak samo literatura legionowa nie była literaturą „regularną“; czyli literaturą składającą się z szeregu szkół i dzieł, wykończonych w formie, związanych ściśle ze swym środowiskiem.

Jaką twórczość należy uważać za literaturę legionową, gdy twórczość ta składa się z rozrzuconych, zawsze w prędkie pisanych fragmentów, utworów, okolicznościowych, czy przyczynków opisowych? Fragmenty te w oddaleniu czasu tracą niejednokrotnie swą wartość, ale przecież w literaturze legionowej zachowują ją na zawsze, jako że stanowiły czy to wielki przełom w nastroju żołnierskiego ogółu, czy opiewały jakąś wyjątkowo doniosłą chwilę. Któż oceni dzisiaj, jak należy, utwór nieodżałowanego Mączki pt. „Fanfary I-ej Brygady“, gdy nie wie, że było to uczczenie zakupu srebrnych trąbek dla pułku szwoleżerów a zarazem, że były

to strofami poety wyrażone rycerskie śluby I-ej Brygady z innym pułkami legionowymi?

Szanowna, dobrze urodzona i wychowana literatura musi mieć przecież swe zasadnicze, kapitalne dzieła, swe środowisko stałe, przedmiot swojego wątku jasno określony, wreszcie wpływy pośrednie, bezpośrednie, dalsze, bliższe, najdalsze, pokrewieństwa, koligacje rodzinne, zagraniczne. W literaturze legionowej nie masz tego wszystkiego. Przede wszystkim przedmiot poezji, czy prozy nie mógł być w okresie samychże narodzin literatury tej nazwany po imieniu.

Nie wolno było przecież pisać o polskim żołnierzu, cenzura galicyjska słowo żołnierz polski skreślała ze wszystkich naszych legionowych utworów. Miejsce akcji skreślała owa cenzura również aby się wróg nie domyślił przypadkiem, na którym to odcinku frontu Legiony walczyły, czy też walcza.

Na dzieła zasadnicze, jak się mówi w gwarze historycznego wywodu kapitalne, żaden z legionowych pisarzy nie miał czasu. Owszem i nad nami biadano, że nie umiemy sprostać wiel-

kości epoki, że się nie zdobywamy na epopeę. Ale myśmy byli szczęśliwi, jeżeli udało się nam złapać bodaj jedną spokojniejszą chwilę dla napisania wiersza, czy też poetyckiego sprawozdania.

Jak mieliśmy sobie dawać radę ze środowiskiem? Literatura musi mieć przecież własne środowisko, które raczej odtwarzać. Naszymi środowiskami bywały pułki piechoty, artylerii, czy kawalerii, które zmieniały się, przestawały po każdej większej bitwie. Po bitwie pod Łowczówkiem, czy też pod Konarami, czy pod Kołodziejami na Wołyniu zmieniały się gruntownie zespoły ludzkie. Z szeregów każdego pułku wypadało po kilkuset żołnierzy, uzupełnionych później przez nowych, całkiem innych, poniekąd obcych starej tradycji danego otoczenia.

Cóż dopiero mówić o wpływach, tak pono ważnych w historii każdego piśmiennictwa? Dalekie echa powstań z żołnierskiej piosenki — oto wpływy. Poza tym żadnych wczorajszych czy dzisiejszych czy przedwczorajszych wpływów nie było.

Która literatura zasługuje na miano legionowej ze względu na czas swego powstania? Czy ta, którą pisano „aktualnie“, w Legionach o Legionach, czy również ta, która narastała już później w Polsce niepodległej, w postaci dzieł bardziej już opracowanych i dojrzalszych?

Wedle mego mniemania za literaturę legionową w ścisłym tego słowa znaczeniu należy uważać tylko tę właśnie, którą pisano między 1914 a 18 rokiem w Legionach o Legionach. To jest ta rodowa herbowa, nieodrodna literatura legionowa, i dzika i płaczliwa, beczelna a zarazem natchniona, postrzępiona, dorywcza, wędrowna a zarazem najwierniejsza bólowi i straceńczym radościom, którymi żyły dębiny, pitulinki, relutony, Beliniaki, którymi żyły ciupciupy, czyli sapery, artylerzysty i wszelkie intendenty, obiecujące razem z fasowaną kawą i owijaczami przywieźć do okopów Polskę — ni z tego ni z owego na pierwszego!

To jest ta najwierniejsza literatura legionowa, ona bowiem odtwarza całkowicie ówczesny stan polskiego wojska powstańczego. Jak zawsze jednak w nauce a więc i w historii literatury im śmielsze twierdzenie, tym później liczniejsze od zasady wyjątki. Nie żałujemy sobie i my tych wyjątków.

Chyba jeden jedyny spoza Legionów umiał się prosto od stolika kawiarnianego wkupić do tej literatury, poeta, który choć nie był w żadnym pułku, wszystkie odczuł, ukochał, a mianowicie Edward Słoiński, może dziś w naszych radościach niepodległego bytu nie dosyć oceniony. I drugi, nie poeta a nowelista, powieściopisarz, który był bardzo krót-

ko w szeregu, bo zdrowiem arcyślabym nie dał rady, to Piotr Choynowski. Ci dwaj spoza żołnierskiego koła przeczułi owe koło tak wiernie, że literatura legionowa przyjęła ich i pośród pisarzy legionowych mają swe zacne miejsce.

I inne dwa wyjątki, czyli legionowi pisarze „zatajeni“, to jest, którzy pisali podczas wojny Legionów, lecz nikt o tym nie wiedział, później drukowali już w niepodległej Polsce, co przedtem napisali, ale nic nie zmienili w swych dawnych tekstach. Pierwszy z tych „zatajonych pisarzy“ to Sławoj Składkowski, czyli Chryzostom Pasek I-ej Brygady, drugi to brygadowy dziejopis, Wacław Lipiński. Był i trzeci, siarką i fosforem piszący Adam Dobrodzicki.

Wszyscy inni to pisarze legionowi „normalni“, czyli jak ich określał piszący i drukujący w Legionach o Legionach. Nie podobna rozpatrywać ich dzieł w oderwaniu od aktualnych spraw legionowego wojska. Może to wada ich, że się tak powiązali z losami swoich pułków? Wiem jednakże z pewnością, że pisarze ci nie pomieniliby żadnych najwytworniejszych cnót literackich za tę jedną serdeczną wadę. Wszyscy oni bowiem w okresie tym przesławnym mieli na widoku bezpośrednie służenie piórem wielkiej sprawie, a nie dbali o służbę pióra dla słownego piękna.

Spośród gromady legionowych pisarzy zacząć należy, gdy mowa o proza- torach, od Sieroszewskiego, to jest od jego zwiezłego a wspamałego zyciorysu Józefa Piłsudskiego. Pierwszy raz naród polski odbierał literacki zyciorys swego bohatera z rąk jakutkiego skazańca. Początek legionowej prozie sprawozdawczej dał Gustaw Daniłowski, uganiający na siwej kobyle za kadrową kompanią. Nie siliłbym się dziś na ocenę tej prozy. Jej ton sprawiał wówczas, pośród wrzawy wojennej, że się wzmagalo pośród nas rycerskie natchnienie, że zapalał nas roznosił.

Wśród innych prozatorów legionowych widzę na szanownych miejscach kochanego czwartaka Orkana, niestrudzonego Merwina z II-ej Brygady, Feliksa Gwiżdża, Mariana Dąbrowskiego, Pochmarskiego, Relidzińskiego, Teslara, że tylko tych wyliczę.

Zastęp poetów jest chyba równie dzielny. Prowadzi ich nieodwołalnie kapral Mączka. Mączka, Lubicz-Zahorski, który jednym swym wierszem o Łowcówku olśnił całą piechotę. Żuławski, który jednym sonetem do swych synów zelektryzował całą Małopolskę i nieodżałowany Długosz, młody Denhoff- Czarnocki i jeszcze wielu innych.

Wszyscy, których wspominałem, to, jak się to nam wówczas wydawało, literatura legionowa, lecz godna, uroczysta, ba, namaszczone. Obok tej namaszczonej istniała, że tak powiem, inna litera-

tura legionowa, — ludowa i satyryczno-polityczna. Twórcą pierwszej, to jest ludowej, był kapral Szczapa, świetny, niefrasobliwy pisarz wojskowego szeregu, a drugi, istny Stańczyk polityki legionowej, czyli Wieniawa-Długoszowski.

Wydaje mi się, że ta literatura legionowa nigdy porządnie opracować się nie da. Jakież to bowiem było, ile ważyło wówczas to nasze pisanie? Jakie było, zaznałem od żołnierzy I-ej Brygady na swojej własnej skórze. Oto gdy na swym koniu chuderlawym mijał kolumnę piechociarzy, jak to za mną wołali:

ZDZISŁAW PRZYJAŁKOWSKI — Sztokholm

WSPOMNIENIA Z ZAJĘCIA KIELC

Wybuch wojny zastał mnie we Lwowie. Mimo że wykłady na politechnice dawno się skończyły i większość kolegów rozjechała się do domów, pozostawałem jeszcze we Lwowie, by zdać jakiś zaległy egzamin. Jako „królewiak“ nie podlegałem mobilizacji austriackiej, a z armii rosyjskiej miałem odroczenie na studia. Będąc „Drużyniakiem“, czekałem na rozkazy, aż wreszcie któregoś z pierwszych dni sierpnia otrzymałem pismo Naczelnej Komendy Polskich Drużyn Strzeleckich z Krakowa, zawierający rozkaz mobilizacji Drużyn, moją nominację oficerską (miałem ukończoną szkołę podchorążych Drużyn Strzeleckich) oraz rozkaz objęcia Komendy Drużyn Strzeleckich we Lwowie, zmobilizowania pozostałych w mieście drużyniaków i jak najszybszego dołączenia wraz z nimi do Krakowa.

6-go sierpnia meldowałem się wraz z umundurowaną grupą Drużyniaków w Oleandrach. Niestety było już za późno, by zostać włączony do Pierwszej Kadrowej, która w tym dniu wmaszerowała w pole. Oczekiwałem wraz z innymi kolegami oficerami Związku na przydział, ćwicząc tymczasem zgłaszających się ochotników. Po kilku dniach, nieoczekiwanie zupełnie, zamiast do batalionu mającego odejść pod komendą Rysia-Trojanowskiego, zostałem przydzielony do Walerego Sławka z Komendy Głównej. Nie miałem pojęcia na czym moja praca miała polegać.

W kilka dni później, rankiem 12 sierpnia wyjechałem ze Sławkiem otwartym Fordem szosą miechowską do Kielc. Przybyliśmy tam bez przygód w drodze w godzinę czy dwie po wkroczeniu do miasta pierwszego oddziału strzeleckiego. Jadąc długą ulicą Kolejową przed Grand Hotelem natknęliśmy się na konny patrol Beliny. Na zapytanie gdzie Komendant, gdzie Belina — poinformowano nas, że właśnie Belina je obiad

— Ty, — Kaden, Kaden, oddaj no złoty pyłek, ha-ha-ha, złoty pyłek! — Była to niedwuznaczna przemówka do opisywanych przeze mnie wówczas z entuzjazmem złotych chmur kurzu, ulatujących spod nóg piechoty w marszu.

Dla nich cała ta pisanina była złotym pyłkiem. I taką, sądzę, na wieki zostanie nasza literatura legionowa. Tyle, że lotny pył, krążący w promieniach bohatera, Józefa Piłsudskiego, który prowadził swoich młodych żołnierzy przez krew, sławę, niewolę, cierpienie i zwycięstwo ku wskrzeszonej Ojczyźnie.

Juliusz Kaden-Bandrowski

w restauracji hotelowej. Zajechaliśmy więc tam, by zasięgnąć języka i samym też coś zjeść po długiej drodze z Krakowa.

W czasie obiadu i opowiadania przez Belinę i jego kilku towarzyszy swych wrażeń z wkroczenia do Kielc i spotkań z patrolami kozackimi — zostaliśmy zaalarmowani gwałtowną strzelaniną od strony dworca kolejowego. Beliniacy skoczyli do karabinów. Sławek i ja za nim, wypadliśmy pierwsi do bramy hotelowej. Ujrzelśmy w odległości najwyższej kilkadziesiąt kroków najjeżdżający od strony dworca kolejowego, samochód osobowy z oficerami rosyjskimi.

Sławek bez słowa, wyciągnął browning i z miejsca tak jak stał w otwartej na roście bramie, zaczął strzelać do szybko nadjeżdżającego i mijającego nas samochodu. Ja za jego przykładem. W samochodzie było czterech wojskowych, zdaje się, że sami oficerowie. Jeden z nich, na tylnym siedzeniu, wpół leżał, widocznie ranny lub zabity przed dworcem kolejowym. Na chodniku, o parę kroków ode mnie, jakiś Beliniak strzelał z kolana. Inny stojąc na jezdni walił za oddalającym się samochodem. Jeszcze inni biegli za już znikającym za zakrętem bocznej ulicy samochodem. Obok nas w bramie stał wysoki i szczupły uczeń w długiej pelerynie spod której wyciągnął sztucer i zdążył jeszcze oddać z niego jeden czy dwa strzały.

Było to śmiałe rozpoznanie rosyjskie, pełne fantazji kawalerskiej, lecz kosztowne. Przyjęci ogniem przed dworcem kolejowym, gdzie ostrzelali naszą placówkę, na którą wpadli, ostrzelani następnie przed Grand Hotelem i ponownie u wyjazdu z Kielc — zginęli wszyscy, a samochód roztrzaskał się o przydrożne drzewo.

Sławek zaimponował mi swoją błyskawiczną orientacją, zimną krwią

spokojem. Prawdziwy dawny bojowiec. Patrzyłem na niego z podziwem i szcunkiem. A dla mnie były to pierwsze strzały w tej wojnie.

Nie myśląc o dokończeniu obiadu popędziliśmy samochodem na dworzec, obsadzony przez kompanię strzelecką, która przyjęła ogniem samochód rosyjski. Tam dowiedzieliśmy się, że Komenda nasza znajduje się za torem kolejowym na pobliskim folwarku Czarnkówku.

Na Czarnkówku już pod wieczór, zastaliśmy Szeffa Sosnkowskiego i gros naszych sił. Komendant już wcześniej, zaraz po wkroczeniu do Kielc, wydaniu rozkazów i złożeniu wizyty biskupowi, odjechał do Krakowa, gdzie miało odbyć się jakieś zebranie polityczne.

Pierwszy raz w życiu znalazłem się na prawdziwym, a nie ćwiczebnym posterunku bojowym dowódcy i obserwowałem pracę dowodzenia. Duży folwarczny pokój zajmował Szeff i kilkunastu chyba oficerów. Znalazłem tam miejsce siedzące pod ścianą na podłodze, obok Zosika-Tessaro, oficera Związku Strzeleckiego i mego kolegi z politechniki. Co chwila wpadali strzelcy z meldunkami od Beliny, od placówek i wysłanych na rozpoznanie patroli i odchodzili z otrzymanymi od Szeffa rozkazami.

Szeff wydawał rozkazy spokojnie, chwilami z nutą żartobliwego humoru, tak dodatnio wpływającego na wszystkich obecnych. Nastrój był spokojny i poważny, bo i sytuacja była istotnie bardzo poważna. Meldunki donosiły o kilku pułkach kawalerii rosyjskiej wraz z artylerią wobec naszej garstki strzeleckiej.

Nadeszła noc, nie zmieniając w niczym sposobu bycia naszej Kwatery Głównej. Zdrzemnąłem się siedząc. Obudził mnie huk, wysadzanego przez nas toru

kolejowego. O świcie zaczęło napływać coraz więcej meldunków. Już przez lornetkę, a wkrótce nawet gołym okiem. można było obserwować ruchy kawalerii rosyjskiej na okolicznych pagórkach. Kompanie nasze, stojące na folwarku, częścią swych sił zajmowały wysunięte przed folwark stanowiska bojowe. Już dobrze było widno, gdy Sławek, otrzymawszy od Szeffa ustny raport dla Komendanta, kazał mi przygotować samochód do drogi. Wkrótce omijając miasto, zjechaliśmy koło lasów Karczówki na szosę krakowską. Był piękny słoneczny dzień. Ujechawszy kilka kilometrów, napotkaliśmy kłusujący w stronę Kielc pięknie i jednolicie umundurowany, z karabinkami przez plecy, oddział konnego Sokoła w sile 45 koni, pod dowództwem Śniadowskiego. Zatrzymaliśmy się na chwilę, by ich powitać, podać sytuację i poinformować gdzie mają szukać Komendy. Uprowadzili nas, że w pobliżu kręcą się patrole kozackie. Dodaliśmy gazu, lecz pech chciał, by... nawaliła opona. Kierowca zajął się jej zmianą — a ciężka to wówczas była praca — podczas, gdy ja ubezpieczałem, leżąc na skarpie drogi z jego karabinem, i wypatrując kozaków.

Przybyliśmy do Miechowa bez przygód. Tutaj zastaliśmy uzupełnienie sformowane przez Norwid-Neugebauer, oczekujące na rozkazy marszu do Kielc. Chcąc jak najprędzej znaleźć się w linii poprosiłem Sławka o zwolnienie mnie i pozwolenie dołączenia do tego oddziału. Niechętnie ale zgodził się. Otrzymałem kompanię marszową z jednym oficerem Dojan-Surówką i z zadaniem ochrony tunelu miechowskiego. Byliśmy uzbrojeni w jednostrzałowe Werndle. Służba ta trwała dwa dni. Na trzeci dzień otrzymałem rozkaz marszu na Wielki Krzyż i Jędrzejów do rejonu Kielc aby dołączyć do reszty

naszych oddziałów. Pogoda była cudna, więc maszerowaliśmy dużymi etapami, jedząc tylko rano przed wymarszem i wieczorem po przybyciu na miejsce, gdyż nie posiadaliśmy kuchni polowej, a tylko jeden kocioł, który jechał na wozie.

W Wielkim Księżu — była to niedziela — zrobiłem dłuższy odpoczynek i kompania w zwartym szyku wzięła udział w nabożeństwie. Po nabożeństwie ja z Dojanem zostaliśmy zaproszeni na obiad do dworu w Wielkim Księżu, gdzie po bardzo gościnnym przyjęciu, obdarowano nas osiodłanym koniem pod wierzch...

W Jędrzychowie zostaliśmy zatrzymanii przez całą dobę dla ubezpieczenia go przed zagonami kawalerii rosyjskiej, które zapuszczały się aż tutaj. Wystawiliśmy placówki, lecz poza jednym fałszywym alarmem, gdzie któraś z placówek wzięła o zmroku stado krów za kozaków — noc i dzień minęły spokojnie. W naszej strzeleckiej Komendzie w Jędrzejowie poznałem kilku znanych mi dotychczas z nazwisk, krakowskich działaczy socjalistycznych z Moraczewskim na czele — wszyscy w mundurach strzeleckich.

...Tydzień później staliśmy w Kielcach. Chłopcy z 4-ej kompanii spuszczyli trochę sad owocowy sąsiedniego domu. Poszedłem tam, by przeprosić za to właściciela p. Filipkowskiego. Jakież było moje zdziwienie, gdy drzwi otworzył ten sam uczeń który strzelał ze sztucera z bramy Grand Hotelu. Był to syn pana domu i brat naszej kurierki, późniejszej pani Wandy Petczyńskiej...

Z. Przyjałkowski

W. CHOCIANOWICZ — Londyn

PIERWSZY KURS ARTYLERYJSKI

W mowie, jaką wygłosił Marszałek Józef Piłsudski na pierwszym zjeździe Legionistów w dniu 6 sierpnia 1922 r. powiedział m.i.: „Wojny takie, jakie przeżyliśmy nie wybuchają dla kaprysu, wojny takie, stanowiące epokę w życiu świata, stanowiące przewrót w życiu narodów, są wielkimi procesami dziejowymi które świat być może odradza, dyktując mu inne prawa. Takie rzeczy i takie zjawiska błyskawicowej ogromnej miary przygotowują się z długą, zwolna, albowiem człowiek przedziwić się musi, jeżeli chce się stać najmniejszym aktorem tej wielkiej tragedii. Ja nie byłem ślepy, a do tego rachunku, który mi wypadło robić przed 6-tym sierpnia długo się przygotowywałem...“.

Nie ulega wątpliwości, że w tych przygotowaniach Józefa Piłsudskiego,



które on rozpoczął na wiele, wiele lat przed pierwszą wojną — wysunęła się na plan pierwszy sprawa organizacji polskich sił zbrojnych.

Realizował on swój zamiar początkowo w formie szerzenia idei militarnych wśród młodzieży wszystkich odłamów społecznych i przekonań politycznych. Następną fazą działalności objęła organizację związków o charakterze czysto wojskowym jak Związku Strzeleckiego. Drużyn Strzeleckich itp. . .

Wśród czynników, składających się na pojęcie wojska jest jeden zasadniczy dominujący: wykształcenie, a w pierwszym rzędzie wykształcenie kadry instruktorskiej. Józef Piłsudski przede wszystkim szkolił się sam. Studiował zagadnienia wojskowe od strategii po czynając, a kończąc na organizacji obcych armii, na ich działaniu w polu, na współdziałaniu poszczególnych broni w nowoczesnej walce i na sposobach i metodach wykształcenia. Toteż w programach wykształcenia w organizacjach strzeleckich była przewidziana m.i. nauka artylerii i nawet odbył się w roku 1912 we Lwowie, chyba jeden jedyny kurs artyleryjski.

Tak samo wówczas jak i dziś wykształcenie, a szczególnie na niskim, początkowym szczeblu wymaga przede wszystkim sprzętu. A z tym sprzętem nawet przy rzekomej współpracy austriackiego sztabu generalnego, nie było zbyt łatwo. Nie łatwo było zdobywać nawet na pokaz karabiny ręczne a cóż dopiero mówić o . . . działach. Głową muru nie przebijesz, a jednak . . . kurs taki połączony z pokazowym ćwiczeniem przy działach odbył się.

Kierownikiem kursu i jedynym kładowcą był adwokat lwowski Artur Lilien Brzozdowiecki, który w latach 1908-9 służył jako ochotnik w austriackim dywizjonie artylerii konnej we Lwowie i wyszedł w stopniu chorążego rezerwy.

Brzozdowiecki należał do organizacji niepodległościowych i brał w nich czynny udział. W relacji swojej tak wspomina Józefa Piłsudskiego: „Zjawiał się od czasu do czasu pewien pan Józef Piłsudski, o którym znacznie później dowiedzieliśmy się, że jest właściwie duszą naszych zebrań. Wówczas wskazywano go sobie nawzajem jako dziwnego człowieka, który całymi dniami studiuje taktykę i strategię. Chodził niedbale ubrany, źle ogolony, ale święty płomień płonął w jego ponurych oczach . . .”.

A. Lilien Brzozdowiecki, po ukończeniu służby wojskowej wyjechał na studia zagranicę, skąd w 1912 roku po wrócił do Lwowa. Pewnego dnia, idąc ulicą spotkał on Józefa Piłsudskiego, który go zatrzymał i przemówił swym ciepłym, głębokim głosem: „Słuchajcie Lilien, wy tam jesteście jakimś ka-

Obsługa
działa
artylerii
legionowej
w r. 1914



wałkiem austriackiego rezerwowego oficera, może byście pokazali moim strzelcom coś z nauki artyleryjskiej?*

W ten sposób Brzozdowiecki został pierwszym instruktorem artylerii w Strzelcu.

Program tego kursu artyleryjskiego, zresztą siłą rzeczy bardzo krótkiego i nie wyczerpującego wiedzy artyleryjskiej, był ułożony przez Liliena w sposób czysto informacyjny. Kurs obejmował dwanaście dwugodzinnych wykładów, w ramach których wykładowca postarał się dać możliwie dokładne pojęcia o artylerii, jej działaniu, sprzęcie w jaki są wyposażone pułki austriackie, praca obsługi etc. Obejmował ponadto podstawy z teorii strzelania, ustawienie dział w kierunku i zasady prowadzenia ognia artylerii.

Przy ul. Kadeckiej Bocznej we Lwowie, stał na uboczu nowy samotny dom. Był to lokal Strzelca i w nim odbywały się wykłady. W przedsiönku stały rzędem pod ścianą karabiny, a w sali wykładowej wisiały tablice, mapy i stały rzędami ławki. Rozpoczął się pierwszy wykład. Oddajmy głos Lilienowi:

„Kiedy tam wszedłem w moim mundurze, nie znałem prawie żadnego z moich słuchaczy, którzy w cywilnych ubraniach oczekiwali na mnie w ławkach. A byli to słuchacze nie lada. Sama elita późniejszych towarzyszy broni Marszałka, sami późniejsi najwyżsi dygnitarze. Jeden z nich zawołał: „Baczność“. Klasa stanęła w przepiśowej postawie, najstarszy zaś wystąpił i zameldował: „Panie chorąży, melduję

posłuszenie 36 strzelców“. Meldunek ten składał późniejszy minister spraw wojskowych gen. K. Sosnkowski . . .”*)

Kurs dobiegał ku końcowi. Kierownik kursu chcąc zrobić swoim słuchaczom przyjemną niespodziankę wyjechał u swego dowódcy dywizjonu do którego miał przydział w rezerwie, zezwolenie przeprowadzenia dwugodzinnych ćwiczeń praktycznych przy działach. Piszę on później w swojej relacji:

„Przykro mi wyznać, że wstydziłem się wtedy w mundurze prowadzić przez ulicę oddział cywilów. Nie zdawałem sobie sprawy (zresztą nie zdawali wówczas nawet ci sami słuchacze — przyp. autora) z właściwego formatu tych fudzi i z historycznej roli, jaką im przyjdzie odegrać. Pojechałem tramwajem do koszar, a Sosnkowski poprowadził czwórki za miasto. W koszarach objąłem komendę i rozmieściwszy ich jako obsługę przy działach odbyłem dwugodzinne ćwiczenia . . .”

Z ówczesnej liczby 36 słuchaczy pierwszego kursu artyleryjskiego znaleźli się w szeregach artylerii jedynie:

*) Powyższa relacja Liliena była drukowana w Polsce w latach 1930-tych w jednym z lwowskich dzienników oraz w „Przeglądzie Artyleryjskim“. Jednak na ogół panuje przekonanie, że gen. K. Sosnkowski, twórca Związku Walki Czynnej oraz zajmujący w ruchu niepodległościowym poważną pozycję — mógł być obecny zarówno na wykładach jak i na ćwiczeniach prowadzonych przez Liliena, a nie meldować mu. Prawdopodobnie Lilien pomylił osobę gen. K. Sosnkowskiego z kimś innym.

ZBIOROWA WYSTAWA LETNIA

CASSEL GALLERY

Naprzeciw Victoria and Albert Museum

AKWARELE i OLEJE OD £5.0.0 !

8a, THURLOE PL., LONDON, S.W. 7. KEN 2525

K. Nowak, który w sierpniu 1914 roku jako porucznik organizował 1 baterię 1 pułku artylerii Legionów w Przegorzałach i w końcu września wyjechał z nią na front na Węgry i Mara-Mayer późniejszy ppłk służby uzbrojenia.

Od chwili pierwszego kursu przeszło lat dziesięć albo i więcej. Artur Lilien Brzozdowiecki jako porucznik rezerwy zostaje powołany na ćwiczenia do Złoczowa do 12 pułku artylerii lekkiej, którym dowodził jego uczeń z 1912 r. płk Karol Nowak (zmarł w Londynie). Przedstawiając go oficerom pułku nie omieszczał płk Nowak zaznaczyć z całą serdecznością że jest to jego pierwszy instruktor, pod którego kierownictwem stawał pierwsze kroki na polu sztuki artyleryjskiej.

Wacław Chocianowicz

LISTA IMIENNA ŻOŁNIERZY PIERWSZEJ KOMPANII KADROWEJ

Po nazwiskach podajemy pseudonimy, niektóre z nich połączono później z nazwiskami

- 1 Almstaedt Hugon — Puhacz
- 2 Augustyniak Mieczysław — Czarnecki
- 3 Baszkiewicz Władysław — Baśka
- 4 Bąkowski Leon Stanisław — Kirkor
- 5 Bekrycht Zenon — Głowiński
- 6 Boba Edward — Żbik
- 7 Bryzek Aleksander — Kłos
- 8 Buczma Adam — ?
- 9 Burhardt-Bukacki Stanisław Seweryn — ?
- 10 Busler Kazimierz Karol — Magowski Karol
- 11 Bystrzyński Wiktor Brunon — Skrzetuski
- 12 Gaspaeri-Chraszczewski Tadeusz — Lech
- 13 Chmielewski Czesław — Rafał
- 14 Ciecierzynski Zbigniew — Zbych
- 15 Ciupał Józef — Bukowski
- 16 Czykowski Eugeniusz — Jastrzębski Tomasz
- 17 Dąbkowski Zygmunt — Korczak
- 18 Dąbrowiecki Eustachy Jan Karol — Wirski Eustachy
- 19 Dłużniakiewicz Janusz Wacław — Sep
- 20 Dobrowolski Henryk — Sęk
- 21 Doleżko Franciszek — Bogdanowicz Franciszek
- 22 Ferencowicz Władysław — Graf
- 23 Englert Adam Wincenty Judym, Żołnierz
- 24 Fabiszewski Stefan — Tadeusz
- 25 Ferencowicz Józef Bohdan — Krzesz
- 26 Frydrych Marian Ludwik — Szule, Wielgat Ludwik
- 27 Gieysztor Stanisław — Szachowski
- 28 Gliński Jerzy — Eustachy
- 29 Głazowski Stanisław — Sokół
- 30 Głodowski Tadeusz — Boruta
- 31 Głowacz Eugeniusz Józef — Ojstaszewski Zenobi
- 32 Goebel Kazimierz — Taternik
- 33 Graba-Lęcki Wacław Kazimierz — Graba
- 34 Grodecki Miłosz Gabriel Tadeusz — Oskierko

- 35 Hapiczuk Jan Michał — (?)
- 36 Hauke-Nowak Aleksander — Hauke
- 37 Hiller Stanisław — Ignacy Nowak
- 38 Horoszkiewicz Roman — Woynicz
- 39 Idzikowski Karol — Babinicz
- 40 Jabłoński Konstanty Piotr — Kostek
- 41 Jachimowski Stanisław — Czarny
- 42 Jakubowski Andrzej — Łokietek
- 43 Jakubowski Antoni — Sabin
- 44 Janiszewski Lucjan Karol — Pluch
- 45 Jankowski Stanisław — Ziemowit
- 46 Jankowski Stefan Jan — Wernyhora Stefan
- 47 Jarema Józef — Ziutek
- 48 Jasiński Ignacy — Zawisza
- 49 Józwick Stefan — Stefaniusz
- 50 Kamiński Kazimierz — Luboń
- 51 Kamiński Mieczysław Anastazy — Marek, Obotrycki
- 52 Karski Kazimierz — Jur
- 53 Karski Mieczysław — Witeź
- 54 Kasprzycki Tadeusz — Zbigniew
- 55 Kaszubski Tadeusz — Kowalewicz
- 56 Kelm — Koperczyński
- 57 Kębłowski Stanisław — Kuźnicki
- 58 Kilich Jen — Kufel
- 59 Klimek Piotr — Rola
- 60 Knobelndorf Leon — Kruk
- 61 Konarski Aleksander — Wyrwicz
- 62 Kowalczeński Ignacy — Sępiński Marian
- 63 Kowalski Czesław — (?)
- 64 Kowalski Wincenty — Huk
- 65 Kruszewski Jan — Kruk Czarny
- 66 Krysiński Alfons — Waletny
- 67 Krzymowski Jerzy Bohdan Leon — Bajka
- 68 Kuczyński Jan — Zygmunt
- 69 Kuśmierski Kazimierz — Leonard
- 70 Łęda Eugeniusz — Potok
- 71 Łannicki Stefan dawniej Kuczrawcew — Poznańczyk
- 72 Łękowski Czesław — Średnicki
- 73 Maciszewski Seweryn Władysław — Wład
- 74 Makowski Wacław — Wilk
- 75 Malinowski Jan — Rudzki
- 76 Manicki Bronisław — Łamigłowa
- 77 Mansperl Bronisław — Haber
- 78 Marusiński Mieczysław — Lelum
- 79 Mierzejewski Bolesław — Strzecha
- 80 Misiewicz Jan — Roch
- 81 Molenda Andrzej — Olszewski
- 82 Momot Wiktor — Brawura
- 83 Morris Jerzy — Poraj
- 84 Napiórkowski Aleksander — Kordian
- 85 Nodzeński Michał Włodzimierz — Jestrzebiec Nowina
- 86 Oberg Jan — Borgiasz
- 87 Ogniewski Kacper — Kosiński Henryk
- 88 Orzechowski Marian Witalis — Burkacki Marian
- 89 Osiński Tadeusz — Brzek
- 90 Ostrowski Tadeusz — Oster
- 91 Palkij Stanisław — (?)
- 92 Paszkowski-Krok Henryk — Krok
- 93 Parczyński Stanisław — Młot
- 94 Pawłowski Janusz — Józef
- 95 Pagowski Bolesław — Orwicz
- 96 Piątek Kazimierz — Herwin
- 97 Pisarski Szreniawa Jerzy — Kmicie
- 98 Platonoff-Plater Zygmunt Antoni Józef — Plater
- 99 Polniaszek Franciszek — Nowopolski Franciszek
- 100 Pomarański Stefan — Borowicz
- 101 Pomarański Zygmunt — Brzózka
- 102 Przepałkowski Zygmunt — Młot
- 103 Radomski Jerzy — Niemira
- 104 Rajs Mieczysław — Dewajtis
- 105 Renik Józef — Kyrýłł

- 106 Romański Tadeusz — Taro
- 107 Rozmarynowski Władysław Stefan — Żarski Stefan
- 108 Sarnowski Wacław — Głowacki
- 109 Smoleński Józef — Kolec
- 110 Spitzbarth Artur — Jerzy
- 111 Stachlewski Bohdan Kazimierz — Dan
- 112 Stachlewski Bronisław Piotr — Wiesław
- 113 Starzyński Józef — Paweł
- 114 Staszewski Józef — Krowajtys
- 115 Stefański Mieczysław — Bojanek
- 116 Stryjeński Władysław Jan Augustyn — (?)
- 117 Strzelecki Kazimierz — Kazik
- 118 Sujkowski Zbigniew — Bolko
- 119 Szczepanowski Józef — Wojno
- 120 Szeligowski Bohdan — Ratajko
- 121 Szubert Franciszek — Moździański
- 122 Szymański Roman Władysław — Tewański
- 123 Świdorski Jan — Leszek
- 124 Tarnasiewicz-Heldut Edmund Wacław — Heldut
- 125 Tarnowski Marian — Winicjusz
- 126 Trębiński Jerzy — Czarny
- 127 Wagner Adam Wilhelm — Werner
- 128 Wieniawa-Długoszowski Bolesław Ignacy Florian — Wieniawa
- 129 Wieruszewski Michał — Zagóńczyk
- 130 Wiśniewski Tadeusz — Stabelski
- 131 Witulski Ksawery — Osiecki
- 132 Wojewódzki Sylwester — Stefan
- 133 Wojtulewicz Walerian — Achilles
- 134 Wolski Stefan — Bolesław
- 135 Woronicz Hegedeusz Brunon Aleksander — Jerzy
- 136 Woźniak Józef — Sokołowski
- 137 Woźniakowski Jan Stefan — Czywar
- 138 Zadworny Adam — Zamorski
- 139 Zalewski Marcin — Nałęcz
- 140 Zembrzuski Konrad — Bury
- 141 Zieleniewski Tadeusz — Kalina

Pierwszy i drugi patrol Beliny:

- 1 Belina Prażmowski Władysław Zygmunt — Belina
- 2 Głuchowski Janusz Julian — Janusz
- 3 Jabłoński Antoni — Zdzisław
- 4 Karwacki Zygmunt — Bończa Stanisław
- 5 Krak Stefan — Dudziniec
- 6 Kulęsa Stefan — Hanka
- 7 Skotnicki Stanisław — Grzmot
- 9 Skrzyski-Kmicie Ludwik — Kmicie

Patrol skautowy:

- 1 Bankiewicz Czesław — Skaut
- 2 Bartel Zygfryd Alfons Piotr — Hasling
- 3 Białowiejski Stanisław — Jastrzebiec
- 4 Borkowski Zygmunt — Zielony Brat
- 5 Ciołkowski Kazimierz — Ciołek
- 6 Duszek Antoni — Bohun
- 7 Kietliński Franciszek Gabriel — Odrowąż
- 8 Krupski Jerzy — Czerwony Brat

Z rozkazu Naczelnego Wodza odznaki HONORIS CAUSA I Kompanii Kadrowej otrzymali:

- 1 Dubiecki Marian — członek Rządu Narodowego 1863 r.
- 2 Sosnkowski Kazimierz
- 3 Januszajtis Marian — Żegota
- 4 Litwinowicz Aleksander
- 5 Rouppert Stanisław — Teodor
- 6 Boerner Ignacy — Emil
- 7 Jaworowski Rajmund — Świętopełk
- 8 Gorzechowski Jan — Jur
- 9 Sieroszewski Wacław — Sirko
- 10 Zawiszancka-Kernowa Zofia — Anna Wiśniowiecka.

GLÓWNE ZAGADNIENIA ZJAZDU S.P.K. W WIELKIEJ BRYTANII

Zjazd wielkobrytyjski, który od pewnego czasu odbywa się w pierwszej połowie lipca — tegoroczny obradował w Londynie w dniach 11 i 12 lipca — jest ostatnim większym wydarzeniem w sektorze naszego życia społecznego przed nadjeściem wakacyjnego okresu letniego, kiedy słońce, morza i góry przez kilka tygodni sprawują władzę nad człowiekiem.

Zwyczaj się podkreślać, że gałąź brytyjska tego bądź co bądź rozłożystego drzewa, jakim jest SPK, wyróżnia się spośród pozostałych dziewiętnastu tym, że jest najokazalszą i najgrubszą. Jest to naturalne następstwo faktu, że w W. Brytanii pozostała co najmniej połowa z 250.000 rzeszy polskiej, która trafiła do tego kraju bezpośrednio po wojnie, podczas gdy druga połowa znalazła schronienie głównie w Stanach Zjednoczonych, Kanadzie, Australii, Argentynie i N. Zelandii. Dodać należy, że do wspomnianych krajów emigrował w zasadzie element młodszy, co m.in. miało ten skutek, że przyspieszyło proces starzenia się SPK w W. Brytanii, gdzie przeciętna wieku członków Stowarzyszenia jest najwyższa, jak gdyby dla potwierdzenia faktu przyrodniczego, że najgrubsza gałąź jest zarazem najstarsza. Nic więc dziwnego, że w W. Brytanii, wcześniej niż gdzie indziej, zaczęto się zastanawiać nad przyszłością naszego Stowarzyszenia.

Sprawa ta znalazła swój wyraz w obradach ostatniego zjazdu, a nawet stała się jego zagadnieniem naczelnym. Zasluguje przeto na obszerniejszą wzmiankę.

Przyszłość SPK jako organizacji społecznej wiąże się ściśle z innym charakterystycznym zjawiskiem polskiego życia zbiorowego w W. Brytanii: jest to jedyny kraj, w którym pomimo okazałej cyfry Polaków nie ma organizacji społecznej typu powszechnego, dającej prawo należenia już z samego tytułu polskiego pochodzenia. Przyczyna, dla której nie odczuwano potrzeby takiej powszechnej organizacji we wczesnym okresie powojennym tkwiła w fakcie, że emigracja nasza na tych wyspach składała się w 90% z byłych żołnierzy, którym związek kombatancki całkowicie zaspokajał ambicje działania spo-

łecznego, tym więcej, że z konieczności musiał on przyjąć zadania tej nie istniejącej organizacji powszechnej.

Przez długi czas nie zwracano większej uwagi na tę paradoksalną sytuację, w której organizacja b. żołnierzy o celach głównie samopomocowych, jaką w pierwszej fazie było SPK, prowadziła znacznie szerszą działalność. Prowadzi ją w dalszym ciągu, obejmując takie dziedziny jak kulturalno-oświatowa (biblioteki, szkoły przedmiotów ojczyźstych, zespoły artystyczne, wydawnictwa, nagrody pisarskie, obchody narodowe), opieki społecznej (emigracja oraz imigracja, spadki, renty, pomoc doraźna, dom dla osób starszych), konsularna, porad prawnych, pośrednictwo pracy, działalność gospodarcza itd., nie mówiąc o pomocy udzielanej innym instytucjom i organizacjom.

Z biegiem czasu, w miarę jak z jednej strony szeregi SPK zaczęły się przerzedzać, a z drugiej rosła liczba jednostek nie objętych żadną formą polskiego życia organizacyjnego, stało się rzeczą oczywistą dla szerszego kręgu działaczy społecznych, że należy szukać jakiegoś rozsądnego rozwiązania z myślą o przyszłości.

Rzecz sprowadza się do jednej z dwu możliwości: albo należy powołać do życia powszechną polską organizację społeczną w W. Brytanii albo też przekształcić jedną z istniejących organizacji na powszechną. Pierwsza koncepcja, jak dotychczas, nie znajduje zwolenników. Pozostaje druga alternatywa, przy czym rola ta niemal automatycznie musiałaby przypaść SPK, organizacji najliczniejszej i pracującej dla szerokiego ogółu Polaków. Ta właśnie koncepcja, jakkolwiek jest uważana za możliwą i słuszną, nie weszła dotychczas na drogę pełnej realizacji. Zmiana statutu SPK dokonana w r. 1959 daje, co prawda, możliwość wstępowania do organizacji również osobom, które nie służyły w wojsku, niemniej w świadomości ogółu SPK pozostało związkiem byłych żołnierzy.

W tej fazie zagadnienie stanęło przed ostatnim zjazdem delegatów kół SPK w W. Brytanii. Zaktualizował je sam Zarząd ogniwa brytyjskiego podejmując wcześniejszą inicjatywę koła SPK Manchester przez wysunięcie

propozycji dalszej zmiany statutu przez dodanie do obecnej nazwy Stowarzyszenia słów: „Związek Wolnych Polaków“. Wniosek ten nie uzyskał wymaganej przez statut większości 2/3 głosów i wobec tego upadł.

Z przebiegu ożywionych debat na komisji programowej i plenum widać było, że siły zwolenników i przeciwników tej koncepcji są prawie równe. Najsilniejsze argumenty pierwszych: Około 60% Polaków w W. Brytanii pozostaje poza orbitą życia organizacyjnego; istniejące obecnie organizacje zasila głównie pokolenie starsze, które w szybkim tempie schodzi ze sceny życiowej; jeśli ten ubytek nie zrównoważy się dopływem nowych sił, powstanie próżnia groźna dla przyszłości Polaków w W. Brytanii. Zarzadzić temu można jedynie przez powołanie do życia takiej organizacji, do której każdy Polak mógłby bez przeszkód należeć.

Obroncy istniejącego stanu rzeczy twierdzą natomiast: SPK posiada ustaloną od lat tradycję związku byłych żołnierzy i takim powinno pozostać; próba przekształcenia go na organizację powszechną byłaby równoznaczna z pójściem po linii polonijności, co jest sprzeczne z duchem naszej organizacji; nie ma żadnej rękojmi, że proponowane zmiany ściągną w szeregi życia organizacyjnego rzesze, na które czekamy. Nie burzmy więc tego co jest w imię niepewnych nadziei wiązanych z zamierzonymi reformami.

Tegoroczny zjazd nie przyniósł rozwiązania tego ważnego problemu. Dowiódł jednak, że szala z wolna przechyla się w stronę zwolenników szerokiego otwarcia podwoi Stowarzyszenia dla nieobecnych dotychczas w polskim życiu organizacyjnym, a szczególnie dla młodzieży, naturalnego spadkobiercy naszych ideałów. *acz.*

Sporo innych spraw wewnętrzno-organizacyjnych lub dotyczących ogólnych zagadnień polskiego życia zbiorowego w W. Brytanii przewinęło się w czasie dwudniowego zjazdu: na obradach plenarnych, na zebraniach komisji, szczególnie programowej, a także w „kuluarach“ w czasie spotkań koleżeńskich i rozmów do jakich każdy zjazd daje wiele sposobności.

Dwa szczególne zagadnienia — nie nowe, ale stale aktualne — znalazły oświetlenie już w czasie otwarcia zjazdu: „zainteresowanie” reżymu w formie prób rozbijania spójności kombatanckiej i polityka w SPK.

ZAGADNIENIE DYWERSJI KOMUNISTYCZNEJ

Na pierwsze zwrócił uwagę S. Soboniewski, prezes SPK w W. Brytanii, przypominając, że działalność Stowarzyszenia wywołuje stałą dywersję, prowadzoną przez różne agentury reżymu komunistycznego, posługującą się różnymi, zmiennymi metodami. W ostatnich latach np. często próbuje się grać na solidarności polskiej w obronie granicy na Odrze i Nysie i na uczuciach patriotycznych. Dywersja ta spotyka się z niepowodzeniem, ale nie można jej lekceważyć, przeciwnie trzeba ją stale mieć na oku i zakusy jej odpiierać:

— „Stanowiąc największy człon zorganizowanej emigracji politycznej na tej wyspie — zakończył S. Soboniewski — jestem pod szcze-

SPK NIE MA AMBICJI POLITYCZNYCH

O sprawach polityki mówił generał Kazimierz Wiśniowski, prezes Rady Głównej Federacji Światowej SPK. Zwracając się zarówno do delegatów jak i do obecnych na inauguracji gości a szczególnie do przedstawicieli życia politycznego — zwrócił uwagę, że w ostatnich czasach zaczęły społeczność polską obiegać pogłoski jakoby Stowarzyszenie Polskich Kombatanów przejawiało ambicje odegrania roli politycznej a nawet zamierzało stworzyć nowy ośrodek.

„ — Z podejrzeniami takimi — powiedział generał — spotykamy się nawet ze strony niepodległościowych czynników politycznych. Należy sobie jednak zdawać sprawę, że te fałszywe pogłoski rozsiewa przede wszystkim prasa pozostająca na usługach reżymu komunistycznego.

— Aby odciąć się stanowczo od tego rodzaju podejrzeń — jestem upoważniony do oświadczenia w imieniu władz głównych Federacji Światowej SPK, że nie tylko nie mamy zamiaru ani też ambicji stworzenia owego ośrodka politycznego, ale uważamy, że takie działanie nie mieści się w statucie i celach naszego Stowarzyszenia, i byłoby na-

gólną „opieką“ agentów reżymowych i wszelkiego rodzaju neutralistów, którzy usiłują osłabić morale naszych członków i zasiać nieufność w nasze cele oraz podważyć zaufanie do naszych przywódców politycznych, wojskowych i organizacyjnych. Oprócz rozsiewania bibuły nadsyłanej wprost z Warszawy celują w rozsiewaniu fałszywych plotek i dezinformacji niektóre pisma wydawane tu w Londynie. Ostatnio ukazało się szereg insynuacji pod adresem naszej organizacji lub jej czołowych działaczy. Damy sobie z tym radę jak niejednokrotnie było w przeszłości. Smutną natomiast rzeczą jest, że niektórzy ludzie z odziedziczonej niepodległościowej przyjmują te plotki za dobrą monetę a nawet nad nimi dyskutują.

— W pracy naszej służymy sprawie wolności Polski, strzeżemy jej dziedzictwa kultury chrześcijańskiej, wierzymy w lepszą przyszłość naszej Ojczyzny i chcemy by nasi następcy przejęli od nas ten obowiązek“.

rekę tym którzy pragną czerpać korzyści z polskiego rozbicia politycznego.

— Mamy natomiast ambicję zespolenia wszystkich organizacji społecznych wyłącznie w celu poparcia akcji czynników politycznych w naszej walce o prawo do wolności dla Polski“.

Spośród uchwał zjazdu, jako charakterystyczne dla różnych dziedzin pracy SPK wybieramy następujące:

AKCJA INFORMACYJNA NA RZECZ OFIAR TERRORU HITLEROWSKIEGO I SOWIECKIEGO

XVIII Walny Zjazd SPK w W. Brytanii postanawia, by wszystkie ogniska Stowarzyszenia we współpracy z czynnikami politycznymi, organizacjami społecznymi i prasą polską rokrocznie w miesiącu kwietniu organizowały akcję informacyjną i obchody dla uczczenia ofiar hitlerowskich i sowieckich obozów koncentracyjnych.

Celem jej powinno być uświadomienie prawdy o rozmiarach terroru zorganizowanego przez oba totalizmy, z których każdy jest odpowiedzialny za uwięzienie przeciętnie ponad 15.000.000 ludzi przed i w czasie dru-

giej wojny światowej w obozach koncentracyjnych i łagrach; powinno być żądanie ukarania winnych a przyznania kompensaty dla żyjących ofiar terroru. W tej akcji należy podkreślać również tylko częściowe ujawnienie prawdy o terrorze hitlerowskim, ukaranie tylko drobnej części przestępców i niedostateczność kompensaty dla ofiar prześladowań III Rzeszy.

Należy podkreślić bardzo fragmentaryczną znajomość na Zachodzie rozmiarów terroru sowieckiego, jego trwanie w zmniejszonych rozmiarach do chwili obecnej, całkowitą bezkarność sprawców, których część do dziś sprawuje władzę w ZSRR i w krajach przez ZSRR okupowanych, żądać ujawnienia pełnej prawdy o sowieckich miejscach kaźni w tej liczbie o Katyniu, ukarania sprawców zbrodni katyńskiej i wszystkich podobnych mordów masowych.

Równolegle z tą akcją należy domagać się sprawiedliwości i wolności dla Polaków dotychczas siłą lub przymusem administracyjnym przetrzymywanych w ZSRR i żądać dla nich prawa powrotu do kraju ojczystego.

W SPRAWIE IGRZYSK SPORTOWYCH DRUŻYN EMIGRACYJNYCH

Popierając wniosek Zjazdu Delegatów Polskich Klubów Sportowych w sprawie igrzysk sportowych drużyn emigracyjnych w r. 1966 — XVIII Zjazd SPK w W. Brytanii:

1. Apeluje do polskich organizacji społecznych zajmujących się wychowaniem młodzieży i sportem, a w szczególności do Związku Harcerstwa Polskiego i Katolickiego Stowarzyszenia Młodzieży Polskiej o przyłączenie się do tej inicjatywy;

2. Zaleca Kołom i Klubom Sportowym SPK organizowanie samodzielnie lub we współpracy z innymi stowarzyszeniami wszędzie tam gdzie to jest możliwe drużyn młodzików, udzielanie im pomocy organizacyjnej i materialnej, oraz popieranie drużyn już istniejących tak aby rocznicę Tysiąclecia Polski Chrześcijańskiej uczcić również wzmoczoną akcją zrzeszania młodego pokolenia w barwach narodowych;

3. Współdziałanie ze Związkiem Polskich Klubów Sportowych w przygotowaniach do igrzysk i w ich przeprowadzeniu.

**W SPRAWIE ZASIŁKÓW
DLA PRZEBYWAJĄCYCH
W HOSTELACH I SZPITALACH**

Zjazd SPK w W. Brytanii poleca zarządowi zajęcie się sprawą uzyskania stałych zasiłków z kwoty 75.000 funtów dla Polaków mieszkających w osiedlu Penrhos i podobnych hostelach i szpitalach, znajdujących się na utrzymaniu „National Assistance Board” (Min. Opieki Społecznej) i otrzymujących jedynie „pocket money” (kieszonkowe).

War Office (Bryt. min. Wojny) zarządzeniem z dnia 25 3 1964 r. pozba-

wiło ich możliwości korzystania ze stałych zapomóg, przyznanych osobom zamieszkałym prywatnie.

**WPLACILI NA LEKARSTWA
DO KRAJU DO NASZEGO ODDZIAŁU
WE FRANCJI:**

4088 L.S.Co (por. Powroźnik) F. 50,00,
6954 L.S.Ln.Det. — Verdun 82,00,
4013 L.S.Co. (kpt. Jan Jaworski) 87,86,
4096 L.S.Plat (por. St. Kozłowski) 30,00,
4085 L.S.Co. (Gd) (kpt. F. Iwański) 39,00,
4507 L.S.Co. (mjr T. Kroja-Kopeć) 100,00, 4088 L.S.Co. (kpt. K. Rogoziński) 50,00

CZESŁAW JEŚMAN

NAOKOŁO ŚWIATA

AFRYKA SAMA O SOBIE

Po Konferencji Panafrykańskiej w Kairze

Prasa zachodnia oceniła na ogół kairską konferencję Organizacji Zjednoczenia Afryki całkiem opacznie. Podkreślono iż „nie dała ona spodziewanych wyników zjednoczenia politycznego”. Podkreślono iż państwa afrykańskie poważnie różnią się pod każdym względem i że nie zapowiada ich scalenia. Zanotowano atak Prezydenta Tanganiki Juliusza Nyerere, rzekomo „prozachodniego”, na Prezydenta Ghany dra Kwame Nkrumah. Nyerere, zupełnie słusznie, zwymyślał współczłonka Brytyjskiej Wspólnoty Narodów od nieodpowiedzialnych demagogów. Ganański Nkrumah jest, nawiasem mówiąc, postacią raczej tragiczną a nie komiczną. W przyjaźń z blokiem komunistycznym i w totalizm wewnętrzny i w chaos myślowy wpakował się nie przez głupotę czy złą wolę, ale dzięki pobudliwości charakteru, zupełnie nieprzeciętnemu wykształceniu prawniczo-filozoficznemu i zastarzałym urazom uczuciowym przeciw białym.

„Osagyefo” czyli „zbawca” Afryki

Nkrumah przebywał jako student przez wiele lat w Stanach Zjednoczonych i to nade wszystko, a nie panowanie brytyjskie w Ghanie, zwanej przedtem Złotym Wybrzeżem, zaciążyło na jego psychice. Dziś jest on cieniem dawnego działacza niepodległościowego jakim był do roku 1958-go. Na jego rozkaz utworzono „Wyższą Szkołę Partijną Marksizmu-Nkrumahizmu” w Wineba, a on sam przyjął oficjalny tytuł „Osagyefo” — Zbawcy, bez wyraźnego omówienia czy chodzi mu o zbawienie Ghany czy całego kontynentu, wraz z surowym pseudo-mundurem wzdrówanym na tunice nieboszczyka Nehru i „ludowej” kurtce Mao

Tse-tunga. Ale to wszystko są „działania opóźniające” używając terminologii strategicznej. Wiadomo iż Nkrumah pod swoją kurtką stale zapiętą pod szyję w morderczo gorącym klimacie Zachodniej Afryki, nosi opancerzoną kamizelkę. Od ostatniego zamachu na jego życie nie prorokuje mu się więcej jak 5 lat czynnej działalności politycznej. Opozycja przeciw niemu jest silna, dobrze zorganizowana i bezpieczna za kołnierzami policji nigeryjskiej w Lagos gdzie Nkrumah nie cieszy się popularnością. Zresztą zasługuje na studium psychologiczne. Jego prawozorem jest jednakże raczej niesamowity „Emperor Jones” z dramatu Eugene O'Neill'a aniżeli pretendent do panowania nad Afryką.

Państwa muzułmańskie—Alger i Maroko

Podobnie próby porozumienia się muzułmańskich państw Północnej i Północno-Zachodniej Afryki były nieudanym i nieistotnym manewrem a nie poważnym krokiem naprzód. Prezydent Tunisu Bourguiba doprowadził wprawdzie do „nieoficjalnego” spotkania pomiędzy królem Maroko Hassanem II-gim a Prezydentem Algerii Ben Bella pod swoim przewodnictwem, ale tego samego dnia marokańskie sądy polowe skazały na śmierć czy długoletnie więzienie kilkudziesięciu terrorystów złapanych przy przechodzeniu granicy algersko-marokańskiej. Byli to bądź dezterterzy z królewskiej armii marokańskiej, bądź członkowie związków zawodowych z Casablanki, albo komunistyzujący. Jedynym ich wspólnym mianownikiem była działalność przeciw monarchii marokańskiej. Ultra-socjalistyczny rząd algerski nie kryje się bynajmniej iż uważa ją również za swojego wroga i ułatwia szkolenie jej wewnętrznyim wrogom. Poza tym łoży, jak się zdaje z chińskiej i sowieckiej kieszeni,

na utrzymanie obozów dywersantów marokańskich na swoim terytorium. Nie są to objawy dobrosąsiedzkich stosunków.

Maroko i Maurytania

Dalszą komplikacją są stosunki pomiędzy Marokiem a Maurytanią. Wprawdzie Hassan II-gi i prezydent Muzułmańskiej Republiki Maurytanii zasiedli przy tymże samym stole konferencyjnym w Kairze, ale ostentacyjnie odwrócili się do siebie plecami i nie zamienili ani słowa pomiędzy sobą. Podłoże tej kłótni, bardzo złożone historycznie, sprowadza się do prostej sprawy: Maroko uważa iż Maurytania jest częścią marokańskiego terytorium narodowego, a to tym bardziej, iż ten olbrzymi i bezludny wydmuch Sahary, wyposażony jest w nieprawdopodobne bogactwa mineralne. Maurytania, a w każdym razie Prezydent jej Mochtar Uld Dada i jego rząd, nie widzą powodów by uważać się za część Maroka.

Libia i Egipt

W podobnej chociaż cokolwiek bardziej zakamufłowanej sytuacji znajduje się Federalne Królestwo Libii — dawne włoskie kolonie Cyrenajki, Trypolitanii i Fezzanu — wobec Egiptu czyli Zjednoczonej Republiki Arabskiej. I w tym wypadku jeden mieszkaniec, najczęściej Beduin czyli koczownik, przypada na jeden z miliona kilometrów kwadratowych powierzchni. I w Libii, podobnie jak w Mauretanii, istnieją nieprawdopodobne bogactwa mineralne, tyle że płynne, tj. naftowe. Zjednoczona Republika Arabska, sąsiad Libii od wschodu, ma olbrzymie i naglące zapotrzebowanie na ropę naftową.

Republiki „czarne”

Spory i nieporozumienia graniczne, kompetencyjne i „ideologiczne” w łonie Afryki „Czarnej” są również liczne i różnorodne. Republika Górnej Wolty np. oskarża Ghanę o samowolne przesunięcie słupów czy cementowych stożków granicznych na swoją korzyść a to dla zagarnięcia niezmiernie cennych pól diamentowych. Zostały one odkryte przez egipskiego geologa, któremu zresztą władze górno-woltańskie kazały natychmiast się wynosić. Kamerun oskarża Nigerię o „grabież terytorium narodowego”. I tak dalej... i tak dalej.

Ambicje Somalii

Nade wszystko niebezpieczeństwem dla Afryki jest „Problem Somalijski”. Republika Somalijska rości jawne pretensje do znacznych połaci Etiopii, Kenii i do całego terytorium Francuskiego Wybrzeża Somalisów czyli Dżibuti. Polityka jej jest w równym stopniu wynikiem nieopatrznych oświadczeń niebo-

szczyka Bevin'a o konieczności utworzenia „Wielkiej Somalii“ jako elementu stabilizacji we Wschodnim Rogu Afryki, co religijnego sfanatyzowania dwumilionowej ludności i jawnych a masowych subsydiów sowieckich i chińskich. Skłócone imperia komunistycznego kolonializmu na terenie Somalii działają zdumiewająco zgodnie; byle tylko ciągle szczerzyć Somalisów na sąsiadów a całość sama się złoży: do krwawego chaosu dojdzie i skorzystają na tym albo Rosjanie albo Chińczycy a w każdym razie widoki na krwawe zbalkanizowanie całego kontynentu wzrosną znakomicie. Powstanie jeszcze jeden czynny ośrodek infekcji. Możliwości somalijskiego konfliktu są tak groźne i zrozumiałe dla wszystkich, iż pod naciskiem Nassera prezydent Somalii Osman Aden nie przybył do Kairu. Gdyby tam się znalazł doszłoby do starcia i z cesarzem Haile Selassie i z premierem Keniatą z Kenii

Czy coś zrobiono w Kairze?

W tych warunkach należy podziwiać iż jednak coś osiągnięto w Kairze. Uzgodniono utworzenie stałego sekretariatu Organizacji, wyznaczono Addis Abebę jako miejsce jego funkcjonowania, uzgodniono kilka spraw technicznych; zapowiedziano — bez wielkiego przekonania — „walkę z przeżytkami kolonializmu“ w Afryce Południowej, Rodezji i w koloniach portugalskich. Przeżytki te są historyczną koniecznością, technicznie nie do usunięcia w obecnym układzie przez państwa afrykańskie a na, zaciemniające ich „dobre strony“, fakty ustawowego ucisku czarnej większości nikt chwilowo nie poradzić nie może.

Organizacja Zjednoczenia Afryki może stać się regionalnym forum dyskusyjnym i, w tym wymiarze, niewątpliwie może odegrać dużą rolę. Wątpliwe jest jednak czy zdoła zażegnać istotny i prawdziwy konflikt wewnętrzny Afryki, w znacznej mierze niezależny od obcych agentów, naganiaczy i namawiaczy.

Konflikt „Afryki czarnej“ i „muzułmańskiej“

A jest nim coraz wyraźniej zarysowujący się konflikt pomiędzy Afryką „arabską“ czy muzułmańską raczej, a Afryką „murzyńską“ i Etiopią z drugiej strony.

Przed wyjazdem do Kairu prezydent Ben Bella uroczyście zapowiedział, iż „neokolonialści usiłują pokłócić nas z naszymi „afrykańskimi braćmi“. Gdyby nawet tak było „neokolonialści“ mieliby niezwykle łatwe zadanie. Nie ulega wątpliwości iż Murzyni i Etiopi nie żywią najmniejszych sympatii wobec „Arabów“. Bardzo niedawne wspom-

nienia muzułmańskich handlarzy niewolników ciągle są świeże na południe od Sahary. I łączą się z niechęcią do syryjskich lichwiarzy w Afryce Zachodniej oraz pijawek wszelkiego rodzaju w Afryce Wschodniej. Jak naprawdę uczuciowa strona tej kwestii wygląda, widać z niedawnej rewolucji zanzibarskiej. „Arabski“ Sudan stosuje pacyfikację w południowej połaci kraju zamieszkałej przez ludność pogańską i chrześcijańską, rasowo murzyńską, z takim zaślepieniem iż około 100 tysięcy politycznych uchodźców południowych z Sudanu przebywa w Etiopii, Ugandzie i w Kongo oraz w innych murzyńskich republikach Środkowej Afryki. Mimo wszystkich namawiań Nassera Izrael rozbudowuje swoje stosunki nie tylko w całej Afryce „murzyńskiej“ z Ghaną łącznie ale i w Federacji Nigeryjskiej i w Czadzie, krajach o zdecydowanej przewadze ludności muzułmańskiej. Podobnie Etiopia od kilku lat nawiązała ożywione stosunki z Izraelem.

Oczywiście: Afryka jest kontynentem zacofanym, pustym i gospodarczo niedorozwiniętym. Ale jest naiwnością wielkiej klasy przypuszczać, iż subsydia na skalę kontynentalną, ze wschodu czy z zachodu, doprowadzą do rozwiązania miejscowych antagonizmów bez odnowienia okupacji zbrojnej z zewnątrz, co np. niewątpliwie leży u podstaw strategii chińskiej na tym terenie. Rozwiązania naprawdę konstruktywnego niebezpiecznych tarć w Afryce mogą się podjąć tylko jej mieszkańcy. W tym też sensie Organizacja Zjednoczenia Afryki może stać się zjawiskiem bardzo pozytywnym a nie wyłącznie luksusową gadalnią utrzymywaną za pieniądze bardzo biednych ludzi, jakimi są obywatele niepodległych państw Afryki, bez żadnego wyjątku.

Czesław Jeśman

Sprawą Konga i Zjednoczonej Republiki Arabskiej zajmiemy się w następnym numerze.

NAGRODA POETYCKA IMIENIA Z. POLKOWSKIEJ SZKARADZIŃSKIEJ

Matka poetki Maria Polkowska ufundowała nagrodę w wysokości 50 funtów dla poety do lat trzydziestu. Spośród utworów nadesłanych na konkurs zorganizowany przez miesięcznik „Kontynenty“ jury w składzie: Czesław Bednarczyk, Michał Chmielowiec (Sambor), Jan Darowski, Maria Polkowska i Florian Śmieja postanowiło nagrodzić wiersze o. Wacława Chabrowskiego (USA) i Jerzego S. Sito (Polska).

JAN GNIAZDOWSKI

WŁOCHY: ICH POLITYKA I KRYZYS GOSPODARCZY

Blisko 4 tygodnie trwały zabiegi eskulapów partyjnych, żeby przywrócić do życia rząd Centrolewu. Poprzedni gabinet Aldo Moro, Centrolew czystej wody, bo już z czynnym udziałem socjalistów Nenniego, rozpadł się po zaledwie 7 miesiącach, gdy ministrowie socjalistyczni wystąpili razem z opozycją przeciw rządowi, głosując za odrzuceniem drobnej pozycji w budżecie, który przedtem w całości zaakceptowali solidarnie na radzie ministrów.

Wskrzeszone wydanie obecnego rządu centrowo lewicowego, z tym samym premierem na czele, wygląda w oczach wielu na twór bardzo wątpliwy. Znałszy nie wróżą mu długiego trwania — już dziś mówi się, że, zrodzony w tropikalnych upałach, gabinet ten nie przetrzyma zimy.

W obecnych naradach nad rozwiązaniem kryzysu rządowego, gdy już wreszcie przedstawiciele stronnictw koalicyjnych „Centrolewu“ (Chadecji, socjalistów Nenniego, socjaldemokratów Saragata i republikanów) wypracowali z mozołem projekt układu programowego i przedłożyli go do ratyfikacji kierownictwom swych partii, dwa dalsze odłamy partii socjalistów Nenniego głosowały przeciw ugodzie. Do grup tych należą m. in. „szara eminencja“ po Nennim i dotychczasowy dyrektor organu partyjnego „Avanti“ Lombardi, który zrezygnował z tego stanowiska, a dalej przywódca socjalistyczny w komunizującej Konfederacji Związków Zawodowych Santi, i wreszcie, dotychczasowy minister budżetu Giolitti, ten właśnie, który wśród innych socjalistów głosował przeciw budżetowi, który sam opracował. Także w łonie Chadecji przeciw układowi wypowiedziała się liczna grupa stronników Fanfaniego, oraz ugrupowanie centrowe, przeciwnie udziałowi socjalistów w rządzie, dopóki nie zerwą oni zupełnie współpracy z komunistami na wszystkich szczeblach, tj. i w związkach zawodowych i w samorządach terenowych.

* * *

Upadek poprzedniego gabinetu nastąpił, gdy na horyzoncie gospodarczym skłębiły się ciężkie chmury w wyniku prawie czteroletnich manewrów międzypartyjnych. Mówiło się zawsze, że chodzi o to, aby podciąć grunt panoszącemu się komunizmowi. Dziś, w oczach bezstronnych obserwa-

torów osiągnięcie tego celu wydaje się conajmniej tak odległe, jak przedtem.

Częściowo dla sparaliżowania agitacji komunistycznej, podjudzającej masy do strajków, już od czasu gabinetu „ostrożnego eksperymentowania“ Fanfaniego zaczęto ochoczo i szczerze podwyższać zarobki pracownicze, bez należytej troski o to, aby zwiększonej sile nabywczej ludności towarzyszył wzrost produkcji i podaży. W ciągu ubiegłych trzech lat wskaźnik wzrostu płac podskoczył o 60%. Skutki nie kazały na siebie długo czekać. Skończył się mit o włoskim cudzie ekonomicznym, przyszła inflacja ze wszystkimi jej następstwami, aż do zagrożenia stabilizacji lira. Kraj wszedł w stan ostrego kryzysu gospodarczego.

Uderzono na alarm — posypały się głosy ostrzegawcze: ministra skarbu Colombo i nawet socjalistycznego ministra budżetu Giolitti'ego, wreszcie dyrektora Włoskiego Banku Narodowego Carli. Przyszły upomnienia z Europejskiej Wspólnoty Gospodarczej. Wiadomo, że gdy któryś z krajów wpada w deficyty, to musi się to odbić nieuchronnie na zasobach Wspólnego Rynku.

* * *

Europejska Wspólnota Gospodarcza, zgodnie z układami rzymskimi, ma obowiązek przyjść z pomocą krajom członkowskim, które znajdują się w trudnościach, ale oczywiście pod warunkiem, że same odpowiednimi zarządzeniami dopomogą sobie do zlikwidowania niedoborów. W przeciwnym wypadku Wspólny Rynek musi podjąć kroki we własnej obronie. Przyszła więc chwila, by zastosować drastyczne środki zaradcze. Tymczasem socjaliści ani chcieli słyszeć o odłożeniu radykalnych reform strukturalnych, ograniczających iniekcję prywatną. Lombardi nie ukrywał swej radości po upaństwowieniu źródeł i dystrybucji energii elektrycznej, określając to jako pierwszy wyłom w systemie kapitalistycznym.

Właśnie w momencie spiętrzenia trudności trzy prorządowe stronnictwa laickie złączyły się z opozycją, by odrzucić, ze względów pryncypialnych, śmiesznie drobną kwotę na subsydia dla szkół prywatnych, zgodnie z zagwarantowaną przez konstytucję wolnością nauczania. Chodzi tu głównie o szkoły przyzakonne. Jest to jedna z nielicznych już redut, które Chadecja musiała, tak samo ze względów pryncypialnych, bronić w niezaliansie z zachłannymi socjalistami i... przegrała, zdradzona przez własnych sojuszników.

Szereg punktów kontrowersyjnych, które stanowiły wytyczne programowe obalonego pierwszego rządu Moro, przeniesiono żywcem do obecnego układu programowego tej samej koalicji, z tymi samymi zaleceniami gruntownych reform strukturalnych, ale tym razem z dodatkami, podyktowanymi koniecznościami obecnej, ciągle poważnej sytuacji gospodarczej. Na pierwszym miejscu postawiono zarządzenia przeciwkryzysowe, a reformy, które mają być tymczasem rozpracowywane, mają wejść w życie dopiero gdy warunki na to pozwolą.

Tak wynikałoby z treści komunikatu o ugodzie programowej odrodzonej koalicji i tak go tłumaczyły komentarze Chadecji, podnosząc, że jest to ustępstwo uczynione przez jej partnerów w imię wspólnego dobra. Komentarze socjalistów uderzyły w zupełnie inny ton: jest to rzekomo przyjęcie wszystkich tez socjalistów. Ich opiekunowie na uboczu, komuniści, byli odmiennego zdania, utrzymując, że socjaliści zdradzili klasę robotniczą i że układ stanowi dalszy „zwrot na prawo“. Wreszcie neofaszystowski „Il Secolo“ nazwał wręcz ugodę „pospolitym oszustwem“ (volgare truffa).

Pozostaje faktem bezspornym, że za dalszym trwaniem Centrolewu, co zdecydowano na neopolitańskim kongresie Ch. D. w 1962 r., wypowiada się dziś nie cała Chadecja i nie cała partia socjalistyczna Nenniego. Po oderwaniu się od tej ostatniej tzw. „Chińczyków“, obecnie odłączyło się jeszcze 7 innych działaczy, a reszta lewego skrzydła patrzy i czeka. Najbliższe Kongresy i Chadecji i socjalistów muszą zdecydować, licząc się oczywiście z wyborami, czy będzie im dogadzało kontynuowanie polityki centrowo-lewicowej, połączonej z ryzykiem wykruszenia się ich szeregów. W łonie Chadecji można już uważać za obalony aksjomat o „nieodwracalności“ koncepcji Centrolewu.

* * *

Nie wspomnieliśmy dotąd nic, ale i układ programowy drugiego rządu Moro nie wspomniął słowem, o polityce zagranicznej. To prawda, że resort spraw zagranicznych pozostaje w rękach Saragata, pewnego i wiernego wyznawcy polityki zachodniej i atlantyckiej, zwolennika wspólnoty nie tylko ekonomicznej, ale i politycznej państw zachodnich. Ale wiemy też, że w stanowisku socjalistów nie zaszły zmiany. A były ich wypowiedzi i na łamach ich oficjalnego organu „Avanti“ i ze strony czołowych przywódców socjalistycznych na rzecz rozluźnienia więzów z paktem atlantyckim, sym-

patyzowania z krajami tzw. niezaangażowanymi, czyli z wizją neutralizmu — w kompletnej harmonii z tezami komunistów włoskich. A jeśli chodzi o Wspólny Rynek, to i tu padły już głosy, w odpowiedzi na zalecenia Europejskiej Wspólnoty Gospodarczej, by po prostu zerwać z Rynkiem.

Drugi, taki sam gabinet Centrolewu, z tym samym premierem Moro, b. długoletnim sekretarzem Chrz. Demokracji, zrodził się w atmosferze iście tropikalnej, wyjątkowo dusznej. Ten rząd, jeśli wytrwa, ma przedłożyć do końca roku pierwszy pięcioletni plan gospodarczy, którego celem ma być gruntowne przeobrażenie struktury społecznej i gospodarczej Włoch.

Jan Gniazdowski

BURZLIWE LATO 1964

PRZEGLĄD
POLITYKI
MIĘDZYNARODOWEJ

Tegoroczne lato nie zwolniło biegu polityki międzynarodowej nie dało rządzącym mężom stanu państw wielu okazji do odpoczynku. Na rozmaitych kontynentach i odcinkach światowego frontu, na osiach stosunków między różnymi państwami wciąż coś nowego się dzieje i nikt nie pozwala sobie na zawieszenie działalności, na upragnione odprężenie polityczne. Ważne mowy i deklaracje, wizyty dyplomatyczne i konferencje, spory ideologiczne i nawet — wbrew zeszłorocznym nadziejom na pokojowość tego wyborczego w Stanach Zjednoczonych i W. Brytanii roku — wojenki zewnętrzne oraz domowe, wreszcie groźne punkty zapalne, to wszystko składa się na burzliwą rzeczywistość lata 1964.

Polityczne czy ideologiczne spory toczą się, zarówno między Zachodem a reżymami bloku komunistycznego, jak wewnątrz obu tych, głównych zgrupowań światowych. Rzeczywistość ta skłania niektórych komentatorów politycznych do stwierdzania rzekomej likwidacji podziału świata na zachodni oraz komunistyczny. Stwier-

dzenie takie odpowiada na Zachodzie przede wszystkim zwolennikom przyjaznej „koegzystencji“ z Sowietami, z których jeden i to czołowy wypowiedział się ostatnio w tym kierunku ze szczególną skrajnością. Mam na myśli b. ambasadora amerykańskiego G. F. Kennana i jego wysunięty postulat, aby zaprzestać nazywania państw bloku eur-azjatyckiego komunistycznymi, gdyż ma to być obecnie jego zdaniem już anachronizmem.

MIMO SPORÓW WEWNĘTRZNYCH — BLOKI ZACHODU I KOMUNIZM ISTNIEJĄ

W rzeczywistości Kennan, teoretyk polityki containmentu, który taką likwidację komunistycznych ustrojów przed 15 laty na teraz zapowiadał, chciał by w ten sposób wmówić sobie i innym, że okazał się dobrym prorokiem. Jest to arcyłudzka ambicja, ale prawda jest inna i wątpię, by ktokolwiek obiektywny wziął pobożne życzenie czołowego apostoła koegzystencji z Rosją na serio. W komunizmie bowiem trwają znane i nie nowe spory, wyrażające się tym razem głównie w rozdziewkach Moskwy z Pekinem i wciąż czytamy o wzajemnych wymyślaniach czy pogrożkach, albo o tworzeniu się dwu frakcji w łonie 81 partii komunistycznych świata, ale wszystko to, niestety, nie oznacza wcale likwidacji komunizmu. Nie świadczy to, ani o zatracie jego poczucia jedności oraz wspólnoty ideowo-politycznej, ani — co gorzej — nie wyraża się w osłabieniu agresywnej ekspansji tego niszczyielskiego, wygrywającego nienawiść klasową, a ostatnio też rasową, prądu.

Przeciwnie nawet, obie facje z Moskwą czy Pekinem na czele, rywalizują w gorliwości rewolucyjnej, aby zdobyć jak najwięcej atutów w wewnętrznej rozgrywce między sobą. Rezultat jest taki, że ogólnie komunistyczny napór komunistycznej ekspansji rośnie i rządy zachodnie stoją tego roku wobec większego zagrożenia na wielu obszarach świata, niż było to przed upragnionym konfliktem sowiecko-chińskim. Szczególna sytuacja wytworzyła się przy tym w płd. wschodniej Azji, gdzie kokietujący Moskwę Waszyngton Demokratów liczył na hamującą rolę Rosji w stosunku do czarwonej ekspansji, przypisywanej tam głównie Pekinowi. Tymczasem ostatnio Chruszczow, aby

mieć i wilka sytego i kozę całą, umywa ręce od tego, co się w Laosie czy Wietnamie dzieje, zostawiając tak wolną rękę komunistycznym akcjom na terenie owych krajów a nie podkopując prosowieckich nastrojów w propagującej „koegzystencję“ zachodniej prasie.

Z drugiej strony, wewnętrzne rozdźwięki w łonie obozu zachodniego, które — według niektórych — miały by oznaczać, że przestał także być całością, są w istocie drugorzędne. Są one głównie dyplomatyczne i związane ze zmianami we wzajemnym stosunku sił, zwłaszcza między zach. Europą z Francją na czele a Stanami Zjednoczonymi. I nie tylko nie może tu być mowy o starciach zbrojnych, ale rozdźwięki te błędą w zestawieniu z przepaścią, która dzieli świat wolny od komunizmu, mimo rozmaitych wysiłków przesłaniania jej i budowania nad nią kruchych mostów.

DE GAULLE O PRZYMIERZU ATLANTYCKIM I ROZBIEŻNOŚCIACH Z NIEMCAMI

Temu poczuciu jedności Zachodu, mimo istniejących różnic oraz inicjatyw wewnętrznej przebudowy jego struktury, daje wyraz przede wszystkim ten właśnie mąż stanu, któremu w pierwszym rządzie tendencje odśrodkowe się przypisuje, mianowicie Prezydent Francji, generał de Gaulle. Robi on to we wszystkich swoich obszerniejszych wypowiedziach, w których zajmuje się problemami ewolucji przymierza zachodniego i roli, jaką się w nim należy zachodniej Europie a Francji w szczególności.

W tym duchu wypowiedział się de Gaulle, także podczas ostatniej swojej, lipcowej konferencji prasowej. Mówił on tam wyraźnie o świecie wolnym jako o całości, przeciwstawił komunizmowi i podkreślił znowu konieczność dla Europy „utrzymania z Ameryką przymierza, w którym na północnym Atlantyku jedna i druga strona są równie zainteresowane póki istnieje zagrożenie sowieckie. Ale powody — dodał de Gaulle — które Europie zamieniały to przymierze w podporządkowanie się, z dnia na dzień się rozwiewają“.

Ta walka o równouprawnienie Francji w Przymierzu Atlantycznym nie odpowiada, rzecz jasna, Stanom Zjednoczonym ani W. Brytanii, jako

moćarstwom anglosaskim, złączonym sojuszem „specjalnym“, jak często w prasie angielskiej czytaliśmy. Komentatorzy tej prasy oświeclają więc z reguły „dążenia de Gaulle’a nieprzychylnie, jako „szowinistyczne“ albo szkodliwe dla jedności Zachodu. Z naszej, polskiej strony nie tylko nie mamy powodu bronić supremacji anglo-amerykańskiej w obozie zachodnim i przyłączać się do tej antyfrancuskiej postawy, ale wzrost pozycji francuskiej musimy uważać za pożądany i pomyślny. Silna Francja to korzystny dla Polski równoważnik nie tylko rozmaitych tendencji w polityce Waszyngtonu i Londynu, ale przede wszystkim — zabezpieczenie przed zbyt daleko idącymi roszczeniami niemieckimi.

Tu wypada przejść do najważniejszego chyba punktu ostatniej wypowiedzi gen. de Gaulle’a, punktu dotyczącego stosunków Francji z Niemcami. Stwierdził on mianowicie po raz pierwszy od zawarcia 22 stycznia 1963 dwustronnego traktatu francusko-niemieckiego, że pozostały między obu rządami ważne rozbieżności polityczne. „Zapewne, mówił de Gaulle, nie ma i nie może być między Bonn a Paryżem przeciwieństw w dosłownym znaczeniu. Ale, jeśli chodzi o rzeczywistą solidarność Francji i Niemiec w sprawie ich obronności; albo o danie nowej organizacji Przymierzu Atlantycznemu; albo o postawę i ewentualną akcję wobec wschodu a zwłaszcza wobec satelitów Moskwy; albo — w związku z tym — o sprawę granic i narodów w środkowej i wschodniej; albo o uznanie Chin... albo o pokój w Azji zwłaszcza w Indochinach i Indonezji; albo o pomoc dla krajów niedorozwiniętych Afryki, Azji i Ameryki Łacińskiej; albo o realizację Wspólnego Rynku rolniczego i w konsekwencji całej przyszłości całej Wspólnoty Szóstki, nie można powiedzieć, jakoby Niemcy i Francja pogodziły się już ze sobą, co do prowadzenia razem polityki...“. W dalszym ciągu tego wywodu de Gaulle nakreślił możliwość rozejścia się, zarówno współpracy francusko-niemieckiej, jak całej Europejskiej Szóstki, zaznaczając, że Francję stać na cierpliwość i ewentualną samodzielność, także od europejskich partnerów; wreszcie wypomniął rządowi NRF, że polityki europejskiej nie rozumie jako niezależnej, oczywiście, od Amerykanów.

Opinię polską musi w przytoczonym wyżej ustępie interesować przede wszystkim to, co powiedział o różnicach, dotyczących granic w naszej części kontynentu, czyli — oczywiście — granicy na Odrze i Nysie, za którą Francja, jedyna spośród mocarstw, już się opowiedziała. Ważne jest również przytoczenie przez prezydenta Francji tak długiej listy rozbieżności politycznych francusko-niemieckich, że niewiele zostaje terenu na zgodę. Bezpośrednia reakcja Adenauera, jako przewodniczącego chrześc. demokratycznej większości parlamentarnej, na której rząd Erharda się opiera, dowodzi że b. kanclerz i twórca porozumienia niemiecko-francuskiego pragnął by ratować je od rozpadu. Pozwala ona też przypuszczać, że w przyszłych wyborach parlamentarnych profrancuskie tendencje w niemieckim społeczeństwie spróbują przeważyć i przywrócić politykę zagraniczną Bonn na dawne tory adenauerskie. Postawienie sprawy przez de Gaulle'a postawiły niemieckim kom politycznym jasną alternatywę.

ZAOSTRZENIE KONFLIKTU W PŁD. WSCHODNIEJ AZJI

Od dawna przewidywana, przygotowywana i w formie pogroźek zapowiadana bezpośrednia interwencja zbrojna Stanów Zjednoczonych przeciw komunistom płn. Wietnamu ostatecznie doszła do skutku. Sprowokowały ją, według Waszyngtonu, morskie jednostki wojenne płn. wietnamskie, przybrzeżne torpedowce, które ostrzelały jakoby pierwsze na międzynarodowych wodach zatoki Tonkińskiej większą jednostkę amerykańskiej marynarki wojennej, niszczycielą „Maddox“, co było wstępnym incydentem w dniu 4 sierpnia.

Reakcja Waszyngtonu była bardzo ostra i demonstracyjna, szkoda, że przeciw tak drugorzędnemu tylko partnerowi komunistycznego bloku. Prez. L. B. Johnson zwołał rozmaite narady najwyższych czynników państwowych, po czym wydał zarządzenia koncentracji większych sił morskich i lotniczych u wybrzeży płn. Wietnamu, nakazał bezwzględną reakcję na ewentualne ataki przyszłe, wystosował — drogą pośrednią — ostrzegawczą notę do czerwonego reżymu w Hanoi, którego Stany Zj. nie uznają, wreszcie skierował sprawę na Radę Bezpieczeństwa ONZ.

Mimo tego hałasu, strzelaniny i groźnej postawy, nie przewiduje się, jak dotąd, poważniejszego i szerszego konfliktu na tle tych incydentów w zatoce Tonkińskiej. Panuje na ogół pogląd, że Waszyngton chce swoją reakcję utrzymać w granicach, które nie sprowokowały by kontrakcji nie tylko Rosji Sowieckiej, czego dyplomacja amerykańska zdaje się być pewna. Prez. Johnson, jak wydaje się, nie chciał by nawet wywoływać zaangażowania się czerwonych Chińczyków i dlatego swoim ostrym posunięciem określa dość ciasne ramy obronnej jedynie reakcji na płn. wietnamskie ataki. Demonstracja wojowniczości była natomiast bez wątpienia potrzebna rządowi Demokratów, ze względów wyborczych i zwłaszcza z powodów zarzutów słabości wobec komunizmu, stawianych przez obóz senatora Goldwatera.

Demonstrowanie stanowczości antykomunistycznej przez Waszyngton Demokratów w płd. wschodniej Azji nie jest zresztą nowością. Obszar ten uważany jest za strefę zainteresowań przede wszystkim Pekinu i wobec sporu Moskwy z tą drugą najważniejszą stolicą bloku komunistycznego, Amerykanie nie obawiali się od dawna bezpośredniej reakcji sowieckiej na swoje ewentualne, bardziej ofensywne kroki w Laosie czy Wietnamie. Za *status quo* panowania Moskwy we wschodniej Europie spodziewali się otrzymać większą swobodę ruchów nad Pacyfikiem i wobec czerwonych Chin.

Założenia tego — wątpliwej dla nas wartości — antykomunizmu wschodnio-azjatyckiego Stanów Zjednoczonych, są też obiektywnie wątpliwe, ponieważ rozmiary i granice sporu sowiecko-chińskiego są niewymierne dla zachodnich obserwatorów, patrzących przez szkła powiększające. Dużym rozczarowaniem musi być dla nich ostatnio ten fakt na przykład, że Pekin poparł wniosek Moskwy zwołania konferencji 14 państw w sprawie Laosu. Nie jest bezpieczne ufać zbyt wiele zapewnieniom sowietologów, ani wiązać hasła wyborcze z polityką międzynarodową.

KUBA I KONGO

Innym międzynarodowym posunięciem rządu Demokratów, dyktowanym zapewne również przez względy wyborcze, była uchwała o sankcjach przeciw reżymowi Castry na K. b.

powzięta przez Organizację Państw Amerykańskich. Stało się to na sesji OPA w Waszyngtonie, która większością 15 głosów na 3 przeciw i przy jednej absencji postanowiła zawiesić wszelki handel z Kubą z wyjątkiem żywności i lekarstw, potrzebnych ze względów humanitarnych. Przeciw głosowały: Chile, Meksyk i Urugwaj, a Boliwia się wstrzymała. Sankcje te zostały ogłoszone w przededniu 11-tej rocznicy kubańskiej rewolucji i wywołały natychmiastową reakcję dr. Castry, który odpowiedział pogroźką wywoływania przewrotów we wszystkich krajach Ameryki Łacińskiej.

Podczas gdy powyższą uchwałę OAS można uważać za sukces dyplomacji amerykańskiej, sytuacja w Kongu po wyjściu oddziałów ONZ, które rządziły w tym afrykańskim kraju według wytycznych Waszyngtonu, przedstawia się rozpaczliwie. Jedna szósta obszaru Konga znajduje się pod władzą rewolucyjnego rządu, którego wojska posuwają się dalej naprzód. Próbuje ratować sytuację rząd pod przewodnictwem tegoż M. Czombe, którego zwalczanie i wypędzanie z Konga było kiedyś głównym zajęciem — kierowanego z Waszyngtonu — ONZ. Szefem rządu, „Ludowej Republiki Konga“, którego głównym oparciem stanowi królestwo wschodnio-kongijskie Burundi, jest Gaston Emil Sumialot a agentem jego na Stanleyville, stolicę wschodniej części Konga — Wiktor Benanga, który współdziała od wewnątrz w zdobywaniu tego miasta. Prokomunistycznym tym przywódcom przypisuje się powiązania z Pekinem, aby nie urazić Moskwy i zwolenników „koegzystencji“ z nią.

Poważniejszej reakcji ze strony Waszyngtonu na krwawy chaos w Kongu tymczasem nie ma. Biały Dom widać sądzi, że nie stało się to jeszcze zagadnieniem wyborczym.

Z. S.

AFERA MIĘSNA

Radio Warszawa nadało wiadomość o rezygnacji Walentego Titkowa ze stanowiska I sekretarza Komitetu Woj. PZPR w Warszawie. Titkow popadł w chwilową niełaskę w związku z wykryciem wielkiej afery mięsnej, w której uczestniczyły grube ryby partyjne i rządowe. Na czerwcowym Zjeździe partii Titkow wygłosił najostrzejsze z przemówień przeciw intelektualistom, którzy podpisali „protest 34-rech“. (FEC)

LINCOLN — MacCLELLAN; JOHNSON — GOLDWATER: WILSON — HOME

Przed stu laty, w roku 1864 wybory prezydenckie odbywały się w czasie toczącej się Wojny Domowej. Lub secesyjnej, jeśli kto woli tę nazwę. Istnienie Stanów Zjednoczonych, o które wojna w gruncie się toczyła, nie było wcale rzeczą pewną. Ogromna

przewaga materiałowa i w ilości wojska po stronie północnej, tj. wiernej Unii, napotykała na bezprzykładnie zacięty i jak dotychczas wcale skuteczny opór Południowców, którzy stworzyli własne państwo zwane Konfederacją Stanów Ameryki Północnej, w skrócie CSA zamiast USA.

Prezydentem Stanów Zjednoczonych był Lincoln — najpiękniejsza bodaj postać w dziejach Ameryki, człowiek którego nazwać możemy ojcem nowoczesnej demokracji. Kończyła się jego kadencja. Republikanie wysunęli rzecz jasna ponownie jego kandydaturę. Demokraci „nominowali” generała Jerzego MacClellana, odsuniętego przez Lincolna od dowództwa wskutek nieudolności połączonej z zadziwiającą arogancją.

Wybory wygrał Lincoln, który doprowadził wojnę do zwycięskiego końca, choć nie udało mu się „wygrać pokoju”, gdyż w dziewięć dni po kapitulacji Południa dosięgła go kula mordercy. Następca nazywał się Johnson, tak jak prezydent obecny z tym, że miał na imię Andrzej. Jemu także nie pozwolono „wygrać pokoju” z tym skutkiem, że dziś po stu latach problem murzyński jest w równym stopniu kluczowym zagadnieniem co w przede dniu Wojny Domowej i jest głównym, może należało by powiedzieć, jedynym, cieniem, który kładzie się groźną smugą na teraźniejszość i przyszłość Ameryki.

Rok 1864 był przykładem jak walka wyborcza i uprzedzenia społeczeństwa paraliżują rządy w chwilach jak najbardziej niedogodnych. Gdyby nie zwycięstwo Shermana w Georgii, zdobycie Atlantyki i inne sukcesy wojskowe, nie wiadomo, czy Lincoln był by wybrany powtórnie. Gdyby go nie wybrano, MacClellan zgodził by się pewno na „pokój za wszelką cenę” i na terytorium Stanów Zjednoczonych istniały by do dziś nie jedno, ale dwa państwa. A może i więcej, gdyż za przykładem Południa poszedł by być może Midwest i stany nad Pacyfikiem. Co niemniej ważne, niewolnictwo ostało by się na długie jeszcze lata, jako zasada prawna. A krzywdą społeczną wynikająca z praktyki i krzywdą strzeżoną prawem — to dwie różne rzeczy.



Dziś w r. 1964 jesteśmy świadkami przedwyborczych rozgrywek i w Ameryce i w Wielkiej Brytanii. Goldwater — Johnson, Wilson — Home. Programowe różnice między Republikanami i Demokratami, między Konserwatystami i Labourzystami są wielkie. Lecz nie w tym leży isłota sprawy. Doświadczenie kilkuset lat uczy, że w obu krajach anglosaskich niebezpieczną nie jest zmiana linii politycznej po wyborach, gdy rozsądek bieże górę nad teoriami, lecz „pokazowość” i nadmierna ostrożność przed wyborami. Dla świata jest mniej istotne kto wygra, niż ile czasu trzeba jeszcze na wygraną czekać.



O SZTUCE NAKŁANIANIA

REKLAMA I GRAFIKA UŻYTKOWA — ICH CELE I MOŻLIWOŚCI

Nakłaniania? Nie tylko: udowadniania. Samo udowadnianie nie wystarczy. Tym reklama różni się od sofistyki. Różnica, o której zresztą nie wszyscy artyści i pisarze pracujący w niej pamiętają. Sofista który udowodnił że zółw jest szybszy od Achilleśa spełnił swe zadanie. Może spokojnie, z czystym zawodowym sumieniem odejść z rynku do oberży, pić wino i szczypać dziewczęta.

Rola ludzi reklamy jest o wiele trudniejsza: Nie wystarczy gdy udowodnią że „żadna kobieta prowadząca dom nie może żyć bez maszyny do prania”. Muszą jeszcze nakłonić tę kobietę by maszynę kupiła. I to nie byle jaką maszynę, ale właśnie tę którą oni zalecają.

Ów obowiązek dążenia do zupełnego praktycznego celu ma ponoć ściągać grafikę użytkową z piedestału sztuki i wypychać w kategorię rzemiosła, lub nawet zająć podejrzanym moralnie — gdzieś między stręczycielstwo a kuglarstwo.

Pomawia się reklamę o wiele zdolności, szerząc o niej wieści niekiedy tylko fantastyczne, niekiedy wprost wyszane z brudnego palca: że świadomie wprowadza w błąd, że powoduje wyżkę cen, że toruje drogę tandecie, że podnieca erotycznie, (a więc deprawuje młodzież). Wszystko dla ubocznego, błachego zysku. Reklama, dziewczyna rozzochrana, ale zgrabna i diabelnie fertyczna — broni się jak i czym może — naogół zupełnie skutecznie: „Wprowadzanie w błąd — powiada — nie jest moim wyłącznym przywilejem. Robią to (często z lepszym skutkiem) politycy, panienki z dobrego domu, adwokaci... zresztą wszyscy!”

Sprawa podwyższania cen i obniżania jakości reklamowanych produktów wygląda paradoksalnie: Wydaje się przecież oczywiste, że kosztowne ogłoszenia, opakowania itd. podwyższają ceny, gdyż wydatek na nie musi być brany pod uwagę przy handlowej kalkulacji. Okazuje się jednak że, przeciwnie, zwiększając zapotrzebowanie, u wielokrotnia się produkcję, co w konsekwencji obniża jej koszty. Przy tym wzmagając konkurencję zmusza

się współzawodniczące firmy do podniesienia jakości swej produkcji.

Zagadnienie elementów erotycznych, osławionego „seksu”, w reklamie wymaga omówienia. Używany jest namiętnie i żeby tak rzec — gminnie jest nadużywany. Nie zawsze bowiem spełnia wyznaczoną sobie rolę: rolę zachęty do nabywania ogłaszanych produktów. Bo czy fotografia rozmarzonej blondynki, w miarę rozebranej i przyjmującej od niechcenia papierosa podawanego przez nonszalanckiego partnera nakłania do kupowania papierosów tej właśnie marki? Fotografia taka może budzić zainteresowanie i podniecać, ale podniecone erotycznie podlotki i wyrostki nie będą traciły czasu na palenie papierosów.

Tu wrócić trzeba do początkowych uwag: reklama jest sztuką nakłaniania publiczności do nabywania produktów, lub do korzystania z udogodnień i przyjemności. Jej obowiązkiem wobec klienta jest zachęcać jak najskuteczniej. W przygotowaniu reklamy artysta i autor tekstu muszą przede wszystkim zdać sobie jasno sprawę z tego kogo i do czego chcą nakłaniać. Wtedy rozwiązania i pomysły przychodzą stosunkowo łatwo.

Każdy problem, każdy produkt czy klient wymagają nowego przemysłania. Krytykowany przed chwilą element erotyczny może się okazać przydatny, właściwy (z handlowego punktu widzenia). Naprzykład spełnia skutecznie swą rolę w wypadku kosmetyków czy damskiej bielizny.

Humor daje w ogłoszeniu niemal zawsze dobre rezultaty. Przyciąga uwagę publiczności znużonej nudą dnia powszedniego, daje możliwość odprężenia wśród pracowitego rejdachu. Łatwiej wierzymy w bezinteresowność rad żartownisia niż ponurego natręta.

Nie wielu jest ludzi tak zapracowanych by ich nie stać było na przelotny śmiech. A jeśli są to i tak reklama nie ma co na nich liczyć: mogą sobie kupić tylko trumnę. Ale dobra reklama mniej może zabiegać o śmiech, niż o uśmiech. To dwie różne rzeczy. Uśmiechowi towarzyszy zwykle tajone wzruszenie czyli stan umysłu, w którym łatwo kogoś nakłonić do wydawa-

nia pieniędzy. Niezawodnym środkiem na wykrzesanie owego trochę sentymentalnego uśmiechu jest umiejętnie pokazanie dziecka. Dlatego ostatnio dzieci robią w reklamie karierę. Znakomita seria afiszy Barclays Banku w Anglii wyjaśnia to lepiej niż jakikolwiek komentarz.

Ogłoszenia powodujące wzruszenie mają tę zaletę, że usypiają podejrzliwość. Im reklama natrętniejsza, im wrzaskliwsza, tym więcej wznieca oporu. Reklama bardzo dyskretna budzi zaufanie do jakości produktu. Za rekord delikatności w ogłoszeniu uznaje chyba można afisz piwa „Whitbread” z przed lat kilku. Przedstawiał on polne kwiaty i zioła, uzupełnione cytata z romantycznego poety. U dołu niewielki, dyskretny napis: „To odświeżenie ofiarowuje znużonemu podróżnemu Whitbread”. Barwna, chłodna soczystość ilustracji skutecznie przypominała spoconym pasażerom kolejki podziemnej o chłodnym kuflu piwa.

Pomimo sędziwych tradycji reklama jest w swej dzisiejszej formie dziedziną młodą i obarczoną cechami towarzyszącymi często młodości: czupurnością, wilczym apetytem na dobra tego świata, bezwzględnością graniczącą nieraz z okrucieństwem, a niekiedy arogancją i brakiem odpowiedzialności.

Cechy te — należy mieć nadzieję — ustępować będą stopniowo, w miarę dojrzewania. Dziś reklama jest jeszcze dzieckiem; rozpieszczonym, ale nieodrodnym dzieckiem zachodniego systemu gospodarczego. Niezbędnym warunkiem jej istnienia jest wolny handel i swobodna konkurencja. Nie znosi tyranii upaństwowionego przemysłu z jego pogardą dla potrzeb i zachcianek jednostki. Nie ma dla niej miejsca w krajach bloku sowieckiego. Dodać warto, że brak handlowej reklamy wewnętrznej fatalnie odbija na eksporcie krajów z za żelaznej kurtyny. Upaństwowiony przemysł (np. polski przemysł spożywczy) zdaje się nie zauważać konieczności podawania swych produktów na rynku zachodnim w atrakcyjnych opakowaniach i przy poparciu dużych ogłoszeń w prasie. Ogłoszeń kosztownych, ale zawrotnie zwiększających zapotrzebowanie.

Gdy mowa o prasie trzeba pamiętać, że powiązania z nią reklamy nie są ani błache, ani przypadkowe. Urodziła się ona właśnie i wyrosła z ogłoszeń w gazetach. Najwcześniejsze z nich po-

chodzą niemal z pierwszych lat istnienia prasy. W Anglii ukazywały się one przynajmniej od w. XVII, gdy pierwszy periodyk angielski, „Mercurius Britannicus“ zaczął swój, efemeryczny zresztą, żywot w 1625 r.

Z czasem reklama rozwinęła się w wielu kierunkach: opakowania, afisze, filmy w kinie i telewizji, stoiska wystawowe... Ale do dziś ogłoszenia prasowe pozostają główną jej bronią. Przynajmniej w Europie. W 1963 r. 56% wydanych na reklamę w Wielkiej Brytanii pieniędzy przypadło na ogłoszenia w prasie, gdy 26% w telewizji. Te intymne powiązania reklamy z prasą sięgają bardzo głęboko. Prasa jest ciągle potęgą, może zachować swą niezależność, postawę potęgi, właśnie dzięki reklamie i zasobom finansowym przez nią dostarczanym.

Na tle wzrastających cen i kosztów utrzymania prasa stanowi chwalebny wyjątek. Dla przykładu: pojedynczy dwóch kartek) kosztował w 1798 r. numer „Times'a“ (składający się z 6 pensów gdy dziś kilkudziesięciu stronicowy, bogato ilustrowany numer kosztuje 5 pensów. To dziwaczne z pozoru zjawisko daje się wyjaśnić głównie tym, że wielką część kosztów produkcji pism pokrywają opłaty za ogłoszenia.*)

Za atakami na reklamę handlową kryje się często zazdrość powodowana błyskotliwym powodzeniem niektórych agencji reklamowych — instytucji, które powstają niekiedy prawie bez kapitału zakładowego i niemal natychmiast przynoszą duże dochody.

Ale jest dziedzina, w której krytyka reklamy ma poważne i słuszne podstawy. Na poszczególnych organizacjach, zawodach, kasach społecznych spoczywają specjalne obowiązki w stosunku do społeczeństwa, jego dobrobytu, jego kultury. Uchylenie się od tych obowiązków świadczy nie tylko o egoizmie, ale i o niedojrzałości a także krótkowzroczności. Otóż na reklamę spada nieoczekiwane obowiązek, od którego spełnienia najczęściej wykręca się i odżegnuje. A obowiązek to arcyważny: obowiązek uczenia społeczeństwa dobrego smaku.

W wiekach średnich zadanie to speł-

niał Kościół i wywiązywał się z niego z podziwu godną rzetelnością. Przez wieki uczył nie tylko królów, rycerzy i prałatów, ale także pastuchów, gospodarzy i wyrobników doceniania i rozumienia piękna. Uczył w sposób prosty, przystępny, ale skutecznie i na najlepszych, do dziś nie prześcignionych przykładach. Z czasem rolę Kościoła w dziedzinie krzewienia kultury w dużej mierze spełniać zaczęły dwory monarsze, arystokracja, patrycjat miejski.

Dziś sztuka idzie swoją własną, krętą i dziką ścieżką. Jej tajniki są zrozumiałe tylko dla niewielkiej grupy wtajemniczonych. Społeczeństwo w swej masie w dziedzinie wyczuwania i doceniania piękna przerażająco zdziaczało. Otóż jedyną niemal formą sztuki (plastyki), która dociera do wszystkich, choćby wbrew woli odbiorców, jest reklama.

ALINA CYBULSKA

ODPOCZNIJ PRZED URLOPEM

Jeszcze dopina się ostatnie walizki, jeszcze się gorączkowo sprawdza bilety, jeszcze ostatnie polecenia — i wakacje, nareszcie wakacje!

Oczywiście do ostatniego dnia, a czasem do ostatniego momentu pracowało się na pełnych obrotach, sprawy do załatwienia narastały i mnożyły się jak muchy ale to wszystko nic; za tydzień — za trzy dni — od jutra, odpoczynek za cały rok zmęczenia, kłopotów, nerwów... Od jutra wakacje. Samolot w kilka godzin przeniesie nas w inny klimat, w inną aurę. Pociąg, samochód przerzuci nas z duchoty i szarżyny wielkomiejskiej, z zapełnionych ulic, z niewolnictwa zegarka w uprawnioną atmosferę far niente.

Wprawdzie ostatnio coś nerwy nie dopisywały i ze snem było gorzej niż źle, — w pracy wszystko szło na bakier,... waga chyba się popsowała, bo przecież niemożliwe żeby w ciągu ostatnich tygodni tyle niepotrzebnych funtów przybyło. Rano kaszel. Papierosy? Pewno papierosy. Trzeba będzie z tym wszystkim zrobić generalny porządek, przestać tyle palić, odstawić wszelkie pigułki nasenne i uspokajające, dużo chodzić, żeby schudnąć, przyda się też trochę ćwiczeń na plaży, pływanie, słońce... jednym słowem po wakacjach wrócić kompletnie i zupełnie zdrowym, odrestaurowanym, nowym człowiekiem.

I najciekawsze, że wszyscy rozsądni i mniej rozsądni, mądrzy i... niezupeł-

Na grafikach użytkowych ciąży wielki obowiązek. Powinni pamiętać by nie uczyć złego smaku. Rola ich jest ograniczona: muszą — podkreślamy, muszą! — spełniać zlecone im zadanie. Muszą skutecznie zachęcać publiczność do nabywania towarów producenta. Ale powinni też uczyć abecadła piękna: wyczucia harmonii kolorystycznych, rozróżniania kompozycji dobrej od złej, doceniania uroku kształtu, użytecznej elegancji litery.

A także, grafik może i powinien znużonym ludziom dostarczać okazji do uśmiechu, który zalicza się do kultury na równi z architekturą i malarstwem. Nie tylko spełni w ten sposób dobry uczynek, ale również spełni swoje zawodowe zadanie. Bo nabywca, na którego można liczyć, to nabywca uśmiechnięty.

Mieczysław Paszkiewicz

nie mądrzy — święcie w ten program wierzymy

Wywozimy rozklekotane nerwy, zakurzone płuca, przeciążony i rozregulowany system trawienny, przemęczona wątroba i chcemy to wszystko w dwa czy trzy tygodnie doprowadzić do kwitnącego zdrowia. Tymczasem sama zmiana trybu życia, zmiana otoczenia, pożywienia, klimatu jest dla organizmu porządnym szokiem, nie mówiąc już o tym, że wakacje spędzone w trybie w jakim je większość z nas planuje, wymagają paru dobrych tygodni odpoczynku... po wakacjach.

* * *

Nie, nie mam zamiaru moralizować ani namawiać nikogo na lecznicze kąpielowe wyjazdy „do wód“, czy do sanatoriów dla nerwowo zdezelowanych, chociaż po prawdzie 75% z nas by się to szczerze przydało. Ale dobre wykorzystanie wakacji, jedynych ważnych tygodni w absurdalnym życiu jakie wszyscy prowadzimy wymaga pewnego przygotowania i wysiłku. Chodzi tylko o to żeby ten konieczny „porządek z sobą“ zacząć przed wyjazdem. Warto — naprawdę warto iść do lekarza, wypowiadać się (a szczerze) ze wszystkich zdrowotnych i tym podobnych głupstw i grzechów, poprosić o pokutę na teraz i rozgrzeszenie na wakacje. Taki egzamin i parę tygodni dyscypliny oszczędzą wielu zmarnowanych

*) Nie tylko. Obniżka cen gazet angielskich (cena „Timesa“ spadła do pensa) była także skutkiem zniesienia uciążliwego podatku stemplowego w latach trzydziestych XIX wieku. (Red.).

dnij odpoczynku i skróć okres adaptacyjny.

* * *

Nie sądźmy, że pierwszy dzień spędzony leniwie i wakacyjnie już jest odpoczynkiem. Organizm żyje jeszcze diabelskim rytmem miejskiego życia i dużego wysiłku i czasu potrzebuje żeby się przestawić na wolne obroty. Oczywiście o tym się nie wie, ani się tego nie czuje i od momentu kiedy koła ruszyły nie pamięta się o zmęczeniu ani o wszystkich przedwyjazdowych dolegliwościach. Dużą rolę odgrywa euforia wakacyjna, zmiana otoczenia i autosugestia, ale sprawdzianem jest reakcja na jakieś drobne nawet niepowodzenia — zobaczymy wtedy jak łatwo nerwy nawalają. Dlatego każdemu kto nie ma nerwów jak postronki i żelaznego spokoju w obliczu przeciwności — usilnie doradzam skrupulatne badanie i jak najbardziej serio kurację przedwakacyjną. Nic bardziej nie może popsuć najlepiej zaplanowanego odpoczynku niż rozbite i zszarpane nerwy. Każdy neurastenik ma logiczne i niewątpliwe powody złego stanu nerwów, ale trzeba pamiętać że ani odpoczynek ani zmiana otoczenia tego nie zmienia. Lekarz i tylko lekarz musi zdecydować o konieczności, czasie trwania i możliwości przerwania kuracji.

* * *

Następnym momentem wielu mizerii urlopowych — to kłopoty wątrobowo-trawienne. Znów badanie lekarskie, trochę diety, mniej „drinków“, mniej diabelsko czarnej kawy (sama ją uwielbiam i piję za dużo). Na ileż to pysznych rzeczy można by sobie pozwolić we Włoszech, w Hiszpanii, we Francji bez krzywdy dla zdrowia i bez wyrzekania na szkodliwość południowej kuchni, gdybyśmy więcej wagi przywiązywali do rozsądku niż do tradycyjnej ilości i jakości posiłków — choćby na parę tygodni przed wakacjami. O samych wakacjach, o słońcu i o bezsensownej modzie opalania tyle się już pisało i pisze, że nie chcę tego powtarzać. Wspomnę tylko, że zła a czasem wręcz tragiczne skutki długotrwałego smażenia się na słońcu występują dopiero po kilku latach, ale za to nieodwracalnie. Po szczegóły odsyłam do licznych i ciągle powtarzanych artykułów dermatologów i kosmetyczek.

Również nie piszę o wodzie i niebezpieczeństwach pływania godzinami do nieprzytomnego zmęczenia — bez poprzedniego treningu i po całorocznej przerwie. Niestety większość nieszczęśliwych wypadków zdarza się doskonałym pływakom. Ciekawa francuska te-

oria mówi o zjawisku „hydrocution“ (paralela do electrocution) szoku wodnym, powodującym paraliż organizmu.

* * *

Natomiast na plażach pojawiła się nowa plaga i to tak szeroko rozprzestrzeniona, że niektóre towarzystwa asekuracyjne (szczególnie w Ameryce) przyjmują przeciw niej ubezpieczenia. Są to nagłe i niezwykle ostre ataki lumbago, które na długie dni unieruchamiają nieszczęśników nimi dotkniętych. Szukano przyczyn w różnicy temperatury między wodą a gorącym piaskiem plaży, w wysychaniu na ciele mokrych kostiumów kąpielowych po pływaniu, dopóki dokładniejsze badania nie udowodniły rzeczywistych powodów przykrych wypadków. Nasza nieszczęsna cywilizacja przybiurkowosamochodowa pozbawiła nas zupełnie mięśni i usztywniła więzadła. Niestety śnią się nam jeszcze ciągle jakieś atawistyczne sny o potędze (tym razem mięśniowej) i pierwsze rozbrykane wyczyny plażowe z gromką siatkówką, z ćwiczeniami gimnastycznymi i skokami przez plecy towarzyszy, kończą się boleśnie i o lasce.

* * *

Napewno nie wszystkie wakacyjne plagi wyliczyłam — a i tak wiem, że dobre rady i uwagi nikomu nie pomagają, ani nikogo nie przekonują. Ale „człowiek ostrzeżony wart dwóch ludzi“.

Jeszcze jedno — pakując walizki postarajcie się zostawić w domu wszystkie problemy, nawet te najbardziej podniecające i przyjemne. Parafrazując francuskie przysłowie: „vacances portent conseil“ — rozstrzygnięcie problemu często zjawia się samo, jeżeli potrafimy zdobyć się na dyscyplinę zupełnego i kompletnego wyłączenia, choćby na parę tygodni.

Pozatym na dno najgłębszej z szuflad, na klucz zamknijcie notes z adresami. — Co to za zboczenie, z ostatniego kręgu piekła rodem, wymyślił wysyłanie kartek wakacyjnych! Proponuję kampanię podobną do bożonarodzeniowej. „Zamiast pozdrowień z Miami, z Teneryfy, z wysp Eolskich, na Macierz Szkolną składają 2/6“. A potem można już spokojnie jechać do Clackton-upon-Sea...

Alina Cybulska

SPORT

XVI-TE FINAŁY PIŁKARSKIE W CANNOCK

W Cannock (środkowa Anglia) na pięknym miejskim „Festival Stadium“ w finałach polskich mistrzostw piłkarskich Polonia (Bradford) pokonała Błyskawicę (Swindon) 3:2 w kategorii juniorów (do lat 18), a Unitas (Manchester) z trudem uporał się z Młodymi (Londyn) 2:1 w kategorii starszych. Widzów 1.000 wszyscy przyjezdni (w samym Cannock nikt z Polaków nie mieszka).

Bezpośrednio po każdym meczu nastąpiło uroczyste wręczenie nagród. Wręczali: gen. K. Glabisz — prezes Związku Polskich Klubów Sportowych, prezes SPK w W. Brytanii S. Soboniewski, wiceprzewodniczący Rady Głównej SPK Z. Szadkowski, red. K. Zbyszewski.

Nagrody: puchar przechodni gen. W. Andersa i puchar „Dziennika Polskiego“ — dla mistrza (Unitas), puchar Sekretariatu Kół Oddziałowych — dla wicemistrza (Młodzi), nagroda przechodnia SPK dla mistrza juniorów (Polonia) i puchary pamiątkowe dla mistrza i wicemistrza (Polonia, Błyskawica). Puchar przechodni b. żołnierzy SBKS (Tobrukeczycy) za „fair play“ przyznano Błyskawicy. Wszyscy zawodnicy otrzymali medale pamiątkowe; zwycięzcy — złote, pokonani — srebrne.

Tegoroczne finały w Cannock były już XVI z kolei. Przed 16-ma laty 1-sze finały rozgrywano na wiejskim boisku-pastwisku w Stoke Poges koło Slough w obecności chyba nie więcej jak dwóch setek widzów... Wielu kibiców nie mogło trafić na „boisko“, które znajdowało się daleko na peryferiach. Mało kto wtedy przypuszczał, że sport polski przetrwa i że będą się odbywały mistrzostwa a finały piłkarskie staną się największą polską imprezą sportową na emigracji.

Szesnaście lat — to kawał czasu, a z wiejskiego boiska do wielkiego stadionu miejskiego to awans organizacyjny i sportowy.

Polacy lubią sport, a szczególnie piłkę nożną. Od lat więc finały piłkarskie są zjazdem towarzyskim Polaków z całej Wyspy. Prócz pięknego widowiska — dwa dobre mecze; sympatycy sportu wyżywają się w swojskiej atmosferze, dzieląc się nie tylko wrażeniami meczowymi, ale spostrzeżeniami z życia i warunków pracy. Wielu, dzięki finałom, odnalazło znajomych, o których nie słyszeli od lat. Dlatego finały należą do przyjemnych spotkań,

**CZYTAJ
POLSKĄ
KSIAŻKĘ**

a frekwencja jak na angielski „Bank Holiday“ zupełnie zadowalająca.

* * *

W ostatnich latach wiele się zmieniło w sporcie emigracyjnym. W okresie kiedy emigracja mieszkała w hostelach. Polacy byli na dorobku, na urlopy prawie że nikt nie wyjeżdżał — to zorganizowanie wycieczek autobusowych na finały było sprawą bardzo łatwą. Przyjeżdżało wtedy ponad 100 autobusów i znikoma ilość samochodów. Od lat ten stosunek się zmienia na korzyść prywatnego samochodu. W tym roku w Cannock było tylko 9 autobusów (z drużynami) i ponad 120 prywatnych, często luksusowych wozów.

Zmalała również frekwencja. Od lat wielu Polaków korzysta w pełni z dorocznych wakacji wyjeżdżając za granicę, a finały tradycyjnie odbywają się właśnie w Bank Holiday. Są tendencje wśród działaczy sportowych i „urlopników“ by zerwać z tradycją i w przyszłości organizować finały albo przed urlopami (połowa lipca) albo po urlopach (połowa września).

* * *

Pocieszającym jest fakt, że z roku na rok przybywa drużyn piłkarskich młodzików, które są nowym rozdziałem w polskim sporcie emigracyjnym. Wystarczy przytoczyć cyfry: w r. 1960 było zaledwie 6 drużyn młodzików (do lat 14) a w tym roku w trzech kategoriach wieku, startowało ich już 34! W przyszłym roku ilość drużyn winna przekroczyć „50-tkę“. Drużyn starszych (ponad 18 lat) uczestniczyło w tegorocznych mistrzostwach 8. Obaj finaliści działają od 16 lat.

Należy pamiętać, że SPK ma dużą zasługę w propagowaniu sportu na emigracji.

Jako organizacja byłych żołnierzy kładzie nacisk (i pomaga) na rozwój sportu polskiego na emigracji, gdyż przez prowadzenie działalności wychowawczo-sportowej, organizacja nasza (nie tylko nasza) staje się coraz bardziej atrakcyjna. Toteż w W. Brytanii polskie życie sportowe w różnych gałęziach sportu rozwija się bujnie chociaż jeszcze nie wszystkie możliwości zostały wykorzystane.

Sport w W. Brytanii prowadzi od r. 1953 Związek Polskich Klubów Sportowych, który został założony z inicjatywy i przy pomocy SPK i od tego czasu pracuje w oparciu o SPK otrzymując pomoc organizacyjną, a przede wszystkim finansową. Związek Polskich Klubów Sportowych realizuje program statutowy SPK z zakresu wychowania fizycznego i sportu.

Ta forma organizacyjna od lat daje dobre wyniki. Związek ma swój fachowy zarząd, sam gospodaruje swoimi funduszami. Do Związku należą także kluby, które nie są bezpośrednio związane z SPK, ale są związane z innymi organizacjami jak: Związek Harcerstwa Polskiego, Stowarzyszenia Lotników Polskich, Katolickie Stowarzyszenie Młodzieży; są jego członkami również kluby niezależne. Większość klubów należy jednak do SPK. Współpracują one ze sobą harmonijnie, a coroczne mistrzostwa i turnieje w różnych dziedzinach sportu, świadczą dobrze o prężności i zdolnościach organizacyjnych sportowców.

Ale wróćmy do finałów w Cannock. Oprawa ich jest piękna i uroczysta. Na masztach powiewają flagi polska i brytyjska, hymny narodowe, uroczyste powitanie drużyn, nieodłączne przemówienia, rozdanie nagród, wspólne fotografie, nieprzerwany doping drużyn i ... kiermasz, na którym można dostać gorący bigos, kiełbasę, książkę polską, order, słowem prawdziwie polska atmosfera.

Tegoroczny Cannock to były finały SPK. Polonia bowiem jest klubem rejonowego Koła SPK nr 451 — Bradford, Blyskawica jest klubem Koła Młodzieży Polskiej przy Kole SPK w Swindon, Unitas jest klubem Koła rejonowego nr 181 w Manchester a Londyńscy Młod-

dzi są wprowadzanie samodzielni ale mają luźniejsze związki z Kołem SPK Nr. 11/ŚW i co roku otrzymują pewną pomoc finansową.

Nazwy dotychczasowych zwycięzców finałów są jednocześnie jakby historią sportu polskiego na emigracji. Wiele z nich przestało istnieć, gdyż miały one charakter hostelowy. T.K.

Zwycięzcy (puchar gen. W. Andersa):

- rok 1949 — Carpathians (Dorney Hill)
- „ 1950 — Carpathians (Dorney Hill)
- „ 1951 — Wisła (Londyn)
- „ 1952 — Biały Orzeł (Blackshaw Moor)
- „ 1953 — Silesia (Huddersfield)
- „ 1954 — Syrena (West Bromwich)
- „ 1955 — Junak (Hodgemoor)
- „ 1956 — Naprzód (Mansfield)
- „ 1957 — Gwiazda Gdyni (Marsworth)
- „ 1959 — Sokół (Nottingham)
- „ 1960 — Pogoń (Birmingham)
- „ 1961 — P.K.S. (Manchester)
- „ 1962 — Orkan (Leicester)
- „ 1963 — Unitas (Manchester)
- „ 1964 — Unitas (Manchester)

Zwycięzcy — juniorzy
(nagroda przechodnia S. P. K.):

- „ 1962 — Pogoń (Birmingham)
- „ 1963 — Polonia (Bradford)
- „ 1964 — Polonia (Bradford)

Śp. gen. Anatol Kędzierski

W Poznaniu zmarł w ostatnich tygodniach zasłużeni powstańcy wielkopolscy — pułkownicy Jan Milewski i Franciszek Rataj. 11 lipca poszedł za nimi w krainę cieni generał Anatol Kędzierski, pierwszy dowódca artylerii wielkopolskiej.

Urodzony w 1880 roku w Żytomierzu zdecydował się na służbę zawodową w artylerii rosyjskiej, wierząc, że nabyta w niej wiedza kiedyś przyda się Polsce. Nadejście ta nie zawiodła. Natychmiast po wybuchu rewolucji bolszewickiej przedarł się do I. korpusu gen. Dowbór-Muśnickiego i przyczynił się w poważnym stopniu do zorganizowania jego artylerii. Po rozbrojeniu korpusu przez Niemców przedostał się do Warszawy w listopadzie 1918 i już pod koniec stycznia 1919 został mianowany dowódcą artylerii wielkopolskiej, tworzącej się pośpiesznie wśród walk z Niemcami. Po podporządkowaniu armii wielkopolskiej Naczelnemu Dowództwu polskiemu objął dowództwo artylerii 2. wielkopolskiej dywizji strzelców, później 15. dywizji piechoty, i wyruszył z nią najpierw na front wołyński, a później białoruski. Podczas wyprawy kijowskiej uczestniczył w zdobywaniu swego rodzinnego miasta. Nie dopisało mu za to szczęście na froncie białoruskim: uwiłając się podczas odwrotu nad Berezyną stał wśród straży tylnych, dostał się — razem ze swoim szefem sztabu, kapitanem Michałem Zenkterem, do niewoli bolszewickiej i przesiedział kilka tygodni w więzieniu w Mińsku Litewskim, okrutnie przez indagujących go komisarzy maltretowany. Szczęście uśmiechnęło się jednak ponow-

nie, gdy z transportu wiozącego go w głąb Rosji zdołał wyskoczyć i, po długiej odysei w chłopskim przebraniu, przedostać się znów na stronę polską jeszcze przed zawieszeniem broni.

Po wojnie był początkowo szefem artylerii i uzbrojenia D.O.K. VII w Poznaniu, a pod koniec 1924 roku objął dowództwo słynnej 14. wielkopolskiej dywizji piechoty. Dowodził nią aż do przejścia w stan spoczynku w 1932 czy 1933 roku, ciesząc się z powodu rzetelnej pracy i wiedzy nie mniejszym mirem niż poprzednio na froncie.

Gorycz niepowołania do służby czynnej podczas kampanii wrześniowej złagodziła Zmarłemu jedynie świadomość, że jego dawna dywizja i artyleria dała się Niemcom dotkliwie we znaki nad Bzurą i walczyła do upadłego. Ponury okres okupacji spędził w Makowie Podhalańskim, ukrywając się szczęśliwie przed Gestapo. Po wojnie wrócił do Poznania. Wszędzie podtrzymywał słabnących na duchu i żywo interesował się wydarzeniami na arenie międzynarodowej oraz przeobrażeniami na terenie Kraju. Gdy przed kilku laty odwiedził rodzinę w Londynie, wykazał wówczas nie tylko dawną świeżość umysłu, ale także dawny hart.

Odszedł jeden z czołowych twórców naszej artylerii, wierny żołnierz Rzeczypospolitej, gorący patriota i szlachetny, prawy, skromny i sprawiedliwy człowiek o nieugiętej odwadze przekonań i nieziszczalnej wierze w słuszość sprawy, której przez tyle lat służył.

Cześć Jego pamięci!

Kage

Przegląd polskiego życia kulturalnego robiony w środku lata musi mieć charakter „Zupy z gwoźdźmi“. Ważony w okresie kanikuły, jeśli będzie miał jeszcze trochę treści, to głównie dzięki temu, że tych „gwoździ“ było tyle, że obeszło się bez dolewania „wody“.

WYSTAWY OKOLICZNOŚCIOWE: Największym „gwoździem“ była wystawa historyczna w stulecie Powstania Styczniowego w Domu Techników. Trwała od 5 lipca do 8 sierpnia, znalazła poswzechnie uznanie zwiedzających i pozostawiła po sobie nie tylko obszerny katalog, ale i medal pamiątkowy na cześć Romualda Traugutta projektu art. rzeźbiarza i architekta S. S. Boguckiego, wybitny w mennicy w Birmingham w ilości 300 egzemplarzy brązowych i 50 srebrnych i w ciągu sierpnia rozpisaną będzie nań subskrypcja.

Wystawa stała pod dobrym znakiem, bo towarzyszyła poprawie w stanie zdrowia jej zasłużonego inicjatora ks. Józefa Jarzębowskiego, który pod opieką dra Jana Gołaszewskiego mógł opuścić na kilka godzin klinikę i obejrzeć swoje dzieło.

Wystawy nie zwykły chodzić luzem, więc zaraz po zamknięciu otwiera się druga, tym razem w Instytucie Historycznym im. gen. W. Sikorskiego. Jest nią polska wystawa filatelistyczna „Polphilex 64“, która od (6 do 10 sierpnia) zbiega się z obchodem 50-lecia „Wymarszu ku Wolności“ Kompanii Kadrowej. Komitet Wykonawczy wystawy z udziałem płka J. Z. E. Berka przygotował starannie wydany katalog, pamiątkową pocztówkę, bloczek i pieczęć wystawową. Po niedawnej wystawie filatelistycznej poświęconej 20-leciu Bitwy o Monte Cassino, „Polphilex“ stanowi nowy dowód rozkwitu zainteresowań filatelistycznych Polaków. Dodać warto, że zapowiedziano już na dni 13—15 listopada 1964 r. w sali Polskiej YMCA wielki pokaz pod hasłem „Kultura Polska w Filatelistyce“ na podstawie zbiorów Piotra Bola, obejmujących 630 arkuszy z opisami polsko-angielskimi i opartych o materiały międzynarodowe.

POLSKA PLASTYKA: Plastyka jest wciąż najżywotniejszym działem polskiej działalności artystycznej, za którą żadna kronika nie może nadążyć. Należałoby więc wspomnieć choć słowem o nowych sukcesach polskich fotografików na dorocznej wystawie *Central Association of Photographic Societies*, które skupia 370 klubów i stowarzyszeń w Anglii. Zdobyli oni zbiorowo znów pierwszą nagrodę, po raz drugi na przestrzeni 3 lat, oraz wiele odznaczeń indywidualnych. Prezes Stowarzyszenia Fotografików Polskich W.

POLSKIE ŻYCIE KULTURALNE

pod redakcją Jana Ostrowskiego

Marynowicz wszedł do Zarządu Royal Photographic Society.

W najrozmaitszych obcych galeriach londyńskich można było oglądać prace polskich artystów: rzeźbę abstrakcyjną Tadeusza Kopera w Book Gallery, pejzaże Romana Blacka w Royal Society of British Painters, a Ryszarda Stankiewicza (ur. 1922) i Ryszarda Anuszkiewicza (obaj Polacy amerykańscy), (ur. 1930) w Tate Gallery, na wystawie najlepszych osiągnięć ostatnich 10 lat, nadto rzeźbę Witolda G. Kawalca w Adam Gallery.

Na polskich wystawach: w Polskiej YMCA rodzaj „pożegnanej“ wystawy ok. 30 prac fotograficznych śp. Adama Arvaya, które mają powrócić do Polski; w Klubie Lotników zbiór olejów i rysunków zasłużonej malarki Jadwigi Walker, która podczas wojny wykonała z inicjatywy gen. M. Kukieła 80 portretów oficerów angielskich. Od 1961 roku artystka przebywa w Rzymie, gdzie wykonała m.i. portret prymasa Wyszyńskiego. Oleje jej stanowią kolekcję widoków i tematów włoskich, a wśród bardzo udatnych rysunków znajduje się wiele znajomych twarzy.

W Cassell Gallery trwa nadal wystawa letnia złożona z prac dziś już klasyków międzywojnia, jak Wyczółkowski, Kramsztyk, Tymon Niesiołowski i inni, a nadto takich artystów współczesnych jak M. Bohusz-Szyszko, Dominik R. Zajac, J. Nowosielski, A. Niemczyc, J. Siemieński, Z. Kłos, L. Jakubiak, L. Maciąg etc. **W Galerii Grabowskiego** po oryginalnej wystawie rzeźb półabstrakcyjnych Petera Hawkinsa i tzw. „opticals“ Jeffrey Steele'a, trwającej do 8 sierpnia, czynione są przygotowania do wystawy „Tkanin Dywanowych“, otwartej 11 sierpnia i która ma potrwać do 3 września. Obejmuje ona przede wszystkim prace Tadeusza Beutlicha, który zajmuje w tej dziedzinie jedno z najwyższych stanowisk artystycznych, obok zmarłego Jean Cocteau, a przy tym pokazane będą dzieła Harrisa i Langhama reprezentujących Anglię i Lauvin i De Melo z Portugalii. Kolejna wystawa otwarta będzie 7 września i poświęcona będzie malarzom z Leicester Group.

W końcu sierpnia należy spodziewać się rozstrzygnięcia III Konkursu dla Plastyków im. C. Norwida ogłoszonego przez *Koło Plastyków Polskich w Argentynie*, którego termin upłynął 1 lipca br., po czym otwarta zostanie wystawa nadesłanych i nagrodzonych prac.

Przy tym wszystkim nie należy zapominać o wycieczkach prowadzonych

przez prof. Mariana Bohusza-Szyszko, które pozwoliły zwiedzić wystawę rzeźby w Battersea Park, oraz nowe nabytki w zakresie malarstwa Rembrandta w National Gallery, względnie zwiedzić jeszcze galerię sztuki w Hampton Court.

TEATR REWIOWY: W atmosferze obchodu 25-lecia Teatru Polskiego na Obczyźnie scena zaczyna ostatnio mienić się nowymi kolorami. Odmładzająca rewia „*Niespodzianek z walizeczki*“ Ref-Rena wygrana została do ostatka. Wciąż towarzyszyło jej zainteresowanie publiczności, które objęło też dwa gościnne występy artystów polskich z różnych stron świata. Były to wieczory p.n. „Warszawa — Paryż — Nowy Jork“ o charakterze wybitnie rozrywkowym. Na nich można się było bawić konferansjerką Pawła Prokopieniego, który również zaśpiewał kilka pieśni ze swego repertuaru, niektóre — jak „Maki na Monte Cassino“ — z dużym wzruszeniem, ale stłumionym spiekotą głosem. Wielkim powodzeniem cieszył się talent imitacyjny Bolesława Gromnickiego (Warszawa), znanego nam z występów przed dwoma laty w „Ognisku“. Wreszcie podziwiać można było tam wszechstronność i dobry smak Ewy Barcińskiej (Paryż), artystki-malarki, której wystawę obrazów mamy niezadługo oglądać w Londynie. Tymczasem zdobywa ona sobie popularność wśród Polaków dobrą grą na fortepianie i harmonii, na której akompaniuje sobie do śpiewu. Repertuar jej obejmuje piosenki polskie i obce, które wykonuje nie pozbywając się słowiańskiego akcentu, lub gwizdże po mistrzowsku. Przy fortepianie był niezawodny Jerzy Kropiwnicki.

Dnia 8 sierpnia rozpoczęły się już przedstawienia nowej rewii Ref-Rena pt. „*Telefere Kuku*“ będącej satyrą na stosunki telekomunikacyjne. Nowymi nabytkami zespołu poza Ewą Krukowską są: młoda aktorka Danuta Michniewicz i znany i uznany przez Londyn i Paryż Kazimierz Pawłowski. Organizacją zajmuje się Beno Koller. Nadto wiadomo, że Zygmunt Zimand przygotowuje przedstawienie rewii oparte o teksty Wiktora Budzyńskiego. Doczekamy się więc może wskrzeszenia tradycji „Niebieskiego Balonika“, prowadzonego ongiś przez Budzyńskiego wraz z Janem Markowskim. Wystawienie natomiast sztuki pt. „*Najdroższy kłamca*“ o G. B. Shaw w przekładzie J. Sakowskiego odkłada się na późniejszy termin. A to zwłaszcza z powodu nieobecności w Londynie odtwór-

czyni jednej z głównych ról Ireny Kory-Brzezińskiej.

Z życiem teatru łączy się pośrednio — niejako podziemnym nurtem — organizowany na dzień 8 maja 1965 r. *obchód 25-lecia powstania Samodzielnej Brygady Strzelców Karpackich*. Byłaby to bowiem doskonała okazja do wznowienia — dziś już historycznego — repertuaru Karpackiej Czołówki Teatralnej: przemiłej komedii żołnierskiej pióra Wojciecha Wojcieckiego „Ich ośmiu i ona jedna” lub zagrania po raz pierwszy komedii w 4 aktach Stanisława Pleszczyńskiego i Tadeusza K. Sowickiego „Garden Party”, wydanej w 1944 roku drukiem. Egzemplarz „Ich ośmiu...” zachował się w zbiorach ppłka dra Mieczysława Młotka. Stosowne uzupełnienie jubileuszu ZASP.

Utalentowany aktor i reżyser polski Władysław Scheybal wystawił w Teatrze na Otwartym Powietrzu w Regent Park sztukę Szekspira „*Poskromienie złościny*”. Przedstawienie to znalazło częściowo i życzliwe i krytyczne przyjęcie ze strony angielskiej krytyki teatralnej. W każdym razie inscenizację tę wypada zaliczyć jako polski wkład do Szekspirowskiego Roku Jubileuszowego.

TEATR DLA DZIECI I MŁODZIEŻY: W toku są przygotowania do wystawienia przez Teatr dla Dzieci i Młodzieży „Syrena” nowej sztuki. Ma nią być bajka sceniczna pt. „*Zamienione pantofelki*” pióra Ireny Prusickiej, znanej przed wojną tancerki i kierowniczkii szkoły tańca wyzwolonego. Dekoracje przygotowują pp. Matyjaszkiewiczowie, tańce — Janina Jakubówna. Całość jest pod kierownictwem artystycznym Reginy Kowalewskiej. Premiera wyznaczona już jest na 10 października w sali Teatru im. R. Steinera w Londynie.

Dla zdobycia odpowiednich środków i stworzenia atmosfery około teatru „Syreny”, jej Komitet urządził zabawę dziecięcą w Chenil Galleries. Udział w niej wziął „Lajkonik”, zespół taneczny im. O. Kolberga i „Teatr Malowany”. Zabawa udała się pomimo panującego upału. Dała też jeszcze jedną sposobność do zwrócenia uwagi na jedyny dziś w Londynie, a może i w Anglii stały polski teatr kukielkowy.

Obejrzenie pełnego programu „*Teatru Malowanego*” w sali Polskiej YMCA, na który złożyły się „Beattles” i inscenizacja „Koguta” Hanny Januszewskiej pozwala sobie zdać sprawę z charakteru i potrzeb tego teatru. Taki teatr jest wprost niezbędny i wszelkimi sposobami należy mu pomóc w pracy. Jest on w rękach dwóch artystek, posiadających nie tylko odpo-

wiednie kwalifikacje, ale i zapał oraz zdecydowanie do przezwyciężenia trudności, które się piętrzą na drodze ich pracy. Talent plastyczny Danuty Giercuskiewicz zapewnia należyty poziom artystyczny zaprojektowanych kukielek. Zdolności charakterystyczne Barbary Łubieńskiej — należyte wykonanie aktorskie partii głosowych. W konstrukcji zamku pomagał p. Zbigniew Wilma. Ale teatr ten wymaga dalej idącej pomocy technicznej, gdyż nie ma środków na zbudowanie odpowiednich urządzeń. Tu pole do popisu dla inżynierów i majstrów.

„Kogut” Januszewskiej jest właściwie tylko inscenizowanym wierszem. Jako repertuar — to nie wystarcza. Trzeba rzeczy o powiązanej akcji. Tu z pomocą ochoczą przyjdą niewątpliwie autorzy tacy, jak Mieczysław Lisiewicz. Potrzebni są też entuzjaści teatru do pomocy, jako wykonawcy, poruszający kukielki. Dwie pary rąk nie wystarczą dla wypełnienia akcji sceny. Stąd apel: przyjaciele teatru kukielkowego — łącznie się. A pisk zachwytu najmłodszej dzieciarni na widowni będzie zadatkiem zapłaty i zadowolenia za fajerwerki wyobraźni wykrzesane z pudła scenicznego.

MUZYKA POLSKA: Polski ruch muzyczny zwykł się rozwijać na dwóch płaszczyznach: jak w wypadku koncertu Artura Rubinsteina w Royal Festival Hall, lub występów wirtuozów miejscowych jak Wacław Niemczyk, Halina Karp lub Henryk Mierowski w Wigmore Hall; bądź na płaszczyźnie czysto polskiej, jak w wypadku o dawno już nie urządzanych wieczorów muzycznych w „Ognisku Polskim” lub „St. Pancras Town Hall”. Chociaż ruch koncertowy ostatnio przygał, nie znaczy to, że poszczególnym wokalistom czy muzykom-instrumentalistom nie zdarzały się sukcesy na swoich lub obcych estradach, czy rozgłośniach.

Ostatnio z Paryża nadeszła wiadomość o występach w radio francuskim Krystyny Paczewskiej, zwłaszcza z repertuarem piosenek Alain Romainsa, razem z Częstochowy, kompozytora m.i. kilku Kujawiaków, nagranych na płyty. Podobnie jak pp. Witold Alexandrowiczowie, przykład mecenatu prywatnego dała ostatnio artystka dramatyczna Margot Hamilton, miłośniczka muzyki Szopena, która w swym salonie urządziła koncert młodych szopenistów, jak laureat międzynarodowego konkursu dla młodzieży Frank Wibaut i 11-letnia Krystyna Straszewska, uczennica Stefani Niekraszowej, która ułożyła program wieczoru. Program wieczoru dopełniły pieśni szopenowskie w wykonaniu basa operowego dra S. Pieczory, przy akompaniamencie Marii

Druć. Podobne wieczory muzyczne p. Niekraszowa organizowała w Szkocji, w salach, w których grał Chopin w r. 1848.

W sali Wigmore Hall w Londynie koncertowała młoda śpiewaczka polska p. Ewa Gałek, z pochodzenia góralka z Zakopanego, która m.i. wykonała pieśni Karłowicza i Tryptyk Góralski Dobrzańskiego. Pieśni kompozytorów obcych p. Gałek śpiewała w językach oryginału.

Sensacyjną jest wiadomość, że osiadły w Londynie a bawiący obecnie we Włoszech świetny baryton polski — Alfred Orda zaangażowany został do wykonania głównej roli w operze Karola Szymanowskiego „Król Roger” na otwarciu Opery Warszawskiej w Teatrze Wielkim. Nieobecność artysty w Londynie nie pozwoliła sprawdzić tej informacji.

W Klubie Lotników kontynuowane były wieczory tzw. „Klubu Przebojów RWE” pod kierownictwem Wiktora Budzyńskiego. Na jednym z wieczorów wystąpiła Renata Bogdańska, Irena Delmar i Zbigniew Pomorski, na drugim Stanisława Horwat, Zefa Nowacka i Stefan Błaszczyk. W obu wieczorach brała udział orkiestra S. Norberta.

NAUKA I JEJ ORGANIZACJA: Ze złożonego przez prezesa PUCAL’u prof. inż. R. L. Wajdy sprawozdania z działalności za ubiegłą kadencję przekonać się można, jaką opoką dla nauki polskiej na obczyźnie jest ta organizacja. Ogółem na naczelne instytucje naukowe jak PTNO i PUÑO oraz pomoc naukowcom i młodzieży studiującej wydano ok. £.1650. Do tego dochodzi utrzymanie domu, w którym mieści się Biblioteka Polska w Londynie, wspomniane instytucje naukowe i zrzeszenia profesorów, nauczycielstwa i stowarzyszeń technicznych. Razem wydatki w tym zakresie sięgają £.5.000. W ramach prac nad utworzeniem Polskiego Ośrodka Społeczno-Kulturalnego dokonano w ostatnich dniach lipca br. podpisania aktu przystąpienia do Ośrodka przez organizacje założycielskie. W związku z powstaniem Instytutu Polskiego przez połączenie się Instytutu im. gen. W. Sikorskiego i Polish Research Centre (Polski Ośrodek Naukowy z jego Biblioteką) powstało zagadnienie połączenia i wspólnego pomieszczenia połączonych bibliotek: Polskiego Ośrodka Naukowego i Biblioteki Polskiej, oraz zagadnienie przystąpienia Instytutu Polskiego do Polskiego Ośrodka.

Do Rady PUCAL’u w wyborach uzupełniających weszli pp. inż. S. Śliwiń-

(Dokończenie na str. 37)

GOSPODARCZA SECESJA RUMUNII Z KOMEKONU

Do kłopotów sowieckich doszedł jeszcze jeden, rumuński. Urasta powoli do rozmiarów secesji. W przeciwieństwie do sporu sowiecko-chińskiego, który powstał na tle odmiennej interpretacji ideologii marksistowsko-leninowskiej, nieporozumienie między Sowietami a Rumunią wyrosło na tle czysto gospodarczym, jako reakcja Rumunii przeciw polityce RWPG, kierowanej przez Sowietów, a zmierzającej do narzucenia Rumunii charakteru kraju gospodarczo nierozwiniętego.

„RWPG — KOMEKON“

Rada Wspólnej Pomocy Gospodarczej, zwana popularnie Komekonem, powstała w styczniu 1949 r. Członkami-założycielami byli: Związek Sowiecki, Polska, Bułgaria, Węgry, Czechosłowacja i Rumunia. W lutym 1949 przystąpiła Albania, we wrześniu 1950 r. Niemiecka Republika Demokratyczna, w czerwcu 1962, Mongolia, Chiny, Północna Korea i Północny Wietnam wysyłał obserwatorów. Od końca 1961 r. Albania przestała uczestniczyć w posiedzeniach Rady.

RWPG powstała jako przeciwwaga dla Planu Marshalla, który nie ograniczał pomocy gospodarczej do krajów Europy zachodniej. Polska zamierzała skorzystać z tej pomocy. Należy przypomnieć entuzjastyczny akces do planu, ówczesnego ambasadora PRL w Waszyngtonie, Winiewicza. Jednak już w dniu następnym zgłosił się on ponownie w Departamencie Stanu, by oświadczyć, że jego rząd nie zamierza skorzystać z pomocy gospodarczej, finansowanej przez Stany Zjednoczone.

Organami Rady są: sesja plenarna, komitet wykonawczy, stałe komisje i sekretariat. Delegatem Polski do Rady i członkiem komitetu wykonawczego jest wicepremier Jaroszewicz.

POCZĄTEK NIEPOROZUMIENIA

W okresie pierwszych 10 lat, zwyczajem sowieckim, ani razu nie ogłoszono przebiegu obrad jego organów. Nie ogłoszono również zasad, na których miała się oprzeć jego działalność. Dopiero w grudniu 1959 r. uchwalono statut, ogłoszony oficjalnie w Moskwie w kwietniu 1960 r. Jednocześnie weszła w życie konwencja o charakterze i imunitetach Komekonu. Statut przewiduje w art. 2 i 4 „zalecenia“, z których wynika, że członkowie będą nimi związani, jeśli uznają, że są one w zgodzie z prawami obowiązującymi w ich krajach. Zalecenia Rady nie miały zatem naruszać ich suwerenności państwowej.

Rumunia konwencję przyjęła. Jednak już na III zjeździe jej Partii, w czerwcu 1960 r., uchwalono długoterminowy plan gospodarczy (do 1975 r.), który zawierał obszerny program uprzemysłowienia kraju. Plan spotkał się ze strony Sowietów z krytyką; określono go jako zbyt szybki i nierealny w ówczesnej sytuacji gospodarczej Rumunii.

Uchwalenie przez Rumunię długofalowego planu gospodarczego było dowodem przezorności jej ekonomistów, którzy dostrzegali, że za hasłami o respektowaniu suwerenności, kryje się, opracowany przez Sowietów plan integracji i specjalizacji gospodarki poszczególnych członków, przewidujący ponadnarodowe planowanie i tzw. międzynarodowy, socjalistyczny podział pracy. W praktyce oznaczało to wyznaczenie każdemu krajowi jego roli jako producenta dokładnie określonych produktów. Według tych zamierzeń, Sowiety, Czechosłowacja i wschodnie Niemcy miały być producentami maszyn i innych wyrobów przemysłowych, Rumunia zaś miała być ich dostawcą ropy, benzyny i olejów, drzewa, żywności i kilku tylko drobnych produktów przemysłowych. Stąd uchwała III rumuńskiego zjazdu była odmową zgody na zamierzenia Sowietów, które nie przestały podkreślać, że wykonanie konwencji stanowi podstawę „wzajemnej, braterskiej pomocy“ wszystkich członków, wchodzących w skład Komekonu.

DAJSZE NACISKI I SPRZECIWIY

W dniach 6-7 czerwca 1962 r. odbyła się w Moskwie 16-ta sesja Komekonu, w której wzięli udział szefowie rządów i pierwsi sekretarze państw wchodzących w skład Rady, na której zatwierdzono „zasady międzynarodowego, socjalistycznego podziału pracy“. Rumuni zasady przyjęli, lecz już na 17-tej sesji w Bukareszcie (14-20 grudnia 1962 r.) podkreślili wyraźnie, że będą one obowiązywać Rumunię, jeśli będą w zgodzie z zasadami ogłoszonymi w Moskwie w 1960 r., tj. nie naruszają jej suwerenności.

W marcu 1963 r. odbyło się posiedzenie rozszerzonego plenum centralnego komitetu partii rumuńskiej, na którym raz jeszcze powtórzono zastrzeżenia przeciw zalecanemu przez Sowietów „podziałowi pracy“. Wreszcie, w kwietniu br., na posiedzeniu specjalnej sesji centralnego komitetu, partia rumuńska zastrzegła się w sposób niezwykle ostry przeciw tworzeniu jakiegokolwiek organu kontroli i mieszaniu się kogokolwiek do jej planu uprzemysłowienia kraju.

RUCH KU NIEPODLEGŁOŚCI — PRZEBUDZENIE NACJONALIZMU RUMUŃSKIEGO

Zastrzegając się w tak stanowczy sposób przeciw mieszaniu się Sowietów w sprawy gospodarcze Rumunii, partia zdołała obudzić w Rumunach silne poczucie godności narodowej, zdławione w okresie stalinowskim. Wywołało to nasilenie atmosfery antysowieckiej. Prasa partyjna zaczęła się rozprawiać z zarzutami Sowietów w sposób śmiały i zdecydowany. M.i. na zarzut, że akcja destalinizacji nie przebiega w Rumunii w należytem tempie, Georgiu Dej odpowiedział, że w jego kraju ta akcja rozpoczęła się nie dopiero po 22-gim zjeździe partii sowieckiej, lecz już w 1952, kiedy usunięto ze stanowisk rządzących znanych stalinowców. Według Deja, właśnie ci ludzie mieli na sumieniu zbrodnie popełnione w okresie Stalina.

Odpierając zarzuty Moskwy, Dej zdołał skierować dyskusje wśród społeczeństwa rumuńskiego na nowy stosunek do Sowietów, nie zdołał jednak wyjaśnić, dlaczego ofiary tych zbrodni oraz „zbrodni“ z okresu postalinowskiego wciąż jeszcze zapelniały więzienia rumuńskie. A gdy z wiosną br., na mocy wydanej amnestii opuściło więzienia tysiące tych rzekomych zbrodniarzy, Dej tłumaczył ten krok siłą partii, która nie potrzebuje się już obawiać wystąpienia elementów antypaństwowych.

Jednak opozycja przeciw Moskwie spotkała się wśród szerokich mas rumuńskich z uznaniem. Nie zapomnieli oni bowiem zagrabienia im po wojnie Besarabii, północnej Bukowiny, zachowania się Armii Czerwonej w ich kraju, eksploatacji gospodarczej, a obecnie zamierzeń Komekonu, zepchnięcia ich kraju do roli żywiciela Sowietów, Czechosłowacji i Niemców wschodnich.

PRÓBY USAMODZIELNIENIA POLITYCZNEGO

Równolegle z opozycją przeciw Komekonowi, partia i rząd rozpoczęły demonstrować swą niezależność także na innych polach. Wbrew nakazowi zerwania z Albanią, Rumunia utrzymała w tym kraju pełne przedstawicielstwo dyplomatyczne, a w 1963 r. i w roku bieżącym zawarła z Albanią umowy handlowe zwiększające obroty towarowe.

W sporze sowiecko-chińskim, Rumunia zachowała dotychczas stanowisko neutralne i starannie unikała zaangażowania się po jednej ze stron, co wynikało wyraźnie z przemówienia Bodnaresa wygłoszonego na czwartym zjeździe polskiej kompartii w czerwcu br. w Warszawie.

PODRÓŻE RUMUNÓW OD PEKINU PO PARYŻ

W marcu br. wyjechał do Pekinu premier rumuński Maurer. W drodze powrotnej odwiedził Mongolię, poczem pojechał nad Morze Czarne, by odpocząwajacemu tam Chruszczowowi opowiedzieć o wynikach swojej wizyty w Chinach, która, jak podano w oficjalnych komunikatach miała na celu „sprawę jedności obozu obozu socjalistycznego oraz interesujące oba narody ruch komunistyczny i robotniczy”. Delegacje rządu rumuńskiego rozpoczęły rozmowy handlowe z Ameryką, Włochami a ostatnio z Francją, od której spodziewają się nabyć reaktor atomowy. Każdego musi uderzyć fakt, że żadnej z tych delegacji nie prowadził osobiście Georghiu Dej. Nie pojechał on nawet do Moskwy w kwietniu br., by złożyć życzenia Chruszczowowi z okazji jego 70-siątych urodzin.

Innym faktem godnym zanotowania było głosowanie rumuńskiego delegata na posiedzeniu ONZ z końcem ub. roku, który po raz pierwszy nie głosował razem z delegatami Sowietów i innych satelitów. Wprawdzie uchwały nie dotyczyły spraw o większym międzynarodowym znaczeniu, jednak wyłamanie się Rumunii od przyjętego dotychczas głosowania blokowego, było dostateczną demonstracją wzrastającej tendencji niezależności tego kraju.

GŁOSY EKONOMISTÓW RUMUŃSKICH

W czerwcu br. pojawiły się w wydawanym od niedawna, nowym ekonomicznym tygodniku rumuńskim „Viata Economica” głosy znanych ekonomistów rumuńskich, polemizujących w sposób zdecydowany z tymi, którzy chcieliby doradzać ich krajowi przyjęcie zasad integracji gospodarczej, ponadnarodowego planowania i socjalistycznego podziału pracy. W sposób szczególnie ostry wystąpił tu ekonomista Murgescu, przeciw swemu koledze wschodnio-niemieckiemu Kunzowi, który wbrew temu, o czym pisał w 1960 r. radził Rumunom zaprzestanie ich odrębnego planowania gospodarczego, wskazując na rzekome korzyści, jakie Rumunia mogłaby odnieść z planowanej integracji i podziału pracy.

Inny, ostry atak wymierzony został przeciw sowieckiemu ekonomiście-geografowi Walewowi który w ubiegłym roku, w swoich wykładach na uniwersytecie moskiewskim wystąpił z sugestią stworzenia odrębnego rejonu gospodarczego Dolnego Dunaju, złożonego z części Sowietów, Rumunii i Bułgarii. Ekonomiści rumuńscy wskazali przy tym wyraźnie na autora tego pomysłu,

tj. na rząd sowiecki, bez którego, jak twierdzą, ani Walew nie mógłby ogłosić tego pomysłu, ani nie mógłby go ogłosić drukiem w wydawnictwie uniwersyteckim.

Zaambarasowany krytyką rumuńską, rząd sowiecki ogłosił w „Izwestii” z 3 lipca br., a „Tass” oświadczenie nadał w audycji rumuńskiej, że koncepcja Walewa jest niezgodna z polityką sowiecką, której celem jest wzmocnienie stosunków między bratnimi państwami na zasadach pełnej równości i poszanowania ich niepodległości.

STANOWISKO RUMUNII W OŚWIETLENIU KOMUNISTÓW POLSKICH

W „Polityce” z 27 czerwca br. Dariusz Fikus, redaktor i sekretarz tego pisma, zwykle dobrze zorientowany w oficjalnej linii polityczno-ekonomicznej, ujawnił szereg szczegółów z konferencji ekonomistów, którzy obradowali w czerwcu br. w Pradze czeskiej nad socjalistycznym podziałem pracy. Przebieg obrad, o którym świat bez Fikusa nie dowiedział by się, potwierdził raz jeszcze nieugięte stanowisko rumuńskie. Według Fikusa, delegat sowiecki Sorokin przynaglał wprowadzenie wspólnego planowania gospodarczego, a jego wniosek spotkał się z miejsca z poparciem delegata wschodnich Niemiec, Bergera. Delegat Polski prof. Pajestka radził natomiast, aby przyszłym naradom nadano raczej charakter narad tzw. „planowanej współpracy”, a dopiero po tym okresie rozpoczęto naradzać się nad

szczegółami planów koordynacji gospodarczej. Wniosek prof. Pajestki był zatem niedwuznacznym zamiarem wstrzymania zniecierpliwionych już delegatów sowieckich od kroków, które mogłyby odbić się niekorzystnie na polityce Komekonu.

W swoim przemówieniu, delegat Rumunii Rachmut podkreślił raz jeszcze bezkompromisowe stanowisko swego kraju, twierdząc, że „tempo rozwoju przemysłu rumuńskiego musi być szybsze od tempa innych krajów bardziej uprzemysłowionych. Z tego założenia wychodząc, Rumunia postanowiła wykozystać maksymalnie swoje zasoby i bogactwa naturalne. Składają się na te bogactwa: nafta, gaz ziemny, złoto, cynk i drzewo. Stąd Rumunia nie godzi się na przyjęcie kryteriów o efektywności w dziedzinie specjalizacji i kooperacji”.

Rachmut dodał, że bogactwa naturalne Rumunii pozwalają jej nabyć w państwach zachodnich licencje dla produkcji najnowszych maszyn i urządzeń przemysłowych, którymi będzie mogła śmiało konkurować na rynkach światowych. Rumunia, zdaniem Rachmuta, jest ponadto w lepszym położeniu od innych bardziej uprzemysłowionych krajów socjalistycznych, ponieważ nie musi ponosić wydatków na zastąpienie przestarzałych maszyn nowymi.

Wywody Rachmuta potwierdziły transakcje na tegorocznych Targach poznańskich. Jak doniosła agencja „Agerpress” Rumuni sprzedali tam Polsce trzydzieści lokomotyw elektrycznych

KSIEGARNIA S.P.K.

(P. C. A. PUBLICATIONS LTD.)

20, QUEENS GATE TERRACE — LONDON, S. W. 7.

Tel.: KNightsbridge 3500

Stowarzyszenie Polskich Kombatantów otworzyło własną księgarnię, która jest czynna:

codziennie w godz. 10 — 7 ppł.

soboty w godz. 10 — 4 ppł.

Stale na składzie: prasa i książki emigracyjne i krajowe oraz wydawnictwa i podręczniki szkolne dla dzieci i młodzieży.

Biblioteki, szkoły i Koła S.P.K. otrzymują specjalny rabat.

Będąc w Londynie, odwiedzajcie naszą księgarnię, polecajcie ją znajomym i przyjaciółom.

Wszelkie zamówienia na prasę i książki można nadsyłać listownie — załatwiamy odwrotnie.

najnowsze typu Diesla, razem z dużą ilością części zamiennych, wykonanych na licencjach szwajcarskich

STANOWISKO POLSKI LUDOWEJ

Określił je na czwartym zjeździe partii sam Gomułka, gdy oświadczył, że „współpraca w ramach Komekonu pozwala skoordynować rozwój socjalistycznych gospodarek poszczególnych krajów i zabezpieczyć najkorzystniejsze dla każdego z nich kierunki specjalizacji oraz zakres i formy kooperacji“

Wszystko wskazuje na to, że sprawa zatargu między Rumunią a Komekonem zakończy się jakimś kompromisem, ale kompromisem na korzyść Rumunii. Jakiegokolwiek bowiem kroki represyjne przeciw niej, mogą łatwo spowodować dalsze niepokoje w łonie Komekonu i jego zupełną nieprzydatność w realizacji planów sowieckiego imperializmu gospodarczego.

W. Opolski

WILANÓW ODRESTAUROWANY

Po blisko 10 latach żmudnych prac konserwatorskich Wilanów, rezydencja Jana Sobieskiego, powróci do dawnej świetności. Oddano do użytku ostatnią część odrestaurowanego pałacu — północne skrzydło budynku. Wnętrza tego skrzydła są jedynym w kraju muzeum wewnątrz mieszkalnych XIX wieku. Wyposażenie sal uzupełniono eksponatami ze zbiorów Muzeum Narodowego.

HISTORIA MIAST POLSKICH

W końcu b. roku ma się ukazać książka p.t. „Miasta polskie w Tysiącleciu“. W tym dwutomowym, liczącym ponad 2 tysiące stron dziele podane będą najistotniejsze fakty dotyczące przeszłości i obecnej sytuacji około 1.500 miast polskich. Uświetnieniem ogromnej książki będą barwne rysunki blisko 1.000 herbów miejskich, wykonane przez artystę-grafika Leona Urbańskiego na podstawie starych herbarzy, nagrobków, pieczęci, polichromii kościelnych i drzeworytów. (FEC)

DLACZEGO NIE POLSKA ?

Dlaczego nie Polska, lecz właśnie Rumunia zdobyła się na opór przeciw gospodarczemu imperializmowi sowieckiemu? Jeśli były w tym kierunku próby, to należy je uznać za mniej niż słabe i podejmowane nie na najwyższym szczeblu. Gdy na najwyższym szczeblu Gomułka oświadczył się bezwarunkowo po stronie moskiewskiej. Uczynił to na zjeździe partii w czerwcu i na obchodach 22 lipca w Warszawie. Uczynił to z tak wielkim zapalem, że obraził przy tym ambasadorów amerykańskiego i brytyjskiego.

Dziwny był przy tym „komitet honorowy“ na świecie lipcowym: z „bratnich socjalistów“ poza „radzieckim“ Chruszczowem był Ulbricht i Nowotny. Czy zatem „blok w bloku“, złożony z tych najwierniejszych satelitów: Polski, Niemiec Wschodnich i Czechosłowacji?

Pamiętajmy że chodzi przede wszystkim, jeśli nie wyłącznie, o sprawy gospodarcze. Nie tylko w Rumunii zaczyna się działać lepiej od chwili jej secesji z Komekonu. Gospodarczo zaczyna być lepiej także na Węgrzech; tych wykrwawionych i zdruzgotanych w roku 1956, tych rządzonych przez Kadara. Poprawa następuje nawet w Bułgarii, dotychczas najbardziej ze wszystkich zacofanej i ortodoksyjnie komunistycznej. Następuje od cza-

su decyzji nawiązania kontaktów handlowych z Zachodem i dopuszczenia odrobiny inicjatywy prywatnej w handlu i w produkcji. Natomiast we „wzorowym“ kraju, w bogatej przemysłowo Czechosłowacji, gdzie ludność nie cierpiała nigdy na chorobę brakoróbstwa i złodziejstwa jako zasady życia, dzieje się coraz gorzej. Spada produkcja, inwestycje nie nadążają za niszczeniem maszyn, dystrybucja jest coraz bardziej drastyczna. Brak produktów żywnościowych staje się dotkliwy. A nie było tam przecież „afery mięsnej“ podobnej do tej jaką ogromna organizacja złodziejska wspierana przez dostojników partyjnych różnego stopnia uprawiała od lat w Polsce. Nawiasem mówiąc brak nowych szczegółów o aferze. Aresztowano kogo się dało, napisano kilka gromkich artykułów i na tym koniec.

Polskę nazywa się dziś „chorym człowiekiem bloku sowieckiego“. Myśli się o stronie gospodarczej. Choroba nie ogranicza się tylko do strony gospodarczej w ścisłym znaczeniu tego słowa lecz zatacza kręgi szersze. Wszystko sprzysięga się przeciwko poprawie warunków życia materialnego. Błędne założenia planowania; skutki doktryny, którą zresztą bardzo niewielu z czołówki komunistycznej stara się zrozumieć. Całkowity bałagan na szczeblach wykonawczych.

Ukryte bezrobocie. I wreszcie wady społeczne: „jakośobędzizm“ i „tu-miwizizm“ w warsztacie i w biurze. Tylko produkcja rolna utrzymuje się na jakim takim poziomie choć jest w warunkach nowoczesnych przestarzała. Lecz wady strukturalne wynagradza tu godność chłopca pracującego na własnym kawałku ziemi. A także pomoc ze strony państwa, które korektury cen wyznacza pod kątem interesów wsi. To jedyne bodaj pociągnięcie rządu i partii na przestrzeni ostatnich lat conajmniej czterech, które można nazwać mądrym.

Bo na pozostałych odcinkach nie dzieje się nic dobrego. Jest zato wierność wobec Chruszczowa. Pikantnie brzmi namiętny atak Gomułka na Stany Zjednoczone wobec przywrócenia 7 kwietnia klauzuli najwyższego uprzywilejowania w obrotach handlowych i kredytowych przez Johna Polce i Jugosławii. Uzasadnienie: „oba kraje starają się utrzymać i rozszerzyć zakres niezależności i to kosztem nawet dużego ryzyka“... Zakrawa na dowcip.

Tyle mówi krótki przegląd faktów. Lecz odpowiedź na pytanie „dlaczego Rumunia a nie Polska“ jest bardziej złożona. Nawet pogląd że Dej zna się na gospodarce a Gomułka pojęcia o tych sprawach nie ma nie wystarczy za odpowiedź. Są także inne przyczyny. Należy do nich dojść. Bo od nich zależy będzie położenie Polski przynajmniej w najbliższej przyszłości.

LIKWIDACJA WOLNYCH ZAWODÓW „SOCJALIZACJA“ LEKARZY

Już od 1961 roku krążyły w polskich kołach lekarskich pogłoski, że minister zdrowia zamierza wnieść do Sejmu projekt nowej ustawy, która miała zastąpić obowiązującą od roku 1950 ustawę „O zawodzie lekarza“. Pogłoski te zostały niedługo potwierdzone, gdy tekst projektu został rozesłany kołom lekarskim „dla przedyskutowania“. Projekt zawierał m.i. następujące zasady: zasadniczo i chwilowo, lekarz będzie mógł wykonywać praktykę prywatną, jeśli odpracuje określoną, obowiązkową ilość godzin w szpitalu lub w innych państwowych ośrodkach zdrowia. Minister zdrowia będzie uprawniony do wydania szczegółowych przepisów odnośnie praktyki prywatnej jak również ustali wysokość honorariów, jakie lekarz może pobrać od pacjentów prywatnych. Wreszcie minister może w ogóle zabronić wykonywanie prywatnej praktyki leka-

rzem zajmującym określone przez niego stanowiska.

Wydanie nowej ustawy uzasadniał minister koniecznością zmniejszenia ilości lekarzy w większych miastach i zmuszenia ich do przeniesienia się do okręgów rolniczych, cierpiących na brak lekarzy.

Plan ministra spotkał się z miejsca z opozycją całej prawie społeczności lekarskiej. W braku Izby Lekarskiej, którą zlikwidowano już w 1950 roku, głosy ich podchwyciła prasa. A wiadomo powszechnie, że stanowisko lekarzy jest z natury rzeczy silniejsze od adwokatów. Odmówiono racji argumentacji ministra, że nowa organizacja służby zdrowia zasilą ilość lekarzy na wsi, gdzie, jak wykazała praktyka, lekarz nie jest w stanie uzyskać mieszkania z pokojem przyjęć dla pacjentów. Zwrócono ponadto uwagę na sprawę zasadniczą, tj. niskie pobory lekarzy zatrudnionych w szpitalach, gdzie lekarz-asystent pobiera od 1.200 do 2.400 złotych miesięcznie. To właśnie zmusza lekarzy do dodatkowego zarabkowania w poradniach, przychodniach i innych społecznych ośrodkach zdrowia, zaś specjalistów, do przyjmowania prywatnych pacjentów w swym mieszkaniu lub w tzw. spółdzielniach lekarskich, zorganizowanych na zasadach specjalizacji.

NIPOWODZENIE I ARBITRALNOŚĆ MINISTRA

Akcja prasy nie pozostała bez skutku. Projekt nowej ustawy doszedł wprawdzie do sejmowej komisji, jednak nigdy nie zdołał dojść na plenum Sejmu.

Jednak minister nie dał za wygraną. Skorzystał on z postanowień ust. z 28 października 1948 roku, „O reorganizacji instytucji zdrowia i o planowanej gospodarce w służbie zdrowia“, która uprawniała go do ustalenia stanowisk w instytucjach zdrowia i ustalenia obowiązkowych dla lekarzy godzin pracy. W dniu 27 czerwca 1962 r. wydał on nowe zarządzenie o zatrudnieniu asystentów i starszych asystentów w instytucjach zdrowia podległych ministrowi zdrowia. Część nowych przepisów weszła w życie zaraz, inne z dniem 1 stycznia 1963 r. Od tego czasu szpitale do 50 łóżek zabiegowych mogą zatrudnić tylko jednego starszego asystenta, od 51 do 100 łóżek dwóch, zaś powyżej 100 łóżek trzech. Okres zatrudnienia asystentów ograniczony został do lat trzech, starszych asystentów do lat pięciu, zaś umowa z tymi kategoriami lekarzy może być rozwiązana już wcześniej, jeśli zdaniem właściwych czynników, zatrudnienie ich nie jest już wskazane.

Innym zarządzeniem ogłoszonym w Dzienniku zarządzeń ministerstwa zdro-

wia, minister zwiększył ilość godzin obowiązkowych lekarzy z pięciu do siedmiu, co według znawców, podniosło automatycznie ilość dyżurów lekarza od 9 do 10 miesięcznie.

W ten sposób, zwiększona ilość godzin obowiązkowych, łóżek zabiegowych i dyżurów miała przykuć lekarza na jednym tylko etacie do szpitala i zapobiec szukaniu dodatkowego zarobku po pracy w szpitalu. Nowa organizacja nazwana „etatyzacją“ opierała się na zasadzie „jeden lekarz, jeden etat“.

Sytuacja jaka się wytworzyła po wydaniu nowych zarządzeń ministra wynika najwyraźniej z artykułów prasowych. Tak np. „Kultura“ z 1 marca br. zwróciła uwagę, że po raz pierwszy po wojnie, ilość kandydatów na studia lekarskie była w ub. roku mniejsza od ilości wolnych miejsc. Młodych ludzi, pisze „Kultura“, którzy po długich studiach, stażu i praktyce szpitalnej spodziewali się lepszych dochodów, spotkał zawód. Zawód lekarza utracił swoją atrakcję, a młodzież, która zamierzała poświęcić się tej szlachetnej służbie, jest przygnębiona. Praktyka prywatna w większych miastach spadła do zera. Młodzież jest zniechęcona.

Inny artykuł w „Tygodniku Demokratycznym“ z 17 marca, nawiązuje do znanego braku lekarzy w szpitalach (brak wynosi 1.500 lekarzy), i do zwiększenia ich obowiązkowych godzin pracy. Zdaniem pisma, nowe zarządzenie obniży opiekę nad pacjentami w szpitalach, zwłaszcza na oddziałach: chirurgicznych, ginekologicznych i ortopedycznych. Autor ujawnił, że z 200 lekarzy, którzy opuścili szpitale, ani jeden nie przeniósł się do okręgów rolniczych. Znikli. Jakoś wszyscy się urządzili.

Wreszcie „Trybuna Ludu“ z 25 kwietnia br. stara się na swój sposób wytłumaczyć powody, dlaczego lekarze nie chcą przenieść się na prowincję i przytacza jako główny powód niemożność uzyskania tam mieszkania, za to gdy jest mieszkanie, rady narodowe nie mają w swoich budżetach funduszy na opłacenie lekarza.

PERSPEKTYWA

Niepokojącym dla kraju zjawiskiem jest zatem z jednej strony zmniejszona ilość kandydatów do studiów lekarskich. Z drugiej strony ilość lekarzy spada w drodze naturalnego ubytku oraz na skutek wyjazdu młodych lekarzy do różnych, nowopowstałych krajów, głównie do Afryki. Reżym ludowy te emigracje popiera z uwagi na przyrzeczenie udzielenia tym krajom pomocy w zorganizowaniu służby zdrowia. A tu należy przypomnieć, że z końcem ub. roku Polska miała tylko 32.331 lekarzy, czyli 10,6 lekarzy na 10.000 ludności. Z tej cyfry należy odliczyć wcale pokaza-

ność lekarzy, zatrudnionych w administracji służby zdrowia.

Jest jednak jedno pryncypalne zagadnienie, które nie wróży dobrej przyszłości. Jest to problem specjalistów. Jak wiadomo, po 6-ciu latach studiów, stażu szpitalnym, kilkunastu latach pracy w danej specjalności i złożeniu dodatkowych egzaminów z jednego lub dwóch stopni specjalności, lekarz osiąga stanowisko ordynatora. Osiąga je nie wcześniej jak po najmniej 12 latach pracy i dodatkowych studiach. Przyświeca mu przy tym lepsza przyszłość — możliwość kompensaty za długi okres, w czasie którego jego koledzy już się urządzili i zarabiali.

Jednak po wydaniu nowych rozporządzeń, ustalających zasadę „jeden lekarz, jeden etat“, kandydat na specjalistę nie widzi już tej przyszłości. Stąd nowa organizacja o etatytacji musi, z biegiem czasu, doprowadzić do zmniejszenia się w kraju liczby specjalistów. A tu właśnie leży ponura perspektywa dla zawodu lekarskiego w Polsce. (wo)

CIĄGLE TYCH TRZYDZIESTU CZTERECH

Sprawa wydaje się przebrzmiała. W oczach wielu była sprawą rozdmuchaną. Z 34 naukowców i intelektualistów, którzy podpisali protest przeciwko cenzurze i represjom wobec swobody twórczej w Polsce, dziesięciu odwołało go w listach do prasy zachodniej. Jednocześnie w setki idą nazwiska „protestujących przeciwko protestowi“. Ogłosiła te nazwiska paryska „Kultura“, ogłosiły stacje radiowe. Nie są to nazwiska zbyt wielkiego kalibru, gdy chodzi o talenty pisarskie lub o zasługi na polu kulturalnym. Choć są w tym względzie wyjątki, jak na przykład znany reżyser filmowy Toeplitz. Ten wypowiedział się jak najbardziej wiernopoddaniec w wywiadzie w czasie audycji telewizyjnej BBC z okazji obchodu 20-lecia „Polski Ludowej“. Nie mógł inaczej? Owszem mógł. Mógł nic nie powiedzieć. Tak przecież postąpiła duża grupa intelektualistów, których podpisów nie znajdujemy ani na protestie ani na kontrproteście.

Naciski... Rzecz jasna były. Gdy 34 wręczyło swój protest Cyrankiewiczowi, Gomułka był w Zakopanem. Podobno „wściękił się“. Wybierał się z wizytą do seniora literatów polskich Marii Dąbrowskiej. Nie wiadomo czy rozmowa się odbyła a jeśli się odbyła jaki miała przebieg. Lecz Dąbrowską stać na to by nie dać się nabrać na twierdzenie, że protest służy „impe-

rializmowi“ i „obcym radiostacjom“ lub prasie zachodniej. Stać ją też na to by wytłumaczyć wyraźnie samemu Gomułce ile jest głębokiej treści w tych kilku krótkich i spokojnych zdaniach, które podpisała wraz z 33 innymi.

Urzędowo „profesorów“ załatwiał Jabłoński a „literatów“ Putrament. Jabłoński wzywał każdego osobno i szantażował. Zrobił swoje. Odwołali. Putrament zwołał „swoich“ na odprawę i niczego nie dokonał. Kwestia metody...

„Sprawę 34-rech“ omówiono nadzwyczaj dokładnie zarówno w prasie zachodniej jak i w szeregu wydawnictw polskich na emigracji. Najstaranniej i z największym sercem zabrała się do tego „Kultura“. Oczywiście „paryska“, nie „warszawska“. Przed kilku dniami nakładem Związku Dziennikarzy Polskich w Londynie wydano sporą broszurę (112 stron

druku), która jest rekapitulacją głosów i opinii jakie sprawa protestu wywołała. Warto ją przeczytać.

Co dał protest 34-rech? W wymiarze praktycznym, na bliską przyszłość, nie dał wiele. Nie obalił cenzury a jej wymijanie uczynił trudniejszym. Nie poprawił oczywiście tragicznie zaniedbanej produkcji papierniczej w Polsce. Lecz zaciekał opinię na Zachodzie ze skutkiem jak najbardziej praktycznym: przestano deklamować bezmyślnie o „wolności słowa pisanego“ w Polsce. Przestano deklamować o „skutkach października“, o którym już od dawna cicho w Polsce. Dobrze by było by i na emigracji przestano szafować słowami „po październiku“ i by zajęto się poważnie sprawami polskimi, zamiast zadawała się wranieniami urlopowymi, lub ograniczać się do, prawdziwych niestety, wiadomości, że „w Misanie Dolnej znowu wychodek nie działa“.

PRZEGLĄD WYDARZEŃ WOJSKOWYCH

W związku z przeistoczeniem naszego pisma na miesięcznik ulegają zmianie także „Kroniki Wojskowe“ zarówno pod względem nazwy jak i zakresu. „Kroniki“ poświęcone były kolejno jednemu lub kilku państwom. „Przeglądy“ obejmować będą całość ważniejszych wydarzeń wojskowych i nowości technicznych na całym globie. Oczywiście w skrócie i w formie syntetycznej.

Redakcja

Choć w Genewie wloką się od czerwca rokowania rozbrojeniowe, zresztą bez udziału Francji i Chin i choć wszystkie większe państwa odzegnują się od zamierzeń wojowniczych, opętańczy wysięg zbrojeniowy bynajmniej nie osłabł. Przeciwnie, zwłaszcza wśród państw neutralnych lub niedawno powstałych, doznał nasilenia. Wielkie mocarstwa nie zwiększyły w b. r. wydatków na swoje siły zbrojne (przynajmniej oficjalnie) ale zwiększyły pogotowie przez usprawnienie ich organizacji i „logistyki“ oraz wprowadzanie coraz to lepszych lub potężniejszych środków walki. Gdy idzie o ogniska walk nie powstały nowe, jednak nigdzie nie nastąpiło odprężenie. Dozbrajanie państw azjatyckich i afrykańskich przez oba bloki, przy czym tu i tam Chiny rywalizują z Sowietami, a Francja z Ameryką, grozi nie tylko wznowieniem konfliktów od dawna zagwiazdanych, ale także ich rozszerzeniem i powstaniem nowych.

Na Dalekim Wschodzie nie było wprawdzie w lipcu poważniejszych starć

ani w Laosie, ani w Korei, ani na Borneo, ani w rejonie przybrzeżnych wysp chińskich, ale za to wzmogła się aktywność komunistycznych partyzantów w Południowym Wietnamie i wzrosło niebezpieczeństwo dojścia do otwartego konfliktu z Północnym Wietnamem i nawet Chinami. Nie wiadomo czy nowy ambasador amerykański w Saigonie, gen. Taylor, zdoła zapobiec rozszerzeniu konfliktu. Nie wiadomo czy dosłanie z Ameryki — 100 starych bombowców „Skyraider“ i ponad 5.000 dodatkowych „instruktorów“ doprowadzi do okiełzania guerilli komunistycznej, zasilanej stale z zewnątrz. W Laosie sytuacja jest także naprężona, wobec czego Amerykanie gromadzą zapasy broni i sprzętu w Syjamie. Dozbrajanie Kambodży przez Francję i jej zabiegi o zneutralizowanie Wietnamu i Formozy wywołały antyfrancuskie demonstracje, zwłaszcza w Sajgonie. Nad Chinami zostały zestrzelone dwa rozpoznawcze samoloty „U-2“ Czang Kaj-szeka. Krwawe rozruchy między chińską a malajską ludnością w Singapurze są wodą na młyn Indonezji, której Mikołaj przyobiecał ostatnio w Dżakarcie nie tylko dalsze dostawy sprzętu wojskowego „lepszego niż brytyjski“, ale także poparcie w jej sporze z Malazją o północne Borneo. W związku z tym zarówno Australia jak Malazja wzmogły swój wysiłek zbrojeniowy a Wielka Brytania wysłała do Malajji kilka baterii rakiet przeciwlotniczych „Bloodhound“. Indie pracują dalej nad sformowaniem do-

datkowych 6 dywizji, powiększając siły zbrojne i milicję do 980.000 względnie 1.100.000. Mimo zagrożenia ze strony Chin nadal ignorują żądania Pakistanu co do podziału Kaszmiru.

Na Środkowym Wschodzie choć nie było poważniejszych starć w Jemenie i w adeńskich górach Radfan, lecz wzrosło zaangażowanie się Egiptu. Zapowiedzi wznowienia sowieckiej pomocy wojskowej dla Iraku i uznania republikańskiego rządu w Jemenie przez Jordanię zwiększyły znów zagrożenie izolowanego Izraela. Na Cyprze sytuacja zaogniła się ponownie bo mimo obecności wojsk ONZ udało się sprowadzić stronie greckiej nawet samoloty myśliwskie i artylerię. Parlament cypryjski domaga się wycofania oddziałów brytyjskich, które stanowią niemal połowę sił ONZ.

Spośród wydarzeń wojskowych na kontynencie afrykańskim wymienić trzeba przede wszystkim: 1) wycofanie ostatnich oddziałów ONZ z Kongo, których czteroletni pobyt kosztował 136 milionów funtów oraz 234 poległych, 2) opanowanie dwu wschodnich prowincji tego kraju przez bandy antyrządowe, 3) zademonstrowanie podczas ogromnej defilady w Kairze nie tylko nowego sprzętu sowieckiego, m.i. rakiet plot. S. A. 2, Migów - 22 oraz amfibijnych czołgów T-36, ale także egipskich rakiet dwustopniowych H.A. 300, 4) znaczne zwiększenie wydatków na siły zbrojne kilku państw, zwłaszcza Tanganiki, Nigerii, Ghany i Somalii i przede wszystkim Unii Południowo-Afrykańskiej, która prelininuje na obronę już 105 milionów funtów, gdy w 1960 roku wydała zaledwie 23 miliony, 5) zapowiedź bliskiej likwidacji brytyjskich baz wojskowych i lotniczych w Libii i zagrożenie tamtejszej bazy amerykańskiej Wheelus, 6) rzekomo już przesądzona zgoda Francji na opuszczenie poligonu atomoworakietowego na Saharze w ciągu dwu lat i wielkiej bazy morskiej Mers el Kebir w Algierii w ciągu trzech lat. Stany Zjednoczone A. P. Ujawniono, że w bieżącym roku mają być przeprowadzone dwa wielkie transporty powietrzne do Europy. Pierwszy z nich ma przerzucić do Francji 8.000 żołnierzy celem przeprowadzenia tam ćwiczeń „logistycznych“ (t.z. kwatermistrzowskich), drugi ma przewieźć pełną dywizję do Niemiec i z powrotem. 19 lipca wprowadzono w orbitę ziemi drugiego satelitę „Sentry“ celem kontrolowania, czy Sowiety nie dokonują wbrew zeszłorocznej umowie naziemnych doświadczeń atomowych. Na poligonie w Newadzie przeprowadzono w lipcu kilka podziemnych wybuchów atomowych, w tym jednej głowicy bomb brytyjskiej.

Wytwornia samolotów Douglas przedstawiła projekt olbrzymiej rakiety transportowej „Ithakus“, zdolnej rze-
komo do przerzucenia około 1200 uzbro-
jonych żołnierzy na odległość do 5.600
mil w ciągu pół godziny. Wytwornia
Lockheed przeprowadziła pierwsze pró-
bne loty nowego myśliwca intercepcyj-
nego A-II, którego szybkość ma się-
gać 3 Mach. Szefem sztabu wojska zo-
stał po generale Wheeler, który objął
funkcję przewodniczącego kolegium
szefów sztabów, bardzo młody gene-
rał Johnson.

Wielka Brytania kontynuowała swo-
je daremne zabiegi o większe zamówie-
nia brytyjskiego sprzętu dla Bundes-
wehr'y oraz o stworzenie zamiast mor-
skiego poolu atlantyckiego, lotniczego
poolu mieszanego, opartego na jeszcze
niewypробowanych -bombowcach bry-
tyjskich TSR-2 i amerykańskich TFX.
Po długich wahaniach minister obrony
postanowił zakupić amerykańskie my-
śliwce bombowe „Phantom“ dla mary-
narki wojennej i amerykańskie samo-
bieżne haubice 155 mm, które mogą
strzelać także pociskami atomowymi,
dla wojska. Funkcję szefa sztabu ge-
neralnego wojska, obejmuje gen. Cas-
sels w miejsce gen. Hull, który ma pod
koniec roku zastąpić admirała Mount-
batten na stanowisko szefa sztabu o-
brony, czyli pierwszego doradcy mini-
stra obrony.

Francja. W związku z rosnącymi wy-
datkami na bardzo kosztowną „force
de frappe“ wprowadzono w konwencjo-
nalnych siłach zbrojnych różne oszczę-
dności i redukcje. Tak n.p. wojsko ma
być zmniejszone do 350.000, ale ma być
lepiej uzbrojone. Otrzymuje m. i. nowy
półautomatyczny karabin 7,5 mm, a
więc nieco mniejszego kalibru, niż u-
zgodniono dla wojsk NATO. „Force de
frappe“ znajduje się dopiero w stanie
embrionalnym, bo raket operacyjnych
jeszcze nie ma, budowa okrętów pod-
wodnych, uzbrojonych w rakiety, dopie-
ro się rozpoczyna, a bombowców Mi-
rage IV. jest narazie tylko 7. (do koń-
ca b.r. ma ich być 24). Ale na Islan-
dii przygotowuje się wyrzutnię raket
„Dragon“, a na Azorach stację kon-
trolną dla raket, które mają być wy-
rzucone z departamentu Landes.

Niemcy Zachodnie zwiększyły pre-
liminarz „Bundeswehr“ do 20,3 miliard-
ów marek, co stanowi 32% całości bu-
dżetu.

Nadal nie ma widoków na przepro-
wadzenie ustawy o stanie wyjątkowym
przez parlament. Szef sztabu mary-
narki wojennej, admirał Zenker, uja-
wnił ostatnio plan jej rozbudowy do
roku 1970. Personel ma być zwiększo-
ny z obecnych 31.000 do 43.000, a ilość
okrętów do 280, wśród których ma
być 10 niszczycieli uzbrojonych w ra-

kiety, 12 eskortowców, 10 korwet ma-
jących rakiety plot, 30 okrętów pod-
wodnych o maksymalnej wyporności 450
ton, 50 ścigaczy, 55 trałowców i t. d.
Lotnictwo morskie ma się rozwinąć do
5 eskadr. Lotnictwo lądowe ma już
więcej samolotów niż dobrych pilotów.
Obecnie tworzy 2 pierwsze baony raki-
et plot. „Hawk“ spośród przewidzia-
nych 7 i zamówiło 110 samolotów tran-
sportowych „Transal“, produkowanych
wspólnie z Francją, gdy francuskie lot-
nictwo otrzyma ich tylko 50.

Spośród pozostałych państw należą-
cych do NATO — Kanada wzmacnia
broń pancerną swojej b. dużej bryga-

dy w Niemczech o 30%, Holandia
przesuwa drugą dywizję na teren Nie-
miec, Norwegia otrzyma niebawem
dwa spośród zamówionych w Niem-
czech 15 małych okrętów podwodnych,
Portugalia zamówiła we Francji 4 fre-
gaty i 2 okręty podwodne, Belgia od-
roczyła decyzję w sprawie zastąpienia
swych 580 czołgów „Patton“ czołgami
nowoczesnymi. Wreszcie Grecja i Tur-
cja zaabsorbowane są obecnie więcej
konfliktem cypryjskim niż sąsiedztwem
żelaznej kurtyny. Niemniej oba te po-
ważnione państwa zasilili załogę „a-
tlantyckiego“ niszczyciela rakietowego
„Biddle“. Kage.

STEFAN WÓYCICKI

NA ROK SZEKSPIROWSKI CZTERYSTA LAT WSPÓŁCZESNOŚCI

O życiu Szekspira wiadomo niewiele,
co zachęca tłumy specjalistów do docie-
kań, które niesłychanie ich pasjonują.
Ponieważ ani jeden szekspirowski rękopis
nie przetrwał do naszych czasów,
nawet autorstwo jego sztuk jest kwe-
stionowane przez zacierzwionych zwo-
lenników Bacona, Marlowe'a, czy też
wątpliwych kandydatów na geniuszy
— spośród współczesnej arystokracji
angielskiej. O tych dociekaniach powie-
dział ktoś kiedyś, że zapewne sztuk
Szekspira nie napisał Szekspir tylko
ktoś inny o tym samym nazwisku...

Na szczęście wojny literackie nie
przeszkadzają całemu światu zachwycać
się utworami „Iabędzia Avonu“, jak go
ochrzcił rywal po piórze Ben Jonson.
Wiemy, że Szekspir urodził się w Strat-
fordzie w r. 1564, że tam uczęszczał do
szkół, że w wieku lat osiemnastu ożenił
się z Anną Hathaway (choćby rejestry
ślubne wspominają raz o Annie Whate-
ley, a drugi raz o Annie Hathway), oraz
że w przeciągu następnych trzech lat
miał z nią troje dzieci; dwie córki i
syna. Następne siedem lat między 1585
a 1592 rokiem znowu dają pole do do-
myśłów szekspirologom. Prawdopodob-
nie młody Szekspir udał się do Londynu
i przyłączył się do trupy teatralnej Bur-
bage'a, najpierw jako aktor, a później
również jako pisarz, chociaż np. Duff
Cooper jest zdania, że zaciągał się do
armii, werbowanej przez hrabiego Lei-
cester do walki z Hiszpanami w Nider-
landach. Mogło by to tłumaczyć do-
skonale znajomość rzemiosła wojennego,
wykazaną w wielu sztukach.

W r. 1592 mamy pierwszą drukowaną
wzmiankę o Szekspirze—autorze. Kiep-
ski autor dramatyczny Greene zaatakował
gwałtownie w swoim pamflecie po-
zbawionych wykształcenia dramaturgów,
a między nimi i tego, który „w swej
zarozumiałości uważa się za jedyne-

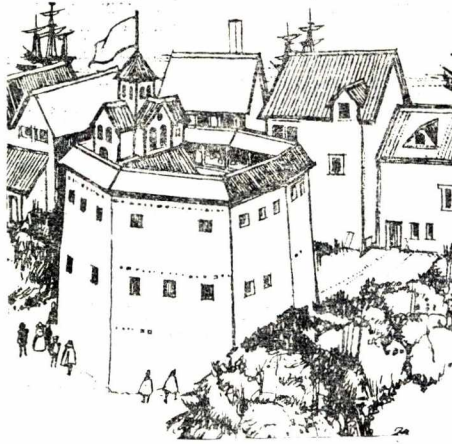
zdnego wstrząsnąć sceną w tym kra-
ju“. Gra słów „Shake-scene“ (z dużej
litery!) wskazuje jasno, kogo zazdrośny
Greene miał na myśli. Późniejsze koleje
losu Szekspira, jego udział w założeniu
teatru „Pod Kulą Ziemską“ (The Globe)
w roku 1599, w którym wystawiano
większość jego sztuk oraz poparcie, któ-
re udzielał zespołowi król Jakub I, są
już lepiej znane i udokumentowane, cho-
ciaż szekspirologzy i tutaj znajdują
mnóstwo okazji do snucia hipotez. Czy
Szekspir pojechał do Włoch z hrabią
Southampton, któremu zadedykował swój
poemat „Gwałt Lukrecji“? Które z po-
zostawionych tekstów są autentyczne, a
które wyszły czy to spod pióra innych
twórców, czy też zostały błędnie zano-
towane i wydrukowane przez nieauto-
ryzowanych wydawców? Czy Szekspir
nie napisał nic więcej po „Burzy“ (1612),
czy też utwory jego z ostatnich czte-
rech lat przepadły? Pole do popisu dla
erudycji i wyobraźni jest olbrzymie.

Ktokolwiek napisał sztuki Szekspira,
musi być uznany za najpopularniejszego
autora dramatycznego w historii świata.
Utwory dramatyczne, przypisywane „Ia-
będziowi Avonu“ (a jest ich 36!) —
należą do stałego repertuaru wysta-
wianych scen świata od dwustu lat. Czym
tłumaczyć to fenomenalne powodzenie
autora, piszącego na przełomie szesna-
stego i siedemnastego wieku? Warto
podkreślić, że zainteresowanie Szekspi-
rem wzrastało stopniowo — np. w w.
XVII i XVIII, mimo wielu wybitnych
aktorów, interpretujących szekspirow-
skie postacie, sztuki jego były przykra-
wywane i zmieniane dla zadowolenia
smaku publiczności, gdyż uchodziły za
zbyt brutalne i za mało wytworne.
Dryden uważał go za doskonałego dra-
maturga, ale był zdania, że „porówny-
wanie go z najwybitniejszymi byłoby
dla niego krzywdą“. Pope usprawiedli-

wiał Szekspira, że jego „braki“ pochodzą głównie z konieczności przystosowania się do złego smaku ówczesnej publiczności. Dopiero w w. XIX Szekspir został przyjęty w poczet „najwybitniejszych“ autorów, chociaż i wtedy teksty jego były surowo cenzurowane, aby wypadkiem nie obraziły ucha widza. Epoką Szekspira stał się wiek XX. Krytycy prześcigają się w podkreślaniu jego nowoczesności i aktualności. Najważniejsze teatry skwapliwie wystawiają w koncertowych obsadach nawet te spośród jego sztuk, które swoim poziomem literackim budzą pewne wątpliwości co do autorstwa (np. „Tytus Andronikus“), a publiczność ciśnie się na przedstawienia tak tłumnie, jak za najlepszych czasów teatru „Pod Kulą Ziemią“. Szekspir gwarantuje aktorom najlepsze role, Szekspir daje reżyserowi kolosalne pole do popisu, Szekspir zapewnia widzowi maksimum wzruszeń przeżyć, a nawet — to też ważne — Szekspir jest murowanie kasowy! W czym tkwi ta niesłychana atrakcyjność szesnastowiecznego autora dla współczesnego wykonawcy i widza?

Odpowiedzi może być wiele. Tematycznie widz znajdzie w Szekspirze bogactwo żywych także dziś problemów: konflikt rasowy („Otello“ i „Kupiec Wenecki“), przeciwstawienie demokracji i dyktatury („Koriolan“), zagadnienia niedoskonałości organizacji państwowej i społecznej („Burza“, „Miarka za Miarkę“, dramaty historyczne), gorzka satyra antywojenna („Troilus i Kresyda“), pesymistyczne ujęcie celu życia, niedaleko odbiegające od Becket'owskiego („Król Lear“). Listę tę można by ciągnąć długo, bo — jak mówi Jan Kott w swoich doskonałych „Szkicach o Szekspirze“: „Bogactwo treści w Szekspirze jest tak wielkie, że każda interpretacja sceniczna musi w jakiś sposób Szekspira ograniczać“. Jako autor dramatyczny Szekspir posługuje się zdumiewająco nowoczesną techniką — wyprzedzającą film o stulecia. Akcja zagęszczona jest do najwyższego stopnia: krótkie, elektryzujące, naładowane dramatycznym napięciem sceny, oparte o ekoncentrowany, pełen uczuciowych i psychicznych kontrastów dialog, stanowią rodzaj psychologicznych „zblżeń“. Przykuwają też uwagę widza skuteczniej, niż najbardziej reklamowane „dreszczowce“. O psychologicznej intuicji Szekspira pisać nie trzeba; „Hamlet“ do dzisiaj przecież fascynuje i zastanawia głębią spostrzeżeń psychologicznych i bogactwem możliwości interpretacyjnych.

Popularność Szekspira należy stanowczo przyjąć jako fakt naszej rzeczy-



TEATR „GLOBE“ W R. 1605

wistości dzisiejszej. Nie ma się czemu dziwić i szkoda na to trudu. Jego sztuki zawierają sumę ludzkich namiętności i doznań, zmagań i walk, zwycięstw i klęsk, najwyższych walców i najniższych upadków, najwznioślejszych cnót i najczarniejszych wad. Są ponad czasem i ponad różnicami kultur i obyczajów. W utworach Szekspira wszyscy widzimy siebie. Mówiąc: „Szekspir“ zamykamy w tym jednym słowie cały skarb naszej wiedzy o człowieku. I dlatego po bez mała czterystu latach sztuki Szekspira są tak samo aktualne, jak wtedy kiedy trupa aktorów Jego Królewskiej Mości prezentowała je po raz pierwszy w teatrze „Pod Kulą Ziemią“ na prawym brzegu bagnistej Tamizy.

Stefan Wóycicki

Z ROKOSZU POD STEŻYCĄ NA PRZEDSTAWIENIE HAMLETA

Pojechał tedy pan Głowacki oglądać owo theatrum, jak go był młody Dudley namówił i czego mu przyszło żałować. Gdyby nie kalwińska szkoła, w której go w chłopięctwie przyuczono powagę w złej i dobrej przypadłości zachować, byłby trzymanym w garści czekanikiem, z większą niż potrzeba mocą, drogę sobie w ciżbie oczyszczał. A kłębiło się tego w koło co niemiara, depcząc cierpliwie w błocie nieopisanym. Tym opłotki pokryte były aż po drogi domów. A co dopiero bliżej ku przystaniom, skąd chrapliwymi głosami przewoźnicy o sobie znać dawali natrętnie, chcąc nim mrok zapadnie jak najwięcej razy przez rzekę do Londynu nawrócić.

Na czekanik pana Głowackiego ludzie ciekawe spojrzenia rzucali jak i na niego samego, choć strojem przecie od nich się nie różnił wiele, a przynajmniej od dworzan i młodej szlachty, która sposobem gdzieindziej niesłychanym theatrum za rzeką położone za godziwą rozrywkę miała. Bywało, że trzy i więcej razy w tygodniu po kilku lub kilkunastu od południa już przez most na rzece, w ścisiku wielkim, konno na zobaczenie sztuki dworzanie jechali. Albo i ludzie znacznego urzędu i posłowie ziemscy co się na sejm angielski pod Londynem do Westminsteru zjechali. A kto w mieście, po gospodach, na ulicy albo w domu czy przed kościołem o czym mówił? Właśnie o tym co za rzeką wczoraj komedianci grali albo co jutro grać obiecuja. A że przez most długą drogą była i okrężna łódzie przez rzekę ludzi przewoziły, nieraz od rana zaczynając, by jaknajwięcej z tych co jechać chcieli dogodzić. Ludzie znaczni, panowie i

dworzanie albo kupcy zamożni w senacie miejskim zasiadający na własnych barkach z muzyką często i wesolością wielką się przeprawiali. A inni, tych nikt by nie zliczył, łódzie przewoźnicze najmowali, nieraz po dwunastu w jedną wchodząc, bez uwagi na stan, albo i na to, że się woda pod samą burtę podsuwała.

Więc gdy się wszystkiego tego pan Głowacki napatrzył i nasłuchał, zdziwienia nigdy na twarzy nie pokazując, ustąpił wreszcie młodego Dudleya namowie i pojechał. Pojechał na koniu pożyczonym, bo swoje w Bredzie zostawił, jako że morzem wieść ich nie mógł. A w Londynie kupić koni nie mógł. Nie tylko koni, ale i innych rzeczy, których potrzebował. Bo nie miał za co. Kapica, rękodajny zaufany i panu Głowackiemu opiekun prawie, codzień z gospody na Thames Street aż za kościół świętego Pawła chodził do złotnika nazwiskiem Barebones — coby się na polski jako Gołokościec przełożyć dało — i pytał o pieniądze dla pana Głowackiego. A Gołokościec ręce rozkładał i tłumaczył grzecznie, że list pieniężny pierwszego dnia zaraz przez pana Głowackiego mu oddany, ciągle jeszcze przez Gdańszczan potwierdzony nie był, bo pan Werner gdański agent przy Bromyard mieszkający, wyjechał do Norwiche gdzie skupował wełnę. Więc Gołokościec gospodę, owszem, opłacać dalej będzie, bo to za poręczeniem pana Dudleya, ale więcej dać nie może póki pan Werner z Norwiche nie powróci.

Albo król z Newmarket. Bo do niego właśnie, do Jakuba Pierwszego, wysłany był pan Głowacki z listem od Pana krakowskiego. Nie bardzo się

tym listem na Whitehallu zaciekawiono, a gdyby nawet, to by przecież król szybciej z Newmarket nie wracał by list przeczytać. Żeby jeszcze list był od króla do króla, żeby pan Głowacki z poselstwem przyjechał z Warszawy! Ale pan Głowacki nie z Warszawy tylko prosto z Rokoszu pod Stępcą jechał. A co w liście było i o czym, to choć pan Głowacki nie wiedział, to w kancelarii króla Anglii i Szkocji albo wiadano albo się domyślano i wcale się do otwarcia listu nie spiesono. Ba! gdyby, gdyby doszły wiadomości wprost z Elbląga albo ładem przez Niemcy do Holandii, że Zygmunt III przed Rokoszem się ugiął, albo w polu był pobity — to by pewno pan Głowacki zaraz w cenie podskoczył. A choćby król Jakub z Newmarket szybciej nie przyjechał to by pewno wtedy pana Głowackiego do Newmarket, do króla, zawieziono.

Ale wieści takich nie było, a był już lipiec a od kwietniowego w Stępcy sejmowania nic się jeszcze ważnego w Polsce nie zdarzyło. Albo nic takiego co by się ważnym wydać mogło w Londynie. Siedział więc pan Głowacki w gospodzie, w której od zapachu zastalego piwa i baraniny głowa co rano go bolała i czekał. Cekał na pieniądze od Gołokośca i Wernera i na przyjazd króla angielskiego, o którym głośno i na kpinę nikt inaczej niż „Ten Szkot“ albo „Ten Przybłąda“ w Londynie nie mówił. Nie gorszył się tym pan Głowacki, bo przywykł, że o Zygmuncie po sejmikach i po dworach dobrym słowem i miłym mianem też się nikt nie odezwał. Nie gorszył się, ale się dziwił, jak wszystkiemu co widział.

Dziś zdziwienia zażył najwięcej. Tyle że mu na lata starczyć mogło. Najwięcej w tym theatrum. W nim, owszem, po pierwszej godzinie, którą przestać musiał na otwartym majdanie w toku ludzi każdego stanu, nie sobie z nikogo nie robiących, gdy przestał już podejrzewać, że to z niego właśnie ludzie się śmieją, gdy się wpatrzył w to co aktorzy na podwyższeniu robią, gdy z trudem, lecz przecież zaczął piąte przez dziesiąte z tego co mówią rozumieć — owszem wtedy zaczęło mu się to wszystko podobać. W drugiej godzinie młody Dudley i kilku jego towarzyszy przepchali się wreszcie przez tłum stojący i wyleźli po krzywych schodkach na podwyższenie. Ale z boku, tam gdzie im jako gościom znacznym i dworskim teatru protektorem poustawiano stołki bez oparcia i ławy z prostych desek sklecone. Pana Głowackiego Dudley za łokcie za sobą wciągnął i na jednym z sobą stołku posadził. Wtedy też panu Głowackie-

mu w ucho szeptać zaczął tłumacząc co się na scenie dzieje i o co chodzi. Niewiele z tego tłumaczenia panu Głowackiemu przyszło jako że z łaciny pan Dudley znał słów nie więcej niż pięćdziesiąt a i te co znał tak wymawiał, że ich pan Głowacki nie rozumiał. Słów niemieckich młody Dudley znał także z pięćdziesiąt, lecz widocznie były to inne słowa niż te co znał pan Głowacki. Najlepiej Dudley mówił po francusku, lecz francuskiego nie znał znowu pan Głowacki, a co się Dudleya pytał po holendersku to Dudley uśmiechał się przyjaźnie jako że nie rozumiał ani słowa. Więc przestał pan Głowacki słuchać co mu Dudley szepcze a po krótkim czasie Dudley przestał szeptać mu do ucha, bo się obydwaj wpatrzyli w aktorów i zapomnieli i o sobie i o reszcie świata. I choć Dudley rozumiał wszystko co mówili a pan Głowacki rozumiał bardzo mało, przecież co jeden rozumiał to drugi czuł, więc choć inaczej to przecież także rozumiał. A ta sama mowa co go gniewała w gospodzie i na śmierzdzących ulicach gdy płynęła ze sceny wydawała mu się rzeką potężną, to groźną to łkającą bólem, to nakłaniającą do płaczu to do radości.

Szło się uchu pana Głowackiego za tą mową obcą jak za czymś bliskim. Płynęło mu się po rzeczce słów i zdawało mu się, że to co się jakimś duńskiemu książęciu przydarza — przydarza się także samemu to jest panu Głowackiemu. A że któryś z tych co grali albo raczej z tych co żyli na scenie, tuż obok stołka na którym cierpło siedzenie pana Głowackiego, nazywał się Polonius to go ciekawiło dlaczego tak się nazywa, ale nie więcej. Bo mógł by się nazywać inaczej, lub wcale się nie nazywać, a pan Głowacki tak samo by wdychał razem z tłumem widzów, tak samo by się bał i tak samo by się cieszył. A gdy się wszystko skończyło pan Głowacki wierzyć przez chwilę nie chciał, że to było nie naprawdę, że siedzi na twardej stołku w drewnianej budzie bez dachu, że przyjechał ze Stępcy, że pan Werner kupuje wełnę a pan Kasztelan Zebrzydowski poprzysiągł sobie Szweda z tronu w Polsce zrzucić. I że jest dzień 28 lipia 1606 roku i że trzeba wracać do gospody na Thames Street i czekać dalej aż król angielski wróci z Newmarket.

I ta chwila zawieszenia między dniem dzisiejszym, prawdziwym a tym dniem co go nie było bo był tylko wymyślony przez komedianta, stała się przyczyną trosk pana Głowackiego. Bo gdy tłum się zakotłował i wdarł na podwyższenie, poniosło Dudleya w jedną a pana Głowackiego

w drugą stronę. Przepchał się tam wreszcie gdzie mu się zdawało, że zostawili konie, uwiązane do długiego drąga. Nie było tam ani koni, ani młodego Dudleya, ani żadnego z dworzan, ani pacholika. Rozglądał się pan Głowacki w koło, po opłotkach i niczego nie wypatrzył. Widział tylko twarze obce i ludzi rośliych i małych — jak szli łokieć w łokieć ku rzeczce i unosili z sobą pana Głowackiego. Pokrzykiwali do siebie ponad głowami i ci panowie w kryzach koronkowych i przy szpadach i kupcy w ciemnych atlasach i ludzie ubogo odziani, bez żadnego stanu i zawodu. A najgłośniej pokrzykiwała czeladź rzemieślnicza, najpewniejsza siebie, najhałaśliwsza i do bójki najbardziej gotowa.

Ciemno już było i po rzeczce szła poświata z drugiego, londyńskiego brzegu, gdy pan Głowacki dodreptał po błocie do drewnianej przystani. Stał i czekał wraz z innymi na łódzie. Wpuszczono go wreszcie do jednej, ładownej i pełnej ludzi. Przewoźnicy odepchnęli drągami i wymijając łachy powieźli. Pan Głowacki nie wiedział w którym miejscu go wysadzą i czy trafi stamtąd do swojej gospody. „Pocem jechał do tego theatrum“ — biegła mu smutna, płaczliwa prawie myśl przez głowę, a nie był człowiekiem strachliwym. Ale otaczało go nieznanne i czekało na niego niewiadome.

Przewoźnicy zaparli drągi o kilka łokci od przystani. Muliasta woda kotłowała się u burty. Zbierali opłatę za przewóz w obawie by ktoś nie wyskoczył nie zapłaciwszy. „Take it“ — powiedział pan Głowacki wciskając przewoźnikowi w rękę swój czekanik. Bo już wiedział, że mu gdzieś ukra-



dziono mieszek z tą odrobiną srebrnych i miedzianych, co mu pozostały.

W gospodzie, do której zabrnął po ciemku zastał przerażonego Dudleya. Cekał na niego od dwóch godzin. Cekał też Kapica z dobrą nowiną, że pan Werner wrócił. Więc jutro Gołkościec przyniesie pieniądze.

Więc kazał pan Głowacki podać kanaryjskiego wina i sarniny i wypili z Dudleyem i z Kapicą i z kim tam kto jeszcze chciał. I wypili zdrowie swoje i swoich panien, i wszystkich

niewiast. Nawet zdrowie króla jednego i drugiego, choć żadnego z obu żaden z nich nie kochał. A na ostattek wypili zdrowie Williama Szekspira. Przy tym zdrowiu pan Głowacki usnął i spał do rana zwały na stół by się obudzić z bólem głowy, lecz przecież wcale nie markotny tylko zamyślony nad tym co wczoraj zobaczył.

Paweł Zaremba

(Za zezwoleniem Rozgłośni Polskiej Radia Wolnej Europy).

MACIEJ CYBULSKI

CINEASTA ZE STRATFORDU

Gdyby William Shakespeare urodził się był nie 400 lat temu, ale w pierwszej części naszego stulecia — byłby zapewne autorem najlepszych skryptów filmowych. Może pisałby scenariusze o wielkich zbrodniach, dla Hitchcocka; może bajki dla René Claira. Kto wie czy jak Orson Welles, sam nie nakręcał by swoich wizji... Tyle w jego dramatach kinowego napięcia; tyle wizualnej poezji w żartach i snach. Można by napisać książkę o tym, jak wiele kino — a już zwłaszcza kinematografia anglosaska — zawdzięcza Szekspirowi. Nie tylko w dziedzinie tematyki, ale nawet w sferze techniki filmowej: umiejętności wywołania napięcia i „zawieszeń”; pomysłów wizualnych, które jak ów idący las w „Macbecie”, można pokazać tylko na ekranie. Powie ktoś, że każdy wielki teatr można filmować. Otóż, nie każdy. Bo np. Moliera nie można; w każdym razie nie należy, gdyż wychodzi na ekranie dziwnie splaszczony. A postacie i sytuacje szekspirowskie nabierają nowej perspektywy i wypukłości. Jest to jeden z tych fenomenów, gdy kino staje się przedłużeniem literatury — nie tylko bogacąc się dawno napisanym dziełem, ale i wzbogacając to dzieło.

Aby jednak nie nużyć nikogo zbyt ogólnymi dywagacjami, zajmiemy się dziś Szekspirem na ekranie, na przestrzeni historii sztuki filmowej.

Prawie dokładnie 65 lat temu: jesienią 1899 r. pojawia się pierwszy film szekspirowski. Tak przynajmniej twierdzi Robert Hamilton Ball w „Kwartalniku Kina, Radia i Telewizji”. Są to fragmenty „Króla Jana”, którego na scenie londyńskiej wystawiał Max Beerbohm Tree. Taśma nakręcona po prostu w teatrze, przeznaczona była, jak się zdaje do prywatnych zbiorów tego reżysera, karykaturzysty i ekscentryka traktowana jako ciekawostka bez znaczenia. W zupełnie podo-

bnym sposób przyjęty był pojedynek z „Hamleta” pokazany w rok później na Międzynarodowej Wystawie w Paryżu w tzw. Piano-Cinema-Theatre. Opowiadano, że Sara Bernhardt, która grała wówczas księcia na scenie zobaczywszy się na ekranie — zemdlła; z zachwytu czy z przerażenia — kroniki milczą.

A jednak Szekspir w kinie „chwycił”. Mniej więcej dwie trzecie jego znanych sztuk znalazło się na ekranie. Niektóre wielokrotnie, w coraz to nowych ujęciach. Razem kilkadziesiąt filmów. Oczywiście, że są to adaptacje. Ale dzieła Szekspira wystawiane na scenie — to także adaptacje. Wymaga tego już chociażby sama długość tekstów. „Hamlet” pokazany w tym roku bez większych skrótów, trwa 4 godziny.

Gdzieś koło r. 1910 Sir Herbert Beerbohm Tree (przyrodni brat Maxa) gra czarownika Prospera w „Burzy” w His Majesty's Theatre. Fragmenty tego przedstawienia nakręcono na taśmie wprowadzając pewną innowację: zmianę odległości kamery od sceny. Podobno w Ameryce sprzedawano kopie po 13 dolarów za sztukę.

Nie warto zatrzymywać się nad nieuknionymi kiczami; tytuły wystarczą: „Nowoczesny Szajlok”, „Król Lear z małego miasteczka”, „Romeo i Julia nad morzem”. Warto natomiast zauważyć, że kinematografia bardzo wczesnie odkrywa humor szekspirowski. „Wiele hałasu o nic” czy „Komedia pomyłek” dają preteksty do filmów komicznych z wyraźną tendencją do burleski.

Mniej szczęścia mają przed pierwszą wojną dramaty. Kino amplifikuje ich brutalność; nie potrafi oddać poezji. Tak np. w r. 1908 cenzor policji w Chicago nie pozwala na wyświetlenie „Makbeta” jako filmu nazbyt krwa-

wego. W tym samym mniej więcej okresie próbuje się robić filmy szekspirowskie na jedną rolę (Falstaff, Szajlok). To jakby początek praktykowanego do dziś w Hollywood „systemu gwiazd”.

Ciekawa rzecz, że obok „Romea i Julii”, którzy zawsze mogą liczyć na łaknącą wzruszeń publiczność, najczęściej fascynuje cineastów „Hamlet”, najtrudniejszy, najbardziej zagadkowy i dwuznaczny z dramatów Szekspira. I tak duński reżyser Svend Gade nakręca w r. 1921 film o dziwnym księciu z Elsinore; tytułową rolę gra również Dunka, sławna wówczas aktorka Asta Nielsen. Na końcu zaskoczenie: Hamlet okazuje się kobietą. W Niemczech, emigrant z Rosji, Dymitr Buszewski pokazuje „Otella” z wielkim Emilem Janningssem w głównej roli. Clair twierdzi, że jest to najlepszy film szekspirowski z okresu kina niemego.

Francuzi, którzy nigdy specjalnie nie zajmowali się Szekspirem, nie próbowali też przenieść jego dzieł na ekrany. Są co prawda w historiach sztuki filmowej wzmianki o dwóch taśmach nakręconych przez jednego z pionierów kinematografii francuskiej, Georges Meliésa. Filmy te zaginęły. Jeden z nich nosił tytuł „Szekspir piszący Juliusza Cezara” i prawdopodobnie był w tamtych czasach rewelacją techniczną, dzięki zastosowaniu dwóch nakładanych na siebie kopii widz patrzył na piszącego barda, a jednocześnie widział treść pisanego dzieła.

* * *

Na przełomie lat 30-tych pojawiają się dwa pierwsze filmy dźwiękowe o tematyce szekspirowskiej. Pierwszy to „Poskromienie złoŹnicy” z Mary Pickford i Douglasem Fairbanksem. Reżyser, Sam Taylor miał odwagę podać na początku: „Napisane przez Williama Szekspira; dodatkowe dialogi Sama Taylora”. Szekspirolodzy rozdarli uroczyste szaty. Drugi dźwiękowiec, to „Sen nocy letniej” w reżyserii świętego scenarzysty, Maxa Reinhardta. Spodka grał James Cagney, Puka — 11-letni wówczas Mickey Rooney; choreografię opracowała Bronisława Nizińska.

Wielu czytelników pamięta zapewne z przed wojny film „Romeo i Julia” wyprodukowany przez wytwórnię Metro Goldwyn Meyer. Norma Shearer była rozmarzona i wzruszająca; Leslie Howard — jak zawsze inteligentny i wrażliwy. W układzie scen zbiorowych powtórzone dokładnie kompozycje malarskie mistrzów z Florencji i Werony; podobno każde słowo dialogu pochodziło z dramatu Szekspira. Za-

brakło tylko jego wielowymiarowej wizji, w której przeglądają się ludzkie namiętności. Ale żeby to pojąć i pokazać, trzeba było cineastów innego wymiaru.

Znaleźli się przecież i tacy, choć dopiero w czasie drugiej Wojny Światowej i po niej. Przynajmniej trzech: Laurence Olivier, Orson Welles i Japończyk — Kurosawa. „Henryk V“ Oliviera należy do wielkich klasyków filmowych. Jest dziełem kinematografii — nie filmowanym teatrem. Wszystko w nim ciekawe, często odkrywcze. I płaska perspektywa średniowiecznych prymitywów w scenach na francuskim zamku; i potężniejąca z biegiem akcji postać młodego króla-wodza; i zabawny epizod wsadzania na konie ciężko zbrojnych rycerzy; i wreszcie wspaniale skomponowana bitwa z odbiciem jeźdźców w kałużach wody i chmurami strzał na niebie.

Film zrealizowano w Pld. Irlandii, by uniknąć niemieckich bombardowań. Był to rok 1940 i „Henryk V“ jest czymś więcej niż pięknym filmem. To był głos walczącej samotnie Anglii. I stał może tyle w nim wewnętrznego żaru.

Już nakręcony w kilka lat później olivierowski „Hamlet“ był o wiele chłodniejszy. Krytycy słusznie zarzucili mu za daleko idące skróty w tekście. Skreślono np. zupełnie partię Rozenkranza i Gildensterna oraz kilka innych postaci. Ale nie kończące się wędrówki królewicza po galeriach zamku oddają jego rozterki nie gorzej od słów. „Widzę Hamleta nie jako obraz ale jako sztych“ napisał wtedy Laurence Olivier. I my go tak widzimy.

Trzecim z szekspirowskich filmów Oliviera był „Ryszard III“, wspaniale grany, pełen psychologicznej finezji — ale utrzymany w stylu teatralnym, z wyjątkiem naturalnie końcowych sekwencji bitewnych. Claire Bloom była bardzo piękna w roli Lady Anne.

Par excellence filmowy jest zato „Makbet“ Orsona Wellesa. Film z góry skazany na klęskę. Bo dziki i brutalny; nie mówiony a krzyczany w szkockim, na pół niezrozumiałym dialekcie, jakby „mongolski“ w strojach i nastroju. Film, który musiał oburzyć profesorów i odstraszyć szeroką publiczność. Wielki film — godny Szekspira.

Niepoprawny Orson „poprawił się“ nakręcając następnie w Maroku „Otelę“. Temperament ponosi go wprawdzie tu i ówdzie w roli Maura, ale wszystko razem jest bardziej przystępne i cywilizowane. Ostatnio rozesyła się wiadomości, że Welles zaczyna robić „Falstaffa“. Jeżeli zrobi... po swojemu — to dopiero będzie kino...

Charakterystyczne jest to, że kiedy Akira Kurosawa pokazał swojego japońskiego „Makbeta“ („Tron z krwi“, 1957) nikt nie protestował przeciwko dzikości. No ale Japończykom wolno... Film jest zresztą wizualnie naprawdę piękny i oryginalny w ujęciu. Kto wie, czy nie jest on największym hołdem złożonym uniwersalności Szekspira

Były jeszcze po drodze różne wersje „Romea i Julii“ chociażby ta wyjątkowo płaska, w której grał Laurence Harvey. Był sowiecki „Otelę“ Jutkiewicza, z Bondarczukiem w tytułowej roli, a ostatnio mamy sowieckiego „Hamleta“. W Ameryce produkowano zupełnie dobre „thrillery“ z intrygą pożyczoną od Szekspira. Był nawet film z dziedziny fikcji naukowej, którego pomysły i akcja jest przeniesioną w przyszłość „Burzą“. Interesującą trawestacją byli „Kochankowie z Weron“ Cayatte'a z młodzieńką Anouk Aimee, w zeszłym roku kontrowersyjna „Ofelia“ Chabrola. Andrzej Wajda nakręcił w Jugosławii „Sybirska Lady Makbet“ ponury chłopski dramat, którego głównym walorem była dobra fotografia. Śliczny był lalkowy „Sen nocy letniej“ produkcji czeskiej.

W roku 1957 Józef Mankiewicz pokazuje swego „Juliusza Cezara“. Ma

do dyspozycji zespół wspaniałych aktorów: John Gielgud, James Mason, Cedric Hartyck. Film był jednak osobistym tryumfem Marlona Brando w roli Antoniusza.

Czy można nie wspomnieć o „West Side Story“ — drapieżnym musicalu o dwóch bandach walczących na noże o panowanie nad złymi zonami Nowego Jorku? Czy to kolorowe widowisko, wypełnione pasją i rozpaczą, Kochaniem i nienawiścią — nie jest wierniejsze Szekspirowi, niż edukacyjne filmy, które co roku wyświetla londyński Festival Hall?

Bo wierność Szekspirowi, to nie pedanteria, ani precyzja w szczegółach. To nade wszystko — wyobraźnia. Zdolność pokazania jego „zgiełku i namiętności“. A także tego, że życie jest bajką. Opowiadaną przez szaleńca:

„It is a tale told by an idiot, Full of sound and fury...“.

Maciej Cybulski

P.S. Pisząc ten szkic posługiwałem się następującymi pracami: Georges Sadoul „Histoire de l'Art de Cinema“, Penelope Houston „The Contemporary Cinema“, notami drukowanymi w paryskich „Cahiers du Cinema“ oraz źródłowym opracowaniem Iana Johnsona ogłoszonym w miesięczniku „Films and Filming“ — M.C.

MIĘDZY PLOTKĄ I ANEGDOTĄ

Mieszanka co się zowie! Miesięcznik „poświęcony zagadnieniom współczesnym“! Dobra nazwa. Jeszcze lepsza obietnica. Jak do tego doszło? Nie wiem. Nie wtajemniczono mnie w tajniki rozmów między „moralnym opiekunem pisma“, „dotychczasowym wydawcą“, „wydawcą nowym“ i „tym samym co dotychczas redaktorem“. Powiedziano mi tylko, że być może, także i dla mnie znajdzie się miejsce na łamach nowego, miesięcznika „Orzeł“, który ma być zupełnie nowy a jednocześnie ma być taki sam jakim był przez lat dwadzieścia cztery.

Czyli o tego Buzułuku. Czyli poprzez Środkowy Wschód, potem trop w trop za drugim rzutem wojującego 2-go Korpusu. Przez Brukselę, pełną „flumków“ dyskutujących o kursach na giełdzie i o tym czy Leopold, nie pamiętam który mu tam numer wypadł w belgijskiej koleiności królów, miał rację gdy to niby „serce nie służy a Anglii nie tacy znowu mądrzy“ w cichości ducha sobie powiedział ku oburzeniu wszystkich w katolickim Namur i ku ucieście wszystkich w równie katolickim, aczkolwiek nie wallońskim, Melchen.

To było dawno. Rok 1946. Dawno, lecz nie trwało długo. Bo oto już w roku 1949 „Orzeł“ przepłynął Kanał i osiadł pod bokiem stołecznych władz Rzeczypospolitej na wygnaniu. Czyli w Londynie. Tym Londynie, o którym Stefania Kossowska napisała, że w nim Mieszka*) (przez duże

„M“). Tak ładnie napisała, jak ładnie wygląda. Ładniej niż Londyn w mniemaniu rodaków. Ci (przez duże „C“), wiadomo, z niejednego pieca chleb jedli i niejedno widzieli w swej wędrówce do wolnej i niepodległej. Więc co im tam Londyn, który zdradził w Jalcie i w ogóle, proszę pana, ten ichni „Commonwealth“ to się u nas, „proszę Pana, w Myślenicy Górnej, nazywałby się lipa“. Kossowska powiada, że nieprawda: Londyn to nie sto Piotrków lub Radomi koło siebie ustawionych, bo ma „Victoria and Albert“, 70 teatrów, Westminster Abbey, wystawy, wermisaże i w ogóle wszystko ma czego jako żywo w Radomiu lub w Piotrkowie nie było. Przykro mi z tego powodu i to przykro aż na trzy sposoby: **Primo:** porównanie Londynu do stu Radomi wymyślił nie byle idiota tylko osobiście niżej podpisany. **Secundo:** Miłość Kossowskiej do Londynu wzbudza we mnie uczucia zazdrości bo myślałem dotychczas, że choć bez wzajemności, to ja tylko jeden w tymże Londynie zakochany byłem. Co mi zresztą, chwała Najwyższemu, nie przeszkadzało kochać się także w Paryżu, Rzymie, Madrycie etc etc. Wiadomo że mężczyzna, co w ogóle warto z nim zaczynać, z natury osobą poligamiczną być powinien. Byłem. Jestem. Przyśięgam że byłem. Zawsze. W przenośni i bez przenośni. **Tertio:** choć Kossowska napisała o Londynie dobrze, to przecież bez porównania lepiej napisał o nim Cipek. Tak twierdzi Wiesław Wóhnot a kto jak kto, ale on na Cipeka zna się świetnie. A także na Londynie skoro jak się dowiadujemy (z samego „Dziennika Polskiego“) Wiesław Wóhnot o Londynie

*) „Mieszka“ w Londynie — dobra książka. 35/- szylingów (zdaje się). Do nabycia wszędzie.

przeczytał to co napisała Kossowska i co napisał Capek. A zatem skala porównań ogromna.

Dość. Miałem pisać o roku 1949, czyli o „Orle“. Otóż „Orzeł“ zaprowadził mnie w Londynie naprzód na „Elephant and Castle“ do drukarni „McNeill & Co“, co się po naszymu tłumaczy „Maciejewski“. Potem do „Superior Printers“ co się wyklada gaspadin Silberg, rodem z Kijowa. Wreszcie, do drukarni „Gryf“, co się wyklada, wykladało i wykladać będzie, bez względu na to co i kto myśli, lub jak i gdzie który adwokat zapisze: Władysław Kowalewski. I w tymże „Gryfie“ tenże „Orzeł“ w różnych postaciach, lecz zawsze w tej samej idei, się redaguje, się składa i się drukuje. Ad multos annos etc etc.

Co dalej? Powiedziano mi: „najwyżej 90 wierszy“. Czyli 3600 ciceró (emsów). Już jest więcej. Aha! Powiedziano mi także: ma być „współcześnie i do sensu“. Nie jest do sensu. Ciekaw jestem co redaktor zrobi? Albo wyrzuci co drugi wiersz, albo skróci „Claudine“, bo się spóźniła ze swoim kawalkiem o modach. Ale co można skrócić w „Claudine“? Odśloniła górę, odsłania dół... Naprawdę nie wiele zostało do skracania.

Nie wiele zostało i mnie do napisania. Chyba kilka „współczesnych“ uwag politycznych. Ze „niechaj będzie wokoło wojna, byle nasza... wieś spokojna“. „Nasza“? Wiadomo angielska. Cypr — Cyprem, Malazja — Malazją, Wietnam — Wietnamem. Pan Butler zaprasza Chruszczowa na konferencję w Londynie. Przyjedzie? Oczywiście że nie! Ale „odmowę wyraził w sposób bardzo uprzejmy“.

Glupie te plotki? Na pewno. Pocięszam się jednak, że w następnym numerze dadzą mi trochę więcej miejsca. Mam pisać, ziemio drzyj, o pornografii i na co nam ona potrzebna? A jeśli nie potrzebna to dlaczego taka ciekawa?... Napisać. Na pewno napiszę. Nie wiem czy wydrukują. Ale to inna sprawa. Prawdopodobnie „nie starczy miejsca“ bo będą jakieś „współczesne“ zagadnienia na jakimś zjeździe któregoś SPK... Chociaż... Nie ładnie prosić o protekcję, ale czy ja jeden o nią proszę? Więc gdyby tak parę listów do redakcji z pochwałą tego J.P.H....? Wtedy wynagrodzę życzliwych felietonem o sprawach naprawdę współczesnych (choć o wiecznych), albo uproszę prawdziwego specjalistę, Zbyszka Grabowskiego, (to ten od „Anny“) by mnie, z ogromnym dla czytelników pożytkiem, zastąpił.

J. P. H.

P.S. Uratował mnie linotypista. Złożył „7 na 8“, czyli wcisnął ile się dało. Dziękuję Panie Kubik!

POLSKIE ŻYCIE KULTURALNE

(Dokończenie ze str. 27)

ski, J. Kołosowski, dr inż. S. Wyrobek, inż. J. Morawicz i J. Wysocki. Nowy zarząd wybrany został w następującym składzie: przewodniczący: inż. R. Wajda, zast. przew.: inż. J. Kazimierski, sekr. hon.: kpt. E. Lubomirski, skarb.: S. Stachura, członkowie: dr M. Danilewiczowa, inż. J. Biliński, inż. S. Liszka, inż. C. Woyno i J. Wysocki.

Z polskiego świata naukowego przybył ze Stanów Zjedn. A.P. dr R. Syski,

„Associate Professor“ matematyki Uniwersytetu w Maryland pod Waszyngtonem, na odbywający się w Londynie Międzynarodowy Kongres Telekomunikacyjny z udziałem ok. 200 delegatów z całego świata. Ze 100 referatów na Kongresie dwa złożone były przez prof. Syskiego. Wygłoszony na plenum wykład o Uogólnionych procesach zablokowania znalazł żywe echo wśród słuchaczy. Kongres dał też sposobność do nawiązania licznych kontaktów. Z okazji pobytu w Londynie odbyło się spotkanie prof. Syskiego z gronem kolegów miejscowych w Domu Technika.

Na kongres ten prof. R. Syski przyjechał niemal bezpośrednio po dwutygodniowym kursie wakacyjnym, jaki wraz z wybitnym amerykańskim matematykiem Departamentu Stanu dr. Thomas L. Saaty prowadził na Uniwersytecie Kalifornijskim w Los Angeles. O powodzeniu tego skróconego kursu świadczy udział w nim 70 uczestników rekrutujących się z dyplomowanych matematyków. Gościnnym wykładowcą był m.i. dr Henryk A. Antosiewicz z Uniwersytetu Południowej Kalifornii w Los Angeles. W zeszłym roku, na podobnym kursie wakacyjnym, prowadzonym równolegle z kursem Norbertem Wienera, prof. Syski miał tyluż słuchaczy (trzydziestu kilku) co słynny twórca cybernetyki.

Jan Ostrowski

CLAUDINE

NOWA SYLWETKA

REWIE MODY JESIENNEJ
I ZIMOWEJ

Paryż, w sierpniu 1964.

Do ostatniej chwili przed otwarciem wielkich rewii mody jesiennej i zimowej nie nie wyciekło na zewnątrz, jak ta nowa moda będzie wyglądać. Korrespondentki pism kobiecych spekulowały, że po kilku latach spokojnej ewolucji wystrzelą bomby, że niektóre domy przygotowują zupełnie nowe, niespotykane dotąd linie, że będzie wiele zaskoczeń i niespodzianek. Armia fotografów mody przygotowywała się do efektownych zdjęć toalet „bez góry“, odkrywających, albo tylko lekko woalujących piersi. Po sensacjach plażowych wywołanych przez „monokini“ nie wyobrażano sobie, by ta tendencja nie weszła do salonów mody.

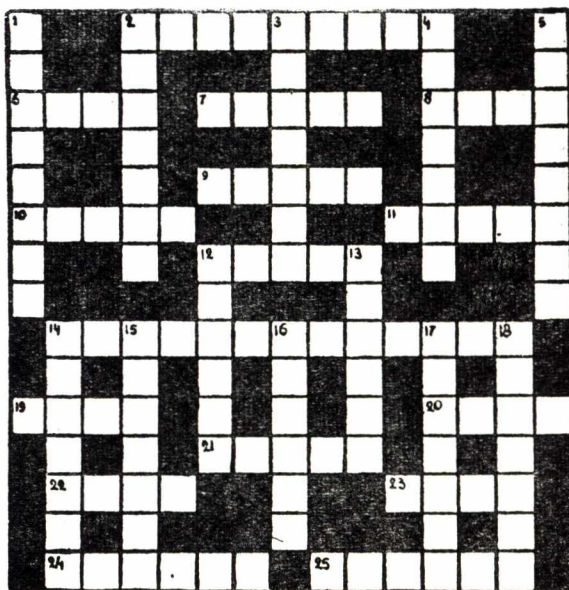
Tymczasem ostatnie rewie wystąpiły tylko z jedną niespodzianką — że nie wniosły nic rewolucyjnie nowego. A na moje pytanie Marc Bohan, kreator największego domu, Christiana Diora, na temat co myśli o próbach obnażenia piersi, odpowiedział, że nie jest to żadna tendencja, lecz ordynarne chwyt reklamowe ze strony pewnych firm, lub kandydatek do filmu, które poza biustem nie mogą się niczym innym

KRZYŻÓWKA nr 562/64

ZNACZENIE WYRAZÓW

Poziome: 2) muzyczny korkociąg?; 6) rakieta z Olimpu?; 7) doskonałość; 8) objazd, tura; 9) nie oryginalnego; 10) biskup, protektor Kochanowskiego; 12) przysłówowiwo skąpy; 14) rodzinne ciepło (6,7); 19) i 20) kobieta bez niego jak ryba bez wody?; 21) inna dla siebie, inna dla bliźnich; 22) w nim krasnoludki; 23) typ instrumentu (wspak); 24) przedmiot sąsiedzkich sporów; 25) dar słońca (wspak).

Pionowe: 1) owoc rodaka?; 2) mateczniki; 3) urząd przedrozbiorowy; 4) dmucha brudem?; 5) rozpustnica na tronie; 12) zespół zasad; 13) niepokój; 14) miraż (wspak); 15) ilość w rękach?; 16) działo, które pieściło Słowackiego?; 17) Monte Cassino; 18)



zasadnicza przyczyna w części do spania? (wspak).

Termin nadsyłania rozwiązań do 15 września 1964

wykazać, np. talentem. Marc Bohan uważa, że to nie ma nic wspólnego z modą i do tego jest w złym guście. I widocznie dla podkreślenia tej opinii, w swej obecnej kolekcji zmniejszył nawet dekolt.

To nie tylko kandydatki na gwiazdeczki ekranu zaczęły lansować we Francji modę kostiumów kąpielowych „monokini“. Pierwsze pokazały się w tym półstroju dwie Niemki, a następnie, w samym centrum Paryża młoda Angielka wyszła na ulicę w ogóle bez niczego. „Nie miała nawet lakieru na paznokciach“ — ze zdumieniem podał jeden z reporterów, który przypadkiem tam się znalazł. A ta Angieleczka najspokojniej w świecie powiedziała mu, że jeżeli kobiety postanawiają skończyć z górą toalety, to ona nie widzi najmniejszego powodu, by tego samego nie zrobić i z dołem. Oczywiście szybko wylądowała w komisariacie policji.

LINIA CZYSTA I DYSKRETNA

Ale wróćmy do mody. Ponad czterdzieści wielkich domów w ciągu jednego tygodnia pokazało kilka tysięcy modeli i pod koniec tych pokazów zaczyna się mącić w głowie. To wszystko jest tak kolorowe, bogate, pozornie różnorodne, że wydaje się niemożliwością dopatrzenia się w tych kolekcjach jakiejś wspólnej tendencji. Ta tendencja jednak jest i w tym sezonie bardzo wyraźna.

Po pierwsze *mała główka*. Ani jeden z paryskich domów nie pokazał puszystych fryzur. W większości wypadków włosy są krótko obcięte, gładkie i jak np. u Diora, zaczesane w tył, uszy zupełnie odkryte. Nasza rodaczka, Lola Prusac, właścicielka domu mody, cieszącego się bardzo dobrą opinią i należącego do drogich, powróciła nawet do lat 1930-tych i pokazała chłopięcą główkę „à la garçonne“. U Balmaina, (bardzo duży i elegancki dom mody), modelki mają nawet podgolone z tyłu szyje.

Ale bomba wystrzeliła już w pierwszy dzień pokazów — u Jacques Esterela. Ten swojej czołowej modelce, ślicznej Bibelot, po prostu ogolił całą głowę i ta biedna dziewczyna wygląda jak Yul Brynner. Esterel tłumaczy, że jego natchnieniem był renesans włoski, gdy w ciągu wieku całego kobietom strzyżono zupełnie głowy.

Drugą charakterystyczną cechą mody nowego sezonu jest *linia prosta, szczupła, czysta i dyskretna*. Przynajmniej w większości poważnych domów. Linia prosta oznacza, że krój jest prosty, choć nie zawsze łatwy i materiał spływa naturalnie wzdłuż ciała. Sylwetka jest szczupła, ale nie opięta, a

u znanego kreatora, jednego z najbardziej twórczych i pomysłowych, należącego do awangardy mody paryskiej, *Pierre Cardina*, ta sylwetka jest nawet tak płaska, jak w „szalonych latach“ roku 1925 i następnych. Nie ma śladu piersi. U innych jednak biust jest zawsze zaznaczony, albo nawet wyraźnie podkreślony. Ramiona są wąskie, rękawy przeważnie długie, bardzo

wiele typu reglanowego. Czystość sylwetki polega na odrzuceniu wszelkich zbędnych szczegółów, dodatków i ozdóbek. Wreszcie dyskretność, która objawia się w dekolcie dość umiarkowanym skromności w biżuterii, której jest bardzo mało i w doborze przyciemnionych kolorów, wśród których panuje w tym roku czarny, zwłaszcza u Diora i Balmaina.



Kolekcja Jacques Esterel (Copyright)

KSIĄŻKI

„SMUTNA RZEKA”

Z okazji dwudziestej rocznicy Powstania Warszawskiego Koło AK wydało niewielką książeczkę pod powyższym tytułem, w której zebrano pieśni, wiersze i wyjątki z listów Krystyny Krahelskiej, młodej pieśniarki i poetki Armii Krajowej, poległej pierwszego dnia Powstania.

Wpływ jej twórczości na ówczesne młode pokolenie Polski Walczącej był tak wielki, że słusznie uczczono wielką rocznicę właśnie tym wydawnictwem.

Zawiera ono słowo wstępne Józefa Garlińskiego, notę biograficzną Haliny Czarnockiej, sylwetkę Krystyny Krahelskiej Ireny Karpińskiej, wszystkie trzy pieśni wraz z nutami, osiem wierszy i trzynaście wyjątków z listów,

pisanych do brata w Anglii. Ponadto w zbiorze umieszczono dwie fotografie Krystyny (przedwojenną i z okresu konspiracji), fotografię pomnika Syreny, do którego pozowała, rodzinną fotografię z dworku w Mazurkach, fotografię rzeki Szczary i tańca „Lenok”. Piękną oprawę graficzną i okładkę przygotował Tadeusz Terlecki. Komitet redakcyjny stanowili: Halina Czarnocka, Irena Karpińska i Józef Garliński. Zbiorek, który prezentuje się bardzo efektownie, został wydrukowany przez Gryf Printers Ltd. Cena zbioru 7/6. Do nabycia we wszystkich księgarniach i księgarniach. **E. T.**

CZESKA TRAGEDJA Europe's Road to Potsdam by Wenzel Jaksch. Translated and Annotated by Kurt Glaser. Thames & Hudson, Londyn, 1964.

Urazy polskie wobec Czechów w końcowym okresie II wojny światowej i zaraz po jej zakończeniu są dobrze znane. Lepiej o nich zapomnieć. Ale warto zapoznać się z elementami czeskiej tragedii tego okresu, w interesie przyszłych stosunków pomiędzy wolną Polską i wolną Czechosłowacją (nie przesądzać niczego i nie wtrącać się do spraw i zamiarów sąsiadów). W tym wymiarze książka Jakscha jest bardzo cennym przyczynkiem. Autor wywodzi bankructwo polityki Masaryka i Benesa z ich nieumiejętności poradzenia sobie z mniejszościami narodowymi w ramach republiki utworzonej w r. 1918. Gdyby grupy mniejszościowe w Czechach korzystały w praktyce z jednakowych uprawnień i swobód co element rządzący, tzn. Czesi i Hitler i Stalin mieliby znacznie większe trudności z rozbięciem państwa czechosłowackiego. Hacha i Benes byli bezsilni przede wszystkim dzięki wewnętrznej antymonii. Niby byli arcy-demokratami a w praktyce aż się roilo od spraw wolających nie tyle o pomstę, co o obcą interwencję. Od 1941 roku zaś, Benes szedł jak urzeczony „po drodze wybitej najgorszymi intencjami” aż do śmierci w kompletnej rozpacz. Książka Jakscha powinna wywołać odzew wśród osób znających te zagadnienia. Polscy jej czytelnicy nie mają co kiwać nad nią głowami z obłudnym smutkiem. Mogą natomiast z korzyścią przejrzeć się w lustrze i powziąć mocne postanowienie poprawy.

Jan Bielatowicz — „GAUDE MATER POLONIA” — Gawęda. Instytut Literacki. Paryż 1964, str. 79 i 1 nl.

Tom CI Biblioteki „Kultury” zawierający wspomnienia autora z okre-

su studiów w Krakowie na Uniwersytecie Jagiellońskim. Gawęda pisana najpierw z pamięci i uzupełniona faktami z kilku wydawnictw jubileuszowych — jako „udział w jubileuszu”.

Stanisław Mackiewicz — „POLITYKA BECKA”. Instytut Literacki. Paryż 1964. str. 188 i 4 nl.

Tom CII Biblioteki „Kultury” omawiający w 27 rozdziałach sytuację polityczną w Europie od ukończenia pierwszej wojny światowej do wybuchu drugiej wojny światowej. Główny nacisk położył autor na rozpatrzenie polityki polskiego ministra spraw zagranicznych Józefa Becka. W przeciwieństwie do poprzednich szkiców Mackiewicza na ten temat książka odznacza się względnym umiarem w krytykach.

Jan Winczakiewicz — ANDALUZJA I KASTYLIA — Antologia poezji hiszpańskiej XX wieku. Oficyna Poetów i Malarzy. Londyn. 1963, str. 105 i 3 nl.

Tom poprzedzony obszernym wstępem tłumacza zawiera przekłady Miguela de Unamuno, Juan Ramóna Jimenésza, Antonio Machado y Ruiza, Pedra Salinas, Federico Garcia Lorca, Miguela Hernandez i wielu innych. Sumienny zbiór wybitniejszych poetów, poczynając od modernizmu i postmodernizmu, poprzez awangardę, aż do poetów powojennych.

Wawrzyniec Czeresiewicz — „PODRÓŻ NA RODOS” — „Motywów Greckich” zeszyt drugi. Oficyna Poetów i Malarzy. Londyn. 1963, str. 26 i 2 nl.

Jak i w pierwszym zeszycie „Motywów Greckich” (wyd. 1962 r.) grecka mitologia przeplatana tu jest pięknie wątkami rodzinnymi: pieśń Orfeusza płynie Wisłą, Hermes prowadzi polskich wojaków w ich powojennych przygodach, Zeus płonie miłością do warszawskiej Syreny, a Herakles przybiega do Warszawy, aby wraz z nią walczyć w Powstaniu.

Zdzisław Marek — WIERSZE ZEBRANE. Oficyna Poetów i Malarzy. Londyn. 1963. str. 89 i 5 nl.

Wiersze liryczne o nowoczesnej formie, bez rymu, pisane między rokiem 1947 a 1960. Niektóre z nich były drukowane w „Studencie Polskim na Obczyźnie” w Monachium, inne w „Kontynentach” londyńskich i „Kulturze” paryskiej. Dwa — zamieściły „Widnokręgi” w Sydney. Poeta mieszka w Australii.

Adres WYDAWNICTWA: PCA Publications Ltd., 20 Queens Gate Terrace, London, S.W.7, gdzie mieści się także adres redakcji. Korespondencję z Redaktorem Naczelnym kierować można na 171 Battersea Church Road, London, S.W.11 (Telefon BAT 0879 lub BAT 1445). Adres ADMINISTRACJI: „Gryf” 171 Battersea Church Road, London, S.W.11. Tel. BAT. 1445. Przedstawicielstwo we Francji: „SYRENA-ELKA” 20 rue Legendre, Paris, 17-eme. Tel. WAG 0045. Przedstawicielstwo w MIDLANDACH angielskich: T. Podgórski 19 Park View Road, Bradford 9. W BELGII J. Korab-Brzozowska-Csaky, 116 rue Joseph II, Bruxelles 4, konto poczt. 7315.20; W NIEMCZECH S. Mikiciuk, Muenchen 45, Gablonzerstr. 7/1; W NORWEGII Narvesens Kiosk Komp. POBox 115, Oslo; W SZWAJCARII: Maria Wasung 6, rue des Lilas Geneve i Janusz Rakowski Mainaustr. 28, Zurich; W SZWECJI Polski Kom. Pomocy, Jungfrugatan 30/II Stockholm; W WŁOSZECH W. Zahorski, Ass. Comb. Polacchi, Via Licia 19, Roma; W ARGENTynie „Libreria Polaca” Serrano 2076, Buenos Aires; W AUSTRALII „Vistula (Australia) Pty Ltd.”. Daking House, Rawson Place, Sydney; W KANADZIE W. Krychowski 101 Islington Ave South, Toronto, Ont. lub „Gryf” Londyn; W STANACH ZJEDN. J. Biełkowski, 627 Tracey St. Utica N.Y., Polish-American Book Co. 1136 Milwaukee Ave, Chicago 22. Ill. „Księgarnia Ludowa” L. Zukowski 6347 Chene St. Detroit 11 Mich. ORAZ OGNIWA SPK W POSZCZEGÓLNYCH KRAJACH. Egzemplarz pojedynczy: 3/6, \$0.50, FR 2.50. PRENUMERATA: — kwartalnie £0.10.6; \$2.00; FR 7.00 — półrocznie £1.1.0; \$4.00; FR 7.00 — rocznie £2.2.0; \$8.00; FR 26.00. — względnie według przeliczenia waluty miejscowej. Dopłata za przesyłkę lotniczą według taryfy.

T-A-A-KA MODA

Co dalej?

Z modą to po trosze tak jak z dyktaturą. Albo musi strzelać sukces po sukcesie, czyli w wypadku mody sensacja po sensacji, albo sprawa więdnie na pniu. Dyktator idzie w odstawke, a moda... znudziwszy się, przestaje popłacać.

Co do sensacji to nas w tym roku nieźle obsłużono. Kalifornijski Mr. Gernreich wprowadził nie tyle „New Look“, co „Nude Look“. Dekolt do pasa. Prezentowała go w Nowym Jorku Peggy Moffitt. Na razie dużo krzyku i fotografie w prasie dyskretnie zamaskowane kieliszkiem, dymem z papierosa, lub półmiskiem trzymanym przez obsługującego wydekoltowaną piękność kelnera. Trochę awantur na mniej zaawansowanych w najnowszej modzie plażach. No i doskonale, wspańiale, humorystyczne „cartoons“. Na przykład rysunek Osberta Lancastra w londyńskim „Daily Express“: przedstawia damę na wielce oficjalnym przyjęciu, prezentującą na obnażonym biuście szereg orderów.

Co dalej? Kilku bardzo poważnych panów, naukowo omawiając odważne posunięcie mody, z jak największą pewnością twierdzi, że w najbliższej przyszłości ludzkość będzie chodzić nago. Mam nadzieję, że mają na myśli wyłącznie letnie miesiące i plaże nad południowymi morzami, bo nie wyobrażam sobie piękności w zimnej sali balowej, odzianych wyłącznie w uśmiech na ustach i sztuczne rzęsy. No i oczywiście... że „to nic nowego“, że „renesans“, że Diana de Poitiers, że czasy elżbietańskie i przyrzucone gazą biusty dam Dyrektoriatu. Aha! Oczywiście! Starożytna Kreta. A propos zamierzchłej starożytności, przypomnijmy sobie, że kreteńscy eleganci, jako wyłączny strój nosili wysokie buty, kunsztownie trefioną brodę i krótki miecz na bardzo ozdobnym pasie.

Pomijając starożytność i ewentualną modę dla panów na wzór kreteński, wyobraźmy sobie że się obnażono-pierśny styl przyjmie. Dla wszystkich. Znając kobiety twierdząc, że najbardziej odważne dekolty nosić będą nie tylko te (ewentualnie Kornela Makuszyńskiego) których piersi są jako dwa jelonki młode, ale te, których są jako dwa jelenie wypchane. Ratunku!

A zarazem patrząc na bikini, które już nikogo nie bawią ani nie zajmują, patrząc na coraz bardziej ryzykowne i bezsensowne dekolty i wycięcia, myślę że niedaleki jest moment, kiedy pojawi się jako najnowsza, najmodniejsza, najbardziej sensacyjna sylwetka — od kostek po szyję w siedem woali spowinięta, z anielską twarzą i cieniem rzęs na policzkach — Sainte Nitouche.

A. C.



LWÓW 1782 WIEDEŃ

J.A. BACZEWSKI

GATUNKOWE WÓDKI i LIKIERY
NAJWYŻSZEJ JAKOŚCI!

Jarząbiak	Malinowa	Tea-Rum
Kontuszkówka	Starka	Wiśniówka
Krupnik		Wiśniak

Przedstawiciel

J. A. BRUCE & CO.

9, LENTHALL PLACE, LONDON, S.W. 7.
Tel. FRE 5808

(Koło stacji kolejki podz. Gloucester Road)

POPIERAJ FIRMY POLSKIE

SZYBKIE



PRZEKAZY
PIENIĘŻNE
DO POLSKI

T A Z A B

22, ROLAND GARDENS,
LONDON, S. W. 7.

Tel. FRE 3175

W NOWYM JORKU: T A Z A B, 100 EAST 10th Str.
NEW YORK 3, NY.

LEKARSTWA!

LEKARSTWA!

We Francji

ELKA S.A.R.L.

20 rue Legendre,
Paris 17-e.

BILETY

KOLEJOWE,
SAMOLOTOWE,
OKRĘTOWE

Formalności związane
ze sprowadzaniem rodzin
z Kraju
oraz wyjazdy do Polski.

Szybko, sprawnie, tanio

z a ł a t w i a

TAZAB TRAVEL LTD

273, Old Brompton Road,
LONDON, S.W. 5

Tel. FRE 1186

MANCHESTER 16

47, Gt. Western St.

Tel. Moss Side 4683

BIRMINGHAM 2

39, Corporation Street

Tel. MID 1526

Wzmacniajcie nerwy i oczyszczajcie
krew, a będziecie cieszyć się zdro-
wem i wzmoczoną wydajnością w
pracy!

Wyciąg z życiodajnych gruczołów
zwierzęcych

KALEFLUID

Używanie naszego preparatu polep-
sza stan zdrowia w sposób bardzo
znaczący, w wypadkach ogólnego osła-
bienia, depresji nerwowej, zmęcze-
nia, wyczerpania, zaburzenia i sta-
rości. U kobiet również w wieku
przejściowym. W sprzedaży w wiel-
kich aptekach. Wysyłamy bezpłatnie
w języku polskim przepisy używania.

Laboratoire B. KALEFLUID

F R A N C J A

66, BLD. EXELMANS. PARIS 16-e.

EDWARD ROBINSON LTD.

21, Old Compton Street, London, W.1.

Wyłączny Importer

WÓDKI WYBOROWEJ

i innych

ORYGINALNYCH POLSKICH

WÓDEK GATUNKOWYCH,

MIODU

o r a z

PIWA ŻYWIECKIEGO — TATRA

OKOCIMSKIEGO i PORTERA

SKŁADA

REDAKCJI MIESIĘCZNIKA

ORZEŁ BIAŁY

NAJLEPSZE ŻYCZENIA



POLSKO-
ANGIELSKIE
BIURO
PODRÓŻY



B I L E T Y

Tel. FRE 1155

LOTNICZE, MORSKIE, KOLEJOWE.
SPROWADZANIE RODZIN, URLOPY.
PODRÓŻE DO POLSKI.

P R Z E K A Z Y P I E N I Ę Ż N E

DO POLSKI PO SPECJALNIE DOGODNYM KURSIE

ANGLOPOL TRAVEL LTD.

121, Earls Court Road, London, S. W. 5.

P R Z E K A Z Y P I E N I Ę Ż N E

Paczki „Do Wyboru“ — Przesyłki Wolne Od Cła

PRZEDSTAWICIELSTWO BANKU TRANSFEROWEGO

CENTRALA WYSYŁKOWA

HASKOBA

L I M I T E D

121, Earls Court Road, London, S. W. 5. FRE 7888

„ORZEŁ BIAŁY“

SIERPIEŃ 1964

NR 1/1148